OBRAZKI I OPOWIADANIA.

Mieczysław Pawlikowski.

OBRAZKI I OPOWIADANIA

Z PRZEDMOWĄ

HENRYKA GALLEGO.

Czytelnia

TOM I.

WARSZAWA.
Druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

1904.

257344

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Сентября 1904 года.

PRZEDMOWA.

Zmarły 23 grudnia 1903 roku Mieczysław Pawlikowski nie należał u nas do autorów głośnych i popularnych. Dziwnie skromny to był i cichy pracownik. Nowele swoje wydawał bądź anonimowo, bądź też pod pseudonimem, nie gonił za rozgłosem sławy jednodniowej, nie posiłkował się szumno-brzmiącą reklamą, dziś kreującą geniusze i talenty, by jutro je detronizować. I stała się rzecz dziwna: w dzisiejszych czasach, kiedy beletrystie tak łatwo o laury, kiedy jedna zręczniejsza powieść zapewnia wieloletnią poczytność nawet miernemu talentowi, ś. p. Pawlikowski zeszedł w grób— nieznany.

Nieznany—jako powieściopisarz. Nie należy jednak zapominać, że człowiek ten odegrał poważną rolę w dziejach umysłowości Galicyi i do ostatniej chwili nie przestawał być, mimo podeszłego wieku, jednym z jej oświecicieli. Umysł to był światły i serce szlachetne, czułe na każdy okrzyk życia. A praca jego była długa, mozolna, często zawodna. Urodzony w r. 1834 w Medyce pod Przemyślem, od wczesnej młodości zaczął żyć wytężonem życiem człowieka, co czuje się członkiem swego społeczeństwa i zna swe obowiązki. Po ukończeniu uniwersytetu we Lwowie zapoznał się z przodownikami

życia duchowego ówczesnej Galicyi: Mieczysławem Romanowskim, Kornelem Ujejskim, Karolem Balińskim, Janem Zacharyasiewiczem, Arturem Grottgerem i innymi, podzielił ich trudy i zapały, a jednocześnie wstąpił w szranki literackie, drukując poezye, któremi zasila łamy postępowej prasy galicyjskiej, jak *Nowiny*, jak *Dziennik Literacki*.

Odpokutował też tę swą gorliwość dwuletniem więzieniem w Ołomuńcu..

Druga epoka działalności społecznej Pawlikowskiego zaczyna się w roku 1868, kiedy po kilkuletnim pobycie zagranicą powraca do kraju i osiada w Krakowie, w cichym domku na Kleparzu, który wkrótce stał się ogniskiem ruchu umysłowego i literackiego na całą Galicyę.

Jednocześnie rozwija Pawlikowski ożywioną i owocną pracę publicystyczną: zaraz po przyjeździe do Krakowa wstępuje do redakcyi demokratyczno-postępowego *Kraju* [1]), a od roku 1882 prowadzi stale dział literacki w *Nowej Reformie*, nie ustając w tej pracy do końca niemal swych dni.

Nie ograniczył się jednak tym kręgiem działalności: nie było instytucyi społecznej, ni artystycznej, nie było konkursu, nie było komitetu, w którymby nie brał czynnego a gorliwego udziału.

Znano w Krakowie tę poważną i majestatyczną postać, jakby żywy obraz przeszłości; kochano go i szanowano. W jego domku na Kleparzu bywali nietylko rówieśni mu, jak Asnyk, Bełcikowski, Sewer, Zacharyasiewicz, ale i młodzi, dla których czuł on żywą i serdeczną sympatyę, jako dla tych, co poprowadzą społeczeństwo—ku jutru.

Nie był więc ś. p. Pawlikowski zupełnie nieznanym; przeciwnie, na gruncie galicyjskim zwłaszcza należał on do postaci typowych, jakich nam

---

[1]) Nie należy pisma tego mieszać z dzisiejszym petersburskim *Krajem*.

w ostatnich latach coraz więcej ubywa. Ale działalność jego beletrystyczna pozostała w mroku.

Zapewne, nie dzisiejsze to rzeczy i nie dzisiejszy sposób pisania. Pawlikowskiego możnaby zaliczyć do rzędu poczciwców-gawędziarzy, rodzaj obecnie już zupełnie prawie wymarły. W chwili, gdy rozpoczynał twórczość literacką, przyćmili go więksi nierównie talentem Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Sewer, Dygasiński; ostatnie jego utwory, wydane w chwili, gdy występowało na scenę pokolenie Żeromskich i Reymontów, nie mogły wzbudzić żywego zainteresowania.

Nie należy jednak pokrywać twórczości Pawlikowskiego kirem zapomnienia, chociażby wobec tego, że tylu jest u nas od niego mniej utalentowanych, a jednak cieszących się wielkiem uznaniem — niezasłużonem.

Dlatego też właśnie wydajemy zbiorek niniejszy wybranych nowel i obrazków Pawlikowskiego, powodując się z jednej strony chęcią spłacenia długu należnego zmarłemu, z drugiej zaś—obowiązkiem społecznym.

Znajdzie tu czytelnik najlepsze z drobnych utworów Pawlikowskiego, pisane w różnych czasach i w różnych okolicznościach życia. A w każdym z tych szkiców spotkamy coś, co zwróci naszą uwagę, co wyodrębnia te nowele z szarego tłumu pospolitej rzeszy miernoty. „Tajemnica pani Kruckiej“ (Kraków, 1876), choć nieco rozwlekła, zaleca się wybornym pomysłem, doskonałym humorem i budzi szczere zaciekawienie. „Testament Napoleona“ (Lwów, 1879) jest najlepszą ze wszystkich nowel Pawlikowskiego. Ten dziwny pomysł obdarzenia rozległym majątkiem szesnastu ludzi, z których ten obejmie go w posiadanie, kto innych przeżyje, to zgromadzanie się coroczne raz wraz zmniejszającego się grona spadkobierców ma w sobie wiele uroku i melancholii, a nawet grozy. A przytem ten pomysł niezwykły pozwolił autorowi głębiej wniknąć

w tajnie duszy ludzkiej i odkryć ukryte na niej pokłady; nie pozbawiony jest „Testament Napoleona“ doniosłości społecznej, która ujawnia się w tej pracy dobroczynnej, do której obowiązani są spadkobiercy bohatera utworu.

Nowela p. t. „W grudniowe dni“, drukowana w *Ateneum* warszawskiem w r. 1881, należy również do lepszych utworów Pawlikowskiego. Ten obraz ślepej staruszki, grzejącej się przy ogniu kominkowym w zawieję śnieżną, ta postać uroczego dziewczęcia, wreszcie końcowa scena tragiczna—posiadają wiele siły wyrazu.

Obrazek humorystyczny p. t. „Odzyskana“, pisany na wspólkę z Sewerem (*Kuryer Warszawski*, 1891), celuje oryginalnością pomysłu, tryskającym z każdego wiersza humorem; doskonała też jest tu postać śmiesznego dorobkiewicza, p. Emila Styszakiewicza, oddana z dużą siłą plastyki i werwy prawdziwie młodzieńczej. Wreszcie nowela „Druga miłość (*Nowa Reforma*, 1883), chociaż najsłabsza ze wszystkich, zawiera kilka rysów i kilka postaci, szczerze komicznych i doskonale odtworzonych.

Pisał jeszcze Pawlikowski inne utwory beletrystyczne, jak „Plotki i prawdy“, które były pierwszym jego występem literackim, jak większa powieść obyczajowa „Drugi tom“ (Kraków, 1885), który w swoim czasie chętnie był czytany, jak wreszcie ostatni jego utwór beletrystyczny p. t. „Baczmaha“, drukowany w r. 1897 w *Tygodniku Ilustrowanym*, potem zaś w wydaniu książkowem, który, mimo mglistej fantastyczności i niejasnego pomysłu, cieszył się dość wielkiem powodzeniem.

Niewielka to, jak widzimy, spuścizna, ale godna dlatego, by ocalić ją od zapomnienia, tembardziej, że autor jej był człowiekiem nieposzlakowanej cnoty, wielkiego umysłu i szlachetnego serca, a jako pracownik społeczny, zapisał się tak chlubnie na kartach dziejów naszej umysłowości.

Henryk Galle.

TESTAMENT NAPOLEONA.

Z TEKI STAREGO SZLACHCICA.

P. Piotr Sarzewski, p. Seweryn Rogojewski, p. Józef Municki, p. Ignacy Onarski, p. Eustachy Zawornicki, obaj bracia pp. Trachoccy, p. Stanisław Radwan, p. Grzegorz Rawlikowski, p. Kazimierz Zrębicki, p. Leon Mołaszewski, p. Jan Krzeptycki, p. Meliton Grycz, p. Adam Lisobrodzki —wszyscy już pomarli.

Żyje jeszcze tylko p. Tadeusz Lęgoborski i p. Andrzej Hordża. Już tylko oni dwaj!

Z całego grona sąsiadów, przyjaciół, współbiesiadników ś. p. Napoleona, już tylko oni dwaj!

Wszyscy inni już pomarli: włożono ich do trumien, popłakano, zakopano, zasypano ziemią i już ich niema. A wkrótce i pamięć o nich zaginie. Ani wątpić!

A tu przecież tak niedawno jak wszyscy razem siedzieli przy suto zastawionym stole w Korczunkowcach i kolejno pili zdrowie solenizanta wiwatowym kielichem. Wesołe żarty sypały się jak plewa z wialni, a od śmiechu aż szyby się trzęsły. To tak przecie niedawno!..

Ej, gdzie tam niedawno! Będzie zawsze lat z piętnaście — a to dobry kawał czasu .— Leci czas, strasznie leci szybko! Prawdziwie, że dawniej nie tak jakoś prędko leciał.

Zmiotła śmierć jednego po drugim, tego tak, tamtego siak, owego znowu inaczej—i pomarli. I tylko dwóch zostało: p. Hordża i Lęgoborski.

A więc jeden z dwóch: p. Tadeusz albo p. Andrzej! Ale który?...

Kosiła śmierć i kosiła, przerzedzały się szeregi i rosła szansa dla pozostałych przy życiu. Z każdym świeżym zwiększała się grobem.

Rosła i urosła. I już tylko między dwoma gra się rozgrywa.

P. Andrzej, czy p. Tadeusz? jeden z dwóch!

Ha, niedługo mam czekać, obaj starzy: rok, dwa, pięć lat — a któryś z nich pierwszy się stoczy do dołu, a drugi zostanie dziedzicem Korczunkówki.

Tak postanowił ś. p. p. Napoleon w swoim testamencie i tak się stanie.

Jeden z dwóch—ale który?... Ba, żeby to o samą tylko szło Korczunkówkę! Ale przyległości! Wiklińce Wielkie i Małe, Żórawka, Sęki, Karpiłów! To sześć folwarków, to cały klucz! to prawie magnacki majątek!

P. Tadeusz albo p. Andrzej...

A jeśli p. Andrzej, to po nim kiedyś jego jedynaczka. A jeśli p. Tadeusz—to jużci jego syn jedynak.

Panna Magdalena albo p. Stanisław.

Pan Stanisław albo panna Dalcia.

Ot, wiecie co? gdyby oni się pobrali — toby i im obojgu było z tem dobrze i stałoby się zadość rodowi Łęgoborskich i rodowi Hordżów.

A i czemużby się to stać nie miało? Pewnie się tak stanie! Jużci pewnie!

I ani panu Tadeuszowi Łęgoborskiemu nie byłaby krzywda, ani p. Andrzejowi Hordży — niechby już wtedy czy ten z nich dwóch, czy drugi pierwej usnął snem wiekuistym. I jeden i drugi mógłby wtedy powiedzieć umierając: „Chwała Bogu: Korczunkowce mnie się dostały i moim“. I jeden i drugi mógłby tak powiedzieć. A p. Hordża myślałby przytem o swej Dalci, a p. Łęgoborski o swoim Staszku.

Dobrzeby tak było, dalipan. Nie patrzyliby wtedy na siebie z ukosa siwi starce, siwi obaj jak gołębie. I patrząc na siebie, nie wzdrygaliby się gdzieś tam w głębi serc, nie przychodziłaby im wtedy ta myśl do głowy: „ty mnie śmierci życzysz, a ja tobie“. Brzydka myśl! I znowu: „hej, gdyby on już umarł, umarłbym i ja spokojnie“. I jeszcze gorzej: „hej, hej, byle on prędzej! byle on prędzej!—choćby mi nazajutrz po nim przyszło umierać“ !

Ej, Hordża! Hordża! Nie pamiętasz-że ty, jakeś niegdyś uratował mu życie? Ciął go dragon przez głowę na odlew, a on z konia na ziemię... i byłby tam zginął marnie, ale druh mu przyleciał w pomoc i opędzał od czterech i zasłaniał własnem ciałem przyjaciela, i sześć ran otrzymał, i dotrzymał placu, dopóki nasi nie nadbiegli z odsieczą. Zapomniałeś o tem, Hordża, że mu teraz śmierci życzysz, choć mu uratowałeś życie?

A i ty stary wąsaczu, wstydź się, wstydź! Prosto się trzymasz jeszcze i dosiadasz konia, żeby ci i niejeden młokos zazdrościł, twarz masz rumianą i w oczach młodzieńczy blask, ale ci się serce postarzało, postarzało dyabelnie! Patrzysz z góry na tego małego, zgarbionego Hordżę, o żółtej, wywiędłej twarzy, jak na nieboskie stworzenie—a gdyby nie on, czy chodziłbyś ty po świecie?... No, prawda, żeś ty mu odpłacił poświęcenie poświęceniem: on ci życie uratował, a tyś mu twoje szczęście poniósł w ofierze—wyrzekłeś się swojej Joasi, boś wiedział, że on bez niej żyć nie potrafi, choć Joasia wtedy na was obu przyjaźnie zerkała oczkiem i gdyby ją było zapytać, możeby ciebie była wybrała, a nie jego. Ba! pewnie ciebie! ty i Hordża—wszak to dąb wyniosły i jakaś sosna sękata, niekształtna.

Szalałeś ty za swoją Joasią, twarz ci gorzała płomieniem, serce młotem biło w szerokiej piersi. Ale on, Hordża, czy on bardziej od ciebie nie szalał? Jak mur był blady, a milczał jak mur. Wszak on tak przez całe życie zacięte miał zawsze wargi

i ból w sercu zamykał, choćby serce pękało. Nawet i przed tobą milczał, przed tobą, przed którym nigdy nic nie miał skrytego w duszy. Nawet i przed tobą. A ty, szaleńcze, ani ci przez myśl nie przeszło, ani we śnie nie postało w głowie, aby ten milczący druh takim rozgorzał płomieniem. Przyjechałeś do niego prosto z Żywopola od Joasi, i jeszcze stangret nie wyprzągł koni, a wyście się ściskali serdecznym uściskiem na ganku i porwałeś go szalejący z radości w ramiona i w górę podniosłeś: „Andrusiu! Andrusiu! wszystko będzie dobrze!“

— Co się stało? — pytał Andrzej, a serce mu nie mówiło co, i spokojnie pytał. — Andrusiu! i matka mi sprzyja i córka mi sprzyja, wszystko będzie dobrze!“—Gdzie? kto?—„W Żywopolu!“—A Andrzej zachwiał się na nogach i szeroko mu się źrenice otwarły i coś strasznego z nich wyjrzało na ciebie — oh, nie jego oczy, nie! I zbladł i za piersi cię chwycił i za gardło, jakby dusić chciał i wstrząsł tobą i zgrzytał zębami — i nic. I nic. Ani słowo z ust—tylko mu się zapieniły wargi, jak wściekłemu zwierzęciu i puścił cię — i nie rzekł nic, tylko się oparł o ścianę. Spojrzałeś na niego, zrozumiałeś wszystko! Skoczyłeś na bryczkę: „jedź, jedź! co koń wyskoczy“!... Ujechałeś mil dziesięć do wieczora — i dwanaście nazajutrz — i trzeciego dnia jechałeś póki koniom starczyło sił i nóg. I sprzedałeś konie i bryczkę, i jechałeś dalej najętemi aż gdzieś na kraniec świata, i okrętem za morze. Dwa lata cię nie było w domu, i nikt nie wiedział, gdzie się podziewasz — i wróciłeś po dwóch latach... a Joasia była już panią Hordżową.

Kamień spadł ci z serca... Ale serce było ciężkie, jak kamień.—Nie pojechałeś do Hordżyńca: jakżebyś ty mógł był tam pojechać! I on nie pojechał do ciebie na wieść o twym powrocie, aby ci bratnią dłoń uścisnąć. On się bał serce ci rozkrwawić rozpromienioną szczęściem twarzą. Nie pojechał. Nie widzieliście się tak przez parę miesięcy, aż was spro-

wadziły razem do Korczunkówki imieniny pana Napoleona.

Hej, hej, panie Hordżo, panie Łęgoborski! pamiętacie wy tę chwilę, to wasze powitanie? Gdzież byście mogli zapomnieć! Nie moglibyście, choćbyście chcieli. Nie moglibyście.

Rzuciliście się sobie w ramiona i rozpłakaliście się obaj w głos—jak dzieci—jak baby.

I nic więcej. I na tem koniec. I nigdy już o tem nie mówiliście z sobą.

I rok minął i dwa, a nie pojechał przecie p. Tadeusz do Hordżyńca. Był u niego w Stadłowie kilka razy p. Andrzej i serdecznie obaj byli sobie radzi— i gawęda ciągnęła się bez końca i wesołość nawet dawna wracała niby chwilami na zasępione czoło gospodarza, ale o tem tylko mówili z sobą, co było, a ani jeden, ani drugi nie dotknął w rozmowie tego, co jest i tego, co będzie. Przeszłość ich łączyła nierozerwalnym węzłem, teraźniejszość była między nimi przepaścią—a przyszłość oku nie widna.

Jeździł tak, jeździł i raz i drugi i dziesiąty pan Andrzej do Stadłowa — i zawsze tak samo.

Ale nie pojechał p. Tadeusz ani razu do Hordżyńca.

No, aż wreszcie, zapytał go raz pan Andrzej:

— Jak ci tam, bracie, w duszy?... Czy do Hordżyńca nie możesz jeszcze przyjechać?

Zmarszczył czoło pan Tadeusz. I wpodłuż bruzdy mu się porobiły i potem wpoprzek i znowu wpodłuż.

— Nie, Andrusiu, jeszcze nie.

A chart ulubiony, Dunaj, łasił mu się właśnie u nóg i skoczył na piersi.

— Pójdziesz, Dunaj! — wrzasnął z wściekłością i kopnął psa obcasem. Harap zdjął ze ściany i ciężkich kilka razów spadło na ulubieńca, zdziwionego takiem obejściem, jakiego nigdy jeszcze nie doznał.

Lżej się jakoś zrobiło panu Tadeuszowi po tej

egzekucyi. Tak mu było, jakby własne serce zatwardził i zmusił do posłuchu, jak psa.

Andrzej patrzył na to i rozumiał. Poczciwym smutkiem zmroczyły mu się wyraziste rysy. I patrzył, i głową kiwał.—Spojrzał na niego p. Tadeusz. Zbliżył się szybko, ręce położył mu na ramionach i ucałował go w czoło:

— Jak będziesz miał pierwszego syna, wtedy mnie zaproś w kumy!

I jakby nie był pewny po tych wyrazach, czy własnemu panować zdoła wzruszeniu, co prędzej wyskoczył z izby i zaczął dawać czeladzi głośne dyspozycye: krzyczał, komenderował, jakby mu się gumna paliły. A jemu się tak w sercu paliło, czy w głowie.

No, dobrze. Przyjedzie, jak syn się Andrzejostwu narodzi. Dobrze. Ale w Hordżyńcu jak nie było dzieci, tak niema i niema.

I po dwóch latach stało się inaczej niż układali obydwa:—nie p. Tadeusz do p. Andrzeja w kumy pojechał, ale p. Andrzej do Stadłowa. Z polowania na polowanie, zaciągnęli gdzieś ludzie p. Tadeusza aż w Poznańskie i poznali z poczciwem dziewczęciem i dziewczę się zakochało w ślicznym chłopcu — a jak się chłopiec o tem dowiedział — to się i ożenił.

Żonatemu, to już raźniej było pojechać do Hordżyńca.

A więc ile razy dowiedział się p. Tadeusz, że pani Andrzejowa wyjechała z domu gdzieś do matki, albo do siostry, to już pewno jedzie on wtedy do Hordżyńca.

Ale pani Joanny nie widział. Ani razu jej nie widział.

I we trzy lata po urodzeniu się Stasia Łęgoborskiego powiła pani Hordżyna mężowi córkę. Wielką była radość w Hordżyńcu, ale i obawa wielka: i matka była bardzo chora i dziecię. I posłał p. Andrzej umyślnego na koniu do Stadłowa: „Obiecałeś mi trzymać do chrztu syna, to trzymajże mi choć

córkę. Dziecko bardzo słabe— nie zwlekaj — chrzest dzisiaj".

Przyjechał p. Tadeusz i po dokonanej ceremonii zaniósł pannę Magdalenę matce do łoża... Nie wolno jej było jeszcze mówić—wyciągnęła tylko rękę ku niemu, on podaną rękę uchwycił skwapliwie, podniósł do ust i ucałował. „Niech się chowa na pociechę"! Spojrzał raz jeszcze na chorą, na tę twarz bladą a uśmiechniętą tak słodko, spojrzał w te jej oczy bure, promieniejące macierzyńską radością— i poszedł. I już jej więcej nie widział. Trwało to życie jeszcze, trwało ze trzy lata — ale nie wstała już biedna Hordżyna z łoża — i zgasła.

Hej, hej, panie Hordżo! panie Łęgoborski! Pamiętacie wy tę chwilę na hordżynieckim cmentarzu, gdy się na trumnę Joasi grudki ziemi sypały?... jedna, druga i kilka naraz i kilkanaście i potem zadudniało jak werbel pokrytego kirem bębna... i już ani trumny nie widać... Jeszcze zabłysnął krzyż na niej złocisty... jeszcze szmat białej atłasowej kapy... i już nic... nic...

A potem wróciliście obaj do Hordżyńca... Pamiętacie wy, jakeście wrócili do dworu? pamiętacie jak wam było razem? Śmierć ukochanej przecięła ressentyment wszelki. I było wam tak, jakby wam z tej trumny wyrosła znowu i znowu zakwitła młodociana przyjaźń wasza w całej pełni, z całą wonią dawno ubiegłych lat i z kielichem pełnym rosy serdecznej... A ta rosa—to łzy.

I odtąd nie było już tygodnia, w którymby nie spędził choć dnia jednego Hordża w Stadłowie, albo Łęgoborski w Hordżyńcu. A Łęgoborski do sąsiada z synem przyjeżdżał, a Hordża do niego z córką.

I bawiły się dzieciaki z sobą jak brat z siostrą. I bawiły się dzieciaki i kochały się i całowały.

Z pięć lat było tego kochania—i mówił nieraz Hordża do Łęgoborskiego: Wiesz co, Tadeuszu, oni się kiedyś pobiorą.—Daj Boże, Andrusiu, daj Boże! —

i brał pan Tadeusz małą Dalcię na kolana i całował i pieścił... I całował jej bure oczęta i zamyślał się. I jej włoski czarne, lśniące odgarniał od czoła— i zamyślał się. Takie same miała jej matka.

A pan Andrzej gładził Stasia po twarzy i z lubością patrzał w te jego siwe jasne oczy. I uśmiechał się i mówił: „jakiż on do ciebie podobny! wykapany ojciec“! I dał mu drewnianą szabelkę i uczył go robić młyńca — dosiebnie—odsiebnie—i krzyżową sztuką—i referendarskiem cięciem.

„Moja żona“ mówił Staś, ile razy była mowa o małej Dalci.

— Głupstwo robicie! — strofował obu ojców blizki ich sąsiad, pan Meliton Grycz—głupstwo, *kołderka!* (było to jego przysłowie). Jeżeli chcecie, aby się kiedy pobrali, nie trzeba im tego mówić zawczasu, bo jak to dorośnie, to się odwróci od siebie, jak Amen w pacierzu! *Kołderka!* Miłość nie lubi przymusu, ani zobowiązań. Powiedzcie im owszem: *wara*, to on powie *ach!* a ona *och!* i będą gonili za sobą jak zagorzałe koty...

A pani Tadeuszowa uśmiechnęła się na to jakoś kwaśno. Jej nie po myśli były te projekty. Ona dla swego Stasia świetniejszą wymarzyła przyszłość. Stadłów, to wieś co się zowie, a i jej majątek nad Wartą wart ze sto tysięcy. A Hordżów — to maleństwo o trzystu morgach. I jakie to te trzysta morgów—pożal się Boże! Żyto liche się rodzi i nic więcej, tylko owsy i owsy. A jaka hipoteka obciążona! Szkoda Stasia dla takiej Hordżanki!

Ale Staś już dwunasty rok kończy na Świętego Jana — i do szkół jedzie do miasta. Pojechali obaj ojcowie: jeden odwiózł syna, drugi przywiózł dla córki guwernantkę. Hej, hej, przy gramatyce łacińskiej zapomni Staś o Dalci. A jak zacznie wybębniać gamy na klawikordzie, zapomni Dalcia o Stasiu.

I przyjechał Staś na wakacye i matki już swej nie zastał. Zawiózł go ojciec do Hordżyńca i ucieszył się chłopczyna i dziewczę się ucieszyło, jak ro-

dzonym bratem. Chciał ją Staś, jak dawniej, znowu objąć w ramiona i pocałować, ale dziewczę usunęło się sztywnie i zarumieniło po uszka i oczęta bure spuściło ku ziemi. Taka to nauka tych guwernantek!

Zdziwił się Staś i zmieszał, jakby kto zimną nagle obryzgnął go wodą. Zesztywniał i zlodowaciał i już sam nie wie, jaką nastroić minę wobec tej dorosłej panny.

Zażenowana panna, zażenowany kawaler—i nie wiedzą, o czem tu z sobą mówić. I tak im razem obojgu jakoś dziwnie, opacznie, nieswobodnie. Siedzą przy sobie jak na szpilkach. Jednoby czemprędzej wyrwać się rade z tego przymusu i drugie także: nudno im, strasznie nudno im razem. Gdyby ich samych zostawić z godzinkę, kto wie, zmieniłoby się to może? Ale nie, nie, będzie na to czas jeszcze. Niech przywykną do siebie, jak brat do siostry, jak siostra do brata: znajdą oni z sobą kiedyś przedmiot rozmowy, co ich nigdy nie znudzi... aj, tożto będzie odkrycie!... Aj, tożto będzie odkrycie!

Patrzą na nich starzy i uśmiechają się do siebie i mrugają oczyma znacząco. Obu przypomina się rada poczciwego sąsiada, p. Melitona.

...Ale otóż i on. Taranty! Wszakci to jego taranty? On, Pan Meliton Grycz we własnej osobie. Będzie partyjka, będzie taroczek.

— No, cóż ci się to stało, sąsiedzie? Cóż tak kiwasz ręką? czy jaka zła wiadomość?

— *Kołderka* jużci zła.

— Gadaj, gadaj.

— Cóż chcesz? Ubył znowu jeden z szesnastu...

— *Tam do niego!* kto taki?

— Onarski. — A mówiłem mu, mówiłem: Nie pij ty tej swojej „czarnej gorącej“, przynajmniej takiego wrzątku nie pij—bo ci to kiedyś przyjdzie odpokutować! A on się śmiał. „Gadaj zdrów! co warte życie bez kawy! a co warta kawa zimna“! Masz teraz gorącą kawę, Ignasiu!... Wypił, zapalił faję, pyknął dwa razy, pyk-pyk i już go niema. — Nadje-

chał właśnie młody Zrębicki, jak go trzeźwili, chciał mu krew puścić—ba, ba! *kołderka!* ani kropelka nie pociekła.

— Jakbym przeczuł! śnił mi się wczoraj—rzekł Hordża smutnie i westchnął.

— Taki tęgi chłop!—zawołał p. Tadeusz z żalem.—A mego wzrostu był, mojej kompleksyi...

— No, ale baryła, takich najłatwiej apopleksya zmiata... A jakie on zęby miał! *kołderka!* jakie zęby! Stary człek, a orzechy gryzł jak student.

— Tak jak ja, tak jak ja! — przerwał pan Tadeusz. — Ja czuję, że ja tak samo kiedyś skończę. Nieraz, niech się tylko zirytuję, niech się zgniewam, choćby na psa, a krew mi zaraz buch-buch do głowy — aż mi się w oczach zaćmi... Oj, starzeję się, *tam do niego!* kaducznie się starzeję!

— Tadziu, Tadziu! co tobie mówić o starości.— przerwał mu Hordża z gorzkim uśmiechem. — Tyś jak dąb silny i zdrów. Ale ja! popatrz na mnie: wszak ja już prawie siwy i chylę się z każdym rokiem ku ziemi... Przedwczesna starość, ale starość.. a tem gorzej, że przedwczesna!

— Fe, fe, panie Andrzeju! *Kołderka!* Co wam obu gadać o chorobie! Ja, mości dobrodzieju, gdybym morrysona nie zażywał, to jużbym dawno był waszym kwatermistrzem na tamtym świecie. Morryson to cały sekret. I tybyś, panie dobrodzieju, powinien wziąć się do morrysona—blady jesteś, blady, a cera żółta, krwi w tobie mało, mało krwi! Na to tylko morryson poradzi... A ty, panie Tadeuszu, masz jej znowu za wiele: ej, bierz się do morrysona, powiadam! *Kołderka*, bierz się do morrysona...

Zaśmieli się obaj pacyenci z tej rady, hucznym śmiechem p. Tadeusz, zgryźliwie zachichotał p. Andrzej.

— No, śmiejcie się, śmiejcie, a nieboszczyk Onarski gdyby był rady mojej słuchał i morrysona zażywał, toby był nas wszystkich przeżył... Nietylko

nas trzech, ale całą naszą napoleońską szesnastkę— i panna Renata miałaby kiedyś Korczunkowce...

— A iluż to nas jeszcze zostało z tej szesnastki?

— Ilu? Już nas tylko jedenastu!

— *Tam do niego!* nie może być!—zawołał pan Tadeusz.

— Nie może być? *Kołderka!* a no, porachuj! Najprzód Piotr, potem obaj Trachoccy, potem Mołaszewski... no, i Onarski: pięciu!

Tam do niego! Pięć lat od jego śmierci i pięciu już poszło za nim...

A Hordża się zadumał.

— Ha, wiecie co, to już fatum takie: pięć lat i pięciu braknie, w szesnastym roku umrze szesnasty...

— Eh, cóż znowu! *Kołderka!* Seweryn, Adam, to młodzi ludzie, pożyją oni dłużej jeszcze niż jedenaście lat. A Tadeusz — stary, ale jary, ho ho, on i setki dożyje! *Kołderka!* daj mu panie Boże!... No, a my? Przecież i nam się jeszcze coś więcej należy na świecie niż jedenaście lat...

— Zobaczycie, że tak będzie!... A zważcie-no jeszcze, jak się to dziwnie składa: na owych ostatnich imieninach Napoleona pierwszy do niego przyjechał pewnie Sarzewski... no, bo to już jego zwyczaj był taki, ze zawsze i wszędzie przyjeżdżał najpierwszy...

— Prawda, prawda, *kołderka!* jak na mszę pojechał, to zawsze zastawał kościół jeszcze zamknięty i proboszcza budził.

— A na obiad przyjeżdżał do mnie, do Stadłowa, o dziesiątej!

— Widzicie! Otóż on pewnie najpierwszy przyjechał do Napoleona i on też najpierwszy umarł...

— No, to i cóż ztąd?

— A po nim, uważajcie tylko, a po nim już pewnie pierwsi przyjechali Trachoccy, bo im do

Korczunkowiec najbliżej... Razem przyjechali i razem zmarli na cholerę...

— E, bredzisz, bredzisz, Andrzeju! Któżby tam w takie wróżby wierzył!

— Słuchajcie tylko, kto mógł przyjechać po Trachockich? Komu najbliżej do Korczunkowiec? Mołaszewskiemu!—to i on już nie żyje... A po nim najbliżej było Onarskiemu... no, powiedzcie sami...

— Bredzisz! bredzisz! — przerywał mu pan Tadeusz napróżno. Pan Meliton wzruszał ramionami. Hordża nie dał się sprowadzić z tropu.

—A po Onarskim... to pewnie ja przyjechałem... Nie pamiętam—ale pewnie ja!...

— Co znowu! co znowu!

— Teraz na mnie kolej! — dodał złowróżbnym tonem Hordża.

— *Tam do niego!* banialuki! jeszcze czego! — oburzył się pan Tadeusz.

— Obaczysz... obaczysz! — szepnął ponuro pan Andrzej.

— *Kołderka!* otóż nie!—zawołał, śmiejąc się wesoło pan Meliton... — Doskonale! przypomniałem sobie! Ty, Hordża, przejechałeś wtedy ostatni...

— Jak to ja? ja? — zapytał z dziwnym jakimś wyrazem niedowierzania pan Andrzej. — Jakżeby to mogło być!

— Otóż ty! Czy nie pamiętasz, jakim ty wtedy zaprzęgiem zajechałeś do Korczunkowiec? Nie pamiętasz, że ci koń w drodze zakulał i przyprzęgłeś jakieś żydowskie chabety?... Ty, ty, przyjechałeś ostatni... jużeśmy mieli siadać do stołu...

— Prawda! prawda! — przypomniał sobie pan Andrzej. Szczególniejsza radość przebijała się w jego głosie.

— Tak, tak! ty! *kołderka!*... Ty nas przeżyjesz wszystkich i Korczunkowce ty odziedziczysz. Panna Magdusia będzie wielką panią.

Zadumał się pan Andrzej. I uśmiechał się i milczał i słuchał tak, jakby mu święta jaka wró-

żyła wyrocznia... Dziwnie przesądni są ludzie tego temperamentu i usposobienia! Ci ludzie z zaciśniętemi ustami, z oczyma mglistemi, zapatrzonemi gdzieś w przestrzeń, dziwni to ludzie! Oj, prawda to, prawda! za młodu dziwni, dziwniejsi na starość.

A starość — dziwnaż to choroba! Wysycha serce. A ten żar tłumiony za młodu w zamkniętej piersi — jak w zamkniętym piecu, pełnym czerwonego węgla, od dymu własnego dusi się i dusi i swędem odurza i w gorzki rozpada się popiół. Z żaru swąd, z węgla popiół, z serdecznego ciepła samolubna gorycz i maloduszne życia pragnienie, i chciwość, i zawiść. Co rok to głębiej grzązł, grzązł, zapadał, nurzał się w tej ducha otchłani pan Andrzej, jak zbłąkany wędrowiec w leśnem trzęsawisku...

Tak zbliżała się starość...

— Ja ostatni... ja ostatni!.. Jedenaście lat jeszcze!... jedenaście lat! — szeptał sam do siebie. A twarz miał taką, jak więzień udarowany życiem w dniu, w którym miał dać gardło, jak skąpiec, któremu do niepełnego worka dosypie kto pełną garść złota.

W siebie wpatrzony, a z tym uśmiechem chciwca na porytej zmarszczkami, wywiędłej twarzy — brzydki był.

Spojrzał na niego p. Tadeusz i wzruszył ramionami. I pąsem oblała mu się twarz i czoło: spojrzał raz jeszcze i niecierpliwym krokiem zaczął chodzić po izbie. Jeszcze takim nie widział nigdy druha młodości swojej. Niemiło mu było widzieć go takim. On w sobie czuł jeszcze życiem bijące tętna jak za młodu — a ten druh jego już tak się postarzał, już taki stary ciałem i duchem.

Nałożył p. Tadeusz fajkę, nadkruszył kawałek czyru i zapalił. A p. Meliton tymczasem ze znanej mu szuflady wyciągnął tarokową talię i do gry się sposobił.

Hordża jak utonął w zadumie, tak duma i duma i uśmiecha się sam do siebie.

Ej, Hordża, Hordża! gdyby kto ci był kiedy za młodu powiedział, w owej zawierusze wojennej, wśród gradu kul, w owej niezapomnianej szarży na armaty, gdyby kto ci był wtedy powiedział, jakim ty będziesz na starość, jak chciwie łaknąć będziesz życia, ty, coś niem tak szafował ochotnie... czybyś ty był mu uwierzył? a gdybyś uwierzył, czy nie wolałbyś zginąć?...

— O czem myślisz Andrzeju? — zapytał gniewnie p. Tadeusz.

Ocknął się ze swej mrzonki p. Andrzej—i miał już na ustach jakieś słowo odpowiedzi, może: „ja ostatni“.... może: „jedenascie lat“... ale niedomówione skonało na języku.

— Nic.., nic...

— Kiedyż pogrzeb Ignacego? — zapytał p. Tadeusz p. Grycza.

— Pojutrze. Wy pojedziecie?

— Pojedziemy oczywiście!... A ztamtąd chyba już wprost na imieniny do Korczunkowiec?

— Prawda! to już 15 sierpnia pojutrze.

I zasiedli do gry.

A no, i grali.

I dwa razy raz po raz dostał się *Pagat-ultimo* panu Andrzejowi. I miał to p. Andrzej za dobrą wróżbę dla siebie. Miał to za potwierdzenie dobrej wróżby.

A młoda para oswoiła się tymczasem już nieco z sobą i lody zaczęły pękać. Hej, hej, na wiosnę prędko lody pękają.

On miał lat trzynaście. Ona kończyła rok dziesiąty. Ale ona mówiła do niego: panie Stanisławie, a on do niej mówił: panno Magdaleno. Ale pomimo tej etykiety, lody już pękały.

I od słowa do słowa, od zwierzenia do zwierzenia, ona mu wyznała, że nie cierpi francuzczyzny. A on jej wyznał, że *Cornelius Nepos* nieznośny.

Zaufanie za zaufanie. I on jej wyznał, że profesor matematyki jest pedant, jakiego świat nie wi-

dział... A ona mu wyznała, że panna Dygaszewska czasem taka nudna jak lukrecya.

I wyznała mu dalej, że dla ojca haftuje w sekrecie pantofle. A on jej wyznał, że był w mieście dwa razy w teatrze, i że taką teraz pisze komedyę, jak Fredro. Będzie w tej komedyi polowanie — a bohater zastrzeli na scenie niedźwiedzia.

Ona bardzo lubi teatr i grywa zawsze komedye z Zuzią Lisobrodzką i jej braćmi, kiedy ją ojciec do Strumiłki zawiezie. Nigdzie się tak nie bawi, jak w Strumiłce. Opowiedziała mu, jak odgrywa rolę starej klucznicy w ogromnym czepku i w niebieskich okularach. A te okulary, to okulary Zuzinej ciotki— i do rozpuku wszyscy się śmieją kiedy wyjdzie na scenę w tych okularach i w czepku ot, takim, takim dużym,..

A on jej opowiada, że ten, kto będzie grał niedźwiedzia, ubierze się w niedźwiedzie futro na wywrót, a łeb niedźwiedzi on już ulepi z papieru i pomaluje. I opowiada jej, co tam będzie dalej w tej jego komedyi. I dodaje, że gdy ją dokończy, to na przyszłe wakacye będą ją grali. Uprosi ojca, aby go także zawiózł do Strumiłki kiedy ona tam będzie. Będą grali tę komedyę u Lisobrodzkich.

Ale ona mu na to, że nic z tego projektu, bo na przyszłe wakacye ona już nie będzie w Hordżyńcu, ojciec zawiezie ją daleko, do jej babki, daleko bardzo, aż do Krakowa U babki ma pozostać aż do ukończenia edukacyi. Zuzię także do Krakowa odwiezie pani Lisobrodzka na pensyę.

— A mnie ojciec obiecał kiedyś, że mnie w Poznańskie zawiezie do wuja Tytusa, to pojedziemy przez Kraków, a ja wtedy przyjdę do panny Magdaleny z wizytą.

— Kiedy panna Dygaszewska mówiła, że panny wizyt nie przyjmują.

— Dlaczego? — zapytał Staś.

— Ja nie wiem dlaczego. Nie wypada...

— To ja przyjdę w sekrecie...

Ale panna Dygaszewska zjawiła się w tej chwili za plecami młodej pary i wezwała na podwieczorek. Zarumienił się kawaler, panna spiekła raka—ja sam nie wiem czemu.

A po podwieczorku stały już bryczki przed dworkiem i p. Łęgoborski zawołał:

— No, Stasiu, zbieraj się! jedziemy!

Chciał ich zatrzymać pan Hordża, ale Łęgoborski spieszył się do domu.

— Obaczymy się pojutrze, na pogrzebie Ignacego.

— Dobrze, na pogrzebie! A ztamtąd pojedziemy wprost do Korczunkowiec.

— Wprost do Korczunkowiec.

I pojechał.

A p. Hordży śniło się tej nocy, że jest tarokowym Pagatem i że ostatnią lewę przybija. *Ultima!* zawołał przez sen.

Pamiętał ten sen nazajutrz i brał go za dobrą wróżbę.

A pojutrze pojechał na pogrzeb Ignacego — a ztamtąd wprost do Korczunkowiec — na imieniny.

Dziwne też to były te coroczne pośmiertne imieniny nieboszczyka Napoleona!

Ha! zjeżdżali się sąsiedzi, jak za jego życia. I zasiadali w koło stołu do sutej biesiady, jak za jego życia. I krążył wiwatowy kielich, jak za jego życia.

Tylko nie zdrowie jego pito, ale cześć jego pamięci.

A zresztą było tak wszystko, jak za jego życia.

Taka była jego wola ostatnia, taki jego testament i tak się działo.

I witał gości w progu stary Błażej, kamerdyner nieboszczyka, gładko ogolony, z serwetą na ramieniu, w białej chustce na szyi grubo nawiązanej i w granatowym fraku z mosiężnemi guzikami.

Tak co roku, co roku w ten dzień. Tylko co roku siwiała mu bardziej gęsta kędzierzawa czu-

pryna, siwiały gęste brwi krzaczyste i coraz hojniejszą rozrastały się wegetacyą zwisających długich włosów. Niby coś jak gałązki brzozy płaczącej, zwieszone nad modrą sadzawką źrenicy... Złe porównanie.

Ale i zmarzczków przybywało na chudej, kościstej twarzy Błażeja, och przybywało! I w dzień solenny co roku każdy z gości, wysiadając przed gankiem z bryczki z pomocą Błażeja, witał się z nim, jak ze starym dobrym znajomym po roku niewidzenia i dostrzegał, że sporo przybyło mu na twarzy nowych bruzd i fałdów. Hej, czas, czas, oracz to nad oracze! Orze, orze coraz głębiej i głębiej, aż i calca dobędzie i wyorze grób.

— Postarzałeś się, Błażeju!

— Postarzałem, wielmożny panie!—odpowiadał, kołysząc głową w tył i naprzód Błażej i wzdychał.

I dodał w pierwszym roku po śmierci swego pana:

— Hej. hej, wielmożny panie, już i naszego pana Sarzewskiego nie ma. Dobry to był pan! Świeć Panie jego duszy!

A w drugim roku dodał:

— Niema już naszych panów Trachockich. Oj, dobrzy to byli panowie, dobrzy! Daj im panie Boże królestwo niebieskie!

A w czwartym tak samo powiedział o panu Leonie Mołaszewskim.

A o p. Ignacym Onarskim tak powie pewnie w tym roku piątym! Hej, hej!

I kto z gości imieninowych przybył do korczunkowieckiego dworu i wtłoczył do dłoni staremu czerwieńca, i to samo co roku spotykało go przywitanie, nekrolog na przywitanie... no! to już każdy sobie pomyślał: ubył znów jeden z naszych; na przyszły rok, kto wie, stary kruk może o mnie tak powie, jak o nim:

— Niema go, dobre to było panisko, świeć Panie jego duszy!...

A w jadalnej sali zsunięte razem w podkowę trzy stoły, białym nakryte obrusem, pokarbowanym misternie kredencarską sztuką — i zastawa na stole ta sama, jak za życia nieboszczyka—i kwiaty w tych samych japońskich wazonach—i wszystko, jak za życia nieboszczyka. I takie same dwie piramidy kolorowe z kruchego ciasta, zlepianego karmelem. I ten sam trójnóg bronzowy w pośrodku, z czarną murzynką, trzymającą na głowie dużą kryształową banię, pełną pomarańcz z korczunkowieckiej szklarni z ananasem u góry.

I omszone rzędem butelki na srebrnych prawdach, aby pleśnią nie walały obrusa — i cały pluton kieliszków—i duży wiwatowy kielich przed miejscem pana Eustachego, który jako najstarszy wiekiem i powagą, wnosił zawsze gospodarza zdrowie. Wszystko jak za życia jego.

A siedmnaście dokoła stołu krzeseł, siedmnaście nakryć na stole—tak jak było wtedy, kiedy sam gości przyjmował.

Pięć lat od jego śmierci, pięć lat od otworzenia testamentu i wszystko się tak dzieje, jak się działo za jego życia. I w dzień jego imienin 15 sierpnia zjeżdżają się sąsiedzi, tak jak tego sobie życzył w testamencie. Wszystko tak, jak chciał.

Ale coraz gości tych ubywa, coraz zmniejsza się ich liczba, aż kiedyś przybędzie już tylko ostatni — sam jeden — i stanie się dziedzicem Korczunkowiec i Wikliniec Wielkich i Małych, i Żórawki, i Sęków, i Karpiłowa.

Tak chciał ś. p. Napoleon i tak postanowił w swoim testamencie. I tak się też stanie.

A któżby przez trzy lata z rzędu zaniedbał przyjechać do nieboszczyka na jego imieniny w dzień św. Napoleona dnia 15 sierpnia, to ten traci już prawo do spadku.

Ale nikt nie opuszcza dnia tego — tylko ci, co pomarli.

Pięć lat upłynęło od jego śmierci i pięciu już brakuje. I pięć ich nakryć, a szóste gospodarza daremnie Błażej ustawia na stole; niezajętych sześć stoi krzeseł, czarną pokrytych krepą.

Smutna to biesiada z umarłymi — i z tym wiwatowym kielichem, przewiązanym szeroką z czarnej krepy kokardą!

Jako-tako było w pierwszym roku, jako-tako w drugim. Ale odtąd co roku to smutniej, co roku to smutniej.

Co roku smutniej. A pan Grzegorz Rawlikowski, człowiek jowialny i facecyonista, który bywało jak głos zabierze, jak słowo rzuci, jak gestem sprezentuje *kreishauptmana* Niemca, to wszyscy kładą się od śmiechu i nieboszczyk Onarski za brzuch się chwyta, a pan Tadeusz Lęgoborski jak bóbr się spłacze... pan Grzegorz dziś jak mruk siedzi i czoło pofałdował i ściągnął jak worek na nitkę i w talerz patrzy wprost przed siebie i tylko wąsami rusza.

A pan Zrębicki, hej, pan Zrębicki, jak się to śmiał dawniej! Jak huknął swoim basem, to aż szyby się trzęsły, a wszystkich przygłuszył. Choć wszyscy się śmiali, to tak się zdawało, że on sam się śmieje. A dzisiaj siedzi między dwoma pustemi krzesłami: po prawej ręce miewał obok siebie Onarskiego, po lewej siadał obok niego starszy Trachocki—a obu ich już niema. I tak dziś ciężko panu Kazimierzowi, że ani się uśmiechnie i tylko spogląda od czasu do czasu zezem to na puste krzesło po prawej, to na puste krzesło po lewej. I tak mu jest, jakby przez niego śmierć przeskoczyła.

A pan Radwan, który jadł za trzech, pił za trzech—i nie je, i nie pije, ino wzdycha ciężko, jakby miech kowalski, i wąsy sobie ociera.

A pan Seweryn Rogojewski—no, ten bo znowu nigdy nie jadł, chudy jak szczypa, to i teraz nie je swoim zwyczajem. Ależ gadał on, gadał dawniej

jak koło młyńskie, usta mu się nie zamykały, język nie spoczął na chwilę, terkotał jak zepsuta młocarnia, a bez przestanku, bez pauzy i bez komy, a prędko, a niewyraźnie, jakby miał kluski w gębie. A rękoma długiemi gestykulował i wywijał niemi w powietrzu, jakby skrzydłami wiatraka. A dziś to i on jak mruk. Gałki tylko z chleba kręci chudemi palcami i w zębach dłubie piórkiem i głową kiwa, własnym przytakując myślom. Ruszy czasem ustami, jakby chciał co mówić—i nic nie powie. Cmoknie tylko językiem, i odchrząknie, i winem popije.

No, i tak wszyscy.

A p. Józef Municki nie docina już cienkim głosem panu Mołaszewskiemu, któremu pani Lisobrodzka na *Prima Aprilis* dała wronę na pieczyste. Nie docina mu, że gdy z nim spał w jednym pokoju, to słyszał, jak w nocy wrona mu w brzuchu krakała. Jak mu ma przymawiać, kiedy pan Mołaszewski nieboszczyk. Kracze wrona, ale na jego grobie.

A p. Jan Krzeptycki nie przysięga się już gospodarzowi, że jak jeszcze jeden kieliszek więcej wychyli, to rozbije tę głowę Woltera z szatańskim uśmiechem stojącą na biurku, bo jej znieść nie może. Kieliszek węgrzyna po kieliszku wychyla do gardła p. Jan, jakby chciał zalać co w sercu. A gdy na Woltera spojrzy czasem, to mu się zdaje, że ten biust marmurowy, przypruszony pyłem, co roku na to sąsiedzkie koło spogląda z większą ironią... Tak mu się wydaje naprawdę.

A młodszy Trachocki z Lęgoborskim się nie spiera, że go myszy zjedzą, jak króla Popiela, bo kotów nie lubi i ani jednego kota niema w Stadłowie. Jego to myszy jedzą, jego, do współki z plugawem robactwem... Ha, może go już zjadły.

A Trachocki starszy, stary kawaler, nie zapewnia Onarskiego, że jak jego Renatka dorośnie, to przyhędzie w konkury. *Kostusia* od trzech lat

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

już objęła konkurenta w ramiona i już nigdy go nie puści, a Renia Onarska od trzech lat sierotą...

A p. Meliton Grycz lubi przecież mówić i konceptu mu nie brak, a milczy teraz i ani się odezwie i po wszystkich tylko spogląda twarzach, tak jakby myślał: *Kołderka?* a na kogo z nas teraz kolej... na kogo?

I cicho jakby mak siał. Czasem tylko zadzwoni szkło, albo zgrzytnie nóż na talerzu. Cicho, jak w kamedulskim refektarzu, a to przecież uczta sąsiedzka i przyjacielski zjazd i imieniny.

Imieniny, ba, prawda, ale to imieniny nieboszczyka. Niby stypa coroczna, niby imieniny.

I przemówił wreszcie p. Lisobrodzki.

— Hej, panie Eustachy, już czas! — rzekł Lisobrodzki ponuro i podsunął wiwatowy kielich panu Zawornickiemu.

Napełnił go p. Zawornicki po brzegi i wstał:

— Cześć pamięci solenizanta!—zaintonował poważnie takim głosem, jakby mówił: *Requiescat in pace!*

I podniósł kielich w górę, ku pustemu obracając się miejscu, gdzie siadał gospodarz. I poniósł kielich do ust i przechylił i wychylił do kropli. Otarł brzegi serwetą i podał p. Zrębickiemu. A nim pić zaczął, powinien był powiedzieć: W ręce twoje Zrębicki! A nie powiedział tego p. Eustachy, choć to stary wyga i doświadczony w tych rzeczach. Nie pierwszyzna to mu przecie pić kolejką z wiwatowego kielicha—i wie, co się komu należy i co zwyczaj każe, a jednak nie powiedział.

Przyjął kielich Zrębicki, a Błażej już stał za nim i wino nalewał, ale brzydko się jakoś spojrzał pan Kazimierz na p. Eustachego i choć nic nie mówił, to w głębi duszy za złą to sobie miał wróżbę, że poprzednik nie pił w jego ręce, tak jakby go już nie było w gronie biesiadników. Ot, co tam się temu dziwić, co tu długo gadać: stary bał się śmierci i kwita, jak każdy stary, choć udaje zucha. Umierać

mu się nie chciało, zwyczajnie jak staremu, toż się bał złych wróżb. Bo to jak na starem drzewie mech zawsze porasta i huby, tak na starym człeku porastają przesądy. A Hordża naprzykład, czy nie taki sam, jak Zrębicki? Ot, i z was, co to czytacie, nie jeden taki sam. Smieje się i mówi, że to głupstwo, a w gruncie serca to i on taki sam, jak Zrębicki i Hordża. Prawdziwie, że taki sam.—Nie gniewajcie się, nie gniewajcie; prawda nie grzech. A ja przecież na to piszę, aby prawdę pisać. To się też nie gniewajcie.

Ot, nasunęliście mi się na myśl i przerwali moje opowiadanie i wątek straciłem.

— ...Aha! już wiem.

I wziął Zrębicki pełny kielich oburącz i kiwnął głową do Hordży:

— W ręce twoje, Andrzeju: cześć pamięci solenizanta!...

I wychylił kielich do dna i obtarł serwetą i panu Andrzejowi podał.

I tak dalej i tak dalej, aż wszystkich jedenastu kolej obeszła i aż wszyscy wypili.

I dalsze potem nastąpiły toasty, cześć pamięci Sarzewskiego i cześć pamięci braci Trachockich i Mołaszewskiego i Onarskiego. I podochociła już sobie trochę szlachta węgrzynem i zaczęła gwarzyć o tych, co pomarli i wspominać o nich, co kto miał na sercu i na pamięci. I rozrzewnił się ten i ów i niejeden łzę otarł za sąsiadem, za towarzyszem młodych lat, za przyjacielem.

I podniósł się p. Meliton Grycz i zawołał:

— Sąsiedzkie zdrowie! *Kołderka!* obyśmy się wszyscy a wszyscy, przez długie a długie jeszcze lata zjeżdżali w dzień solenizanta! w bratniej zgodzie i miłości!

I wypili wszyscy, a niejeden pomyślał: Hej, hej! przeszłego roku piliśmy także to zdrowie i zaprzeszłego także, a co rok nam ktoś z grona ubywa. Od dziś za rok, któż wie, kto wie kogo tu zabra-

knie... może ten, może ów, może ja... ha, może ja.

A potem jeszcze p. Tadeusz Łęgoborski zaintonował: „kochajmy się!“—i uderzyli wszyscy kieliszkami i każdy z każdym się trącił, a ci, co kochali się serdecznie, objęli się w ramiona i ucałowali.— No i basta. Podano czarną kawę i fajki.

I tu już inaczej się stało, niż za nieboszczyka. Bo za nieboszczyka kawę po obiedzie przynosił zawsze kredencerz, a od pierwszej rocznicy po śmierci p. Napoleona klucznica, pani Spalczykowska, inny zaprowadziła zwyczaj i mimo protestów Błażeja, co roku ponawia samowolną swoją interwencyę: sama po obiedzie kawę czarną przynosi na srebrnej tacce w imbryczku ze starosaskiej porcelany—i stawia ją na stole; a przychodzi spłakana, i postawiwszy kawę, stoi jeszcze chwilkę i płacze i fartuszkiem bielutkim łezki ociera. A gdy kto z gości do niej zagada, jeszcze więcej się rozrzewni i rozpłacze i szlochająca wychodzi.

I co roku tak samo. I płacze co roku, jakby po świeżej stracie dobrego pana, prawdziwemi łzami płacze. A wystroi się co roku jak może najlepiej, żeby jej do twarzy było. I jeszcze wcale ładna ta Spalczykowska, choć jej już czterdziestka minęła. Bóg tam wiedzieć raczy, po co ona to robi, ale robi tak. Co roku tak robi.

I przeszli panowie sąsiedzi z jadalni do bawialni i zasiedli wszyscy. A pan Radwan i pan Municki rozłożyli na stole plik papierów i jęli zdawać sprawę z całorocznego zarządu majątkiem nieboszczyka gospodarza. Bo oni to na ten rok powierzoną mieli sobie administracyę.

I wysłuchano i pokwitowano, bo wszystko było w należytym porządku. I gospodarka szła dobrze i dochody obrócone były wedle woli testatora. I stanął w tym piątym roku z dochodów całego klucza szpital w Wiklińcach i szkółka stanęła w Karpiłowie. I stanęły i dostatnie otrzymały uposażenie.

I tak rok po roku oznaczonem było w testamencie, na co ma być dochód obrócony i co roku jedna lub dwie pożyteczne fundacye poczciwie wchodziły w życie. Cześć śp. Napoleonowi, cześć mu, cześć! Mało takich, jak on, mało takich! A już takiego testamentu, jak jego testament, to szukać po świecie, a nie znajdzie się łatwo drugi.

Mówcie zdrowi, że mu to było łatwiej, niż komu innemu, bo nie miał ani żony, ani dzieci, ani krewnych i powinowatych, bo o rodzinie Prywzdowiczów nigdzie ani słychu, ani dychu. To i cóż ztąd, że o Prywzdowiczach nikt nie słyszał? Nie jeden to człek na świecie bożym sam jak palec, bez rodziny i bez krewnych, choćby nie wiem już tam w którym stopniu najdalszym—i nie jeden niema tu nikogo, komuby zostawił kabzę wypchaną i ziemię wyoraną i stogi i brogi pełne i ładne w oborze bydełko, a jak umrze, to jeśli się znajdzie spisana wola ostatnia, to się pokaże, że swem mieniem tak rozporządził, że to ani jemu na chwałę, ani ludziom na pożytek. A któżby to powiedział o Napoleonie? Mało takich jak on, mało. Cześć jego pamięci.

A o sobie on nie pamiętał wcale. Ani na msze za swoją duszę, ani na kaplicę nagrobną, ani na nagrobek nie przeznaczył ani grosza. Nic dla swej pamięci. Kamień tylko na swoim grobie położyć kazał, a na nim swe imię, ale bez nazwiska— i datę urodzenia i datę swej śmierci. A datę urodzenia w testamencie podał taką (no, to już chyba przez omyłkę), że wypadało z rachunku, jakoby umierając miał lat czterdzieści, a on miał pewnie przeszło sześćdziesiąt, do siedemdziesięciu może.

Dziwny człowiek! Czyżby on to rozmyślnie zrobił?... A na co?...

Na parę lat przed śmiercią powiedział raz wprawdzie panu Eustachemu na jego zapytanie: ile lat sobie liczy, ale powiedział ze śmiechem, „że niema czterdziestu.“ No, ale to wszyscy za żart

uważali, bo mu już sześćdziesiątka patrzyła z oczu i z twarzy. I on sam się śmiał.

I powiedział raz także, nie pamiętam komu, że niektórzy ludzie dwa razy się rodzą i umierają podwakroć. Ale to powiedział, ot tak sobie na wiatr. Bo i cóżby to mogło znaczyć?

Nie wiedział nikt naprawdę, ile lat mu liczyć, ani gdzie się urodził, ani gdzie po świecie chodził. A wiedziano tylko, że znał Francyę i Włochy, jakby biurko własne i na lwy gdzieś polował i za morza wędrował. A gdy się raz zjawił Anglik na jarmarku, Bóg wie za jakim pytając towarem, to się z nim Prywzdowicz rozmówił jego szwargotem, jak brat z bratem rodzonym. A kiedy szło o to, aby broń naprawić, to się brał do tego, jak jaki rusznikarz, a kiedy młyn lub młocarnię, to jakby mechanik. A kiedy Trachoccy dwór mieli budować, to im p. Napoleon taki plan nakreślił, żeby się budowniczy i żaden architekt nie zdobył na lepszy. A kiedy w okolicy chorowało bydło, to Prywzdowicz leczył jak weterynarz z patentem. Wszystko umiał, wszystko wiedział, wszystkiemi mówił językami, a sprowadzał sobie książki w różnych językach i czytał i czytał.

A w co wierzył? Któż tam dziś wie, w co kto wierzy na świecie! Nie odgadniesz, w co ci wierzą, co bywają w kościele co dzień i w niedzielę i odmawiają różaniec i do bractwa należą— nie odgadniesz w co tam naprawdę wierzą, co u nich polityka, a co u nich szczera wiara, a gdzieżbyś tam odgadł takiego Prywzdowicza! Za życiabyś go nie odgadł i nie docieczesz po śmierci.

Ot, jedno nie trudno ci odgadnąć: *poczciwy człowiek był.*

Gdy się w te strony sprowadził—będzie temu z ćwierć wieku blizko—i kupił od Niemca Korczunkowce, a Żórawkę i Sęki od Żyda—i zapłacił gotówką, to mu zrazu nie dowierzała jakoś szlachta i patrzyła na niego z pod oka, choć wszystkich są-

siadów, jak przystoi, zaraz odwiedził. I pytano wszędzie: Prywzdowicz? Prywzdowicz? co zacz? zkąd się wziął? czy słyszał kto o Prywzdowiczach?... I nikt na to nie umiał dać odpowiedzi. I pytano, co to za rodzina, a ktoś rzekł, że litewska, a ktoś, że białoruska. A czy to szlachta Prywzdowicze? Niema o nich w Paprockim, niema w Niesieckim, niema w Wielądku, niema nawet w Piotrze Małachowskim między 26,000 nazwisk szlacheckich, niema i niema.—Zkąd się wziął? Może sroce z pod ogona? Czort go wie!—Blizna na czole na trzy palce, szrama przez twarz, a bywalec, cały świat objechał, a mówi spokojnie, pomału, jakby zegar pendułowy chodził mu w ustach zamiast języka. Zawsze jednako, nigdy prędzej, nigdy wolniej. Statecznie i poczciwie mu niby z oczu patrzy, ale co zacz i zkąd?

I zapytał go ktoś, podobno nieboszczyk Sarzewski: zkąd?

A on nachmurzył trochę czoło i patrzył w oczy prosto, prosto, a trudno ci było dotrzymać placu temu spojrzeniu, choć niby spokojne było i łagodne. I sporą chwilę dał czekać na odpowiedź, a potem rzekł poważnie:

— Z białowieskiej puszczy...

I nie wiedział p. Sarzewski, czy to żart, czy prawda, ale ton tej odpowiedzi był taki, że już pytać nie wypadało dalej.

Ale p. Zawornicki zapytał go innym razem, jakiego Prywzdowicze herbu. A p. Napoleon znowu na odpowiedź sporą kazał czekać chwilę. Potem rzekł mierzonym głosem:

— Własnego.

Ale nikt herbu u niego nie widział ani na pieczątce, ani na srebrach, ani na pojazdach i szorach i czaprakach. Nazwisko tylko wszędzie, albo pierwsze imienia i nazwiska litery. Monogram, a najczęściej samo tylko *N.* i nic więcej.—*N.* bez korony i więcej nic.

A gdy go o przeszłość kto spytał i o jego po szerokim świecie przez lat tyle włóczęgę i co go do tej skłoniło wędrówki—i czy, zanim Korczunkowce kupił, inny gdzie jaki sprzedał majątek... gdy go kto o to lub o co podobnego zapytał, to jednę zawsze tylko otrzymał odpowiedź:

— Ja o tem mówić nie lubię.

I tak jakoś serdecznie i z taką to mówił prostotą, że nigdy nikomu na myśl nie przyszło nalegać. A kto ją raz w życiu otrzymał, to i nie spytał raz drugi.

Zwolna, zwolna przywykali wszyscy. Zwolna, zwolna ucichły pogłoski, niedorzeczne domysły, niedorzeczniejsze baśnie. Zwolna uspokoiły się obawy, czy tam za tą poczciwą pokiereszowaną twarzą chytra jaka, zdradliwa nie przyczaiła się dusza, i czy na łatwowiernych nie czyha, aby napaść znienacka wilczym skokiem z po za skóry baraniej. Wilk to, czy nie wilk?... Eh, nie wilk—przekonano się wreszcie.—Ale lis może? I minęło lat kilka i różne w okolicy zaszły wypadki, i nie jedno zdarzenie, co mogło być probierczym kamieniem obywatelskiego ducha i zacności. I po kilku leciech powiedziano o nim: To człek poczciwy, dobry sąsiad, dobry obywatel!—A czy go kto lubił, czy nie lubił, to już każdy musiał przyznać, że ma rozum niepospolity, i naukę i doświadczenie i charakter co się zowie.

I minęło lat dziesięć, a już o nim mówiono:—Prywzdowicz? to perła okolicy! to człek, jakich mało!—I tak sobie podbił serca braci szlachty, że co było zacnego, to się kupiło wokoło niego, on był głową i duszą i sercem. Ani rady bez niego, ani sądu, ani zgody, ani jakiego postanowienia. „Prywzdowicz to nasz patryarcha!“

I nikt już nie pytał, co zacz i zkąd i kto go rodzi i jakiego herbu. A choć Prywzdowicz o szlachectwie nie gadał, to szlachta mówiła, że Prywzdowicze to od Gedymina pochodzą, i że mitrę książęcą mogliby nosić w herbie. I jak w to raz uwie-

rzyli, toby już im i sam Prywzdowicz nie potrafił wybić tego z głowy, i każdyby się dał za jego prozapię tak pokiereszować, jak on się dał... (ha, Bóg tam wie za co, już ci pewnie za poczciwą jaką sprawę) skiereszować tak srodze po twarzy, po czole.

Widział to ś. p. Napoleon, że go szlachta pokochała. Widział także ś. p. Napoleon, że ma mir u prostego ludu. I cieszyło go jedno i drugie go cieszyło. Ale snadź nie dbał on o to, aby utrwalić pamięć swego nazwiska i cześć, jaką swem życiem dla niego wywalczył. Ani o ożenieniu nie dał sobie nigdy mówić, choć go nieraz do tej myśli nakłonić się starano, aby tak zacny mąż i tak zamożny i szanowny obywatel cnoty swoje i cześć ludzką, i zacne nazwisko i mienie dostatne zacnym zostawił potomkom.—A nawet i wolę spisując ostatnią, swą chwałę pośmiertną i pamięć nazwiska nie wysoko zdał się ważyć, skoro nie chciał, aby na grobowym wyryć je nawet kamieniu, skoro nie chciał nawet, aby te liczne jego fundacye i szkoły i stypendya i szpitale jego nazwisko nosiły.

Jeden, jeden tylko zostawił w swoim testamencie widomy znak, że mu pogrobowe przyjaciół miłe wspomnienie. Wiecie już, jaki ustanowił porządek, aby szesnastu najbliższych mu serca sąsiadów co roku zjeżdżało się w dniu jego imienin do Korczunkowiec, i dawnym ten obchód święciło zwyczajem—jak za jego życia. A który z nich ostatni zostanie na świecie i przeżyje wszystkich szesnastu, ten będzie sukcesorem jego a dziedzicem szerokich jego włości. A ktoby przez trzy lata z rzędu na imieniny przyjechać zaniedbał, to już czwartego nie ma po co przyjeżdżać i traci do sukcesyi prawo.

Powiecie, że chciał się zapewnić, aby chociaż najbliżsi pamiętali sąsiedzi. I ja tak powiedziałem. A jednak teraz mówię, że może to, a może i nie to. Co roku bo musieli się zjeżdżać, co roku był

sejmik sąsiedzki, co roku wybrali dwóch majątku zarządców i sprawozdania słuchali i radzili, jakby najlepiej wszystkiem pokierować, a każdy przytem myślał: „wolę nieboszczyka solenizanta trzeba spełnić po szlachecku, po obywatelsku, a kto wie zresztą, jak się wartość majątku powiększy, będzie to może kiedyś dla mnie i dla moich dzieci...“ To też już każdy gorliwie radził, gorliwie czuwał. To też już każdy pomagał według sił i możności, aby szła gospodarka jaknajlepiej, a dochody aby jaknajwiększe były.

Ba, niedość na tem. Każdy drugiego prześcignąć się starał w gorliwości i dbałości o dobro fundacyi, które nieboszczyk postanowił w swej ostatniej woli. Żadenby tak nie był gorąco wziął do serca tego obywatelskiego i przyjacielskiego obowiązku, gdyby sam jeden był testamentu egzekutorem. Ale na sejmiku wszystko idzie raźniej, każdy każdego się wstydzi, każdy nad każdym czuwa, każdy każdego prześcignąć rad.

A p. Napoleon fundacye w swoich włościach uposażył suto, ale nie o swoich tylko pamiętał. Dla włościan w majątkach sąsiedzkich przeróżne także obmyślił zapisy, legaty, fundacye—nie uposażył jednakże dostateczną kwotą: dał tylko na początek to połowę, to część jakąś, to trzecią, to czwartą lub dziesiątą nawet—i nadzieję wyraził, że się reszta znajdzie...

I znalazła się zawsze. Nawet ci z sąsiedztwa, co najmniej byli skłonni do ofiar i darowizny, nie zostali z tyłu po za innymi. Dopełnili najczęściej, ile brakowało... Tacy nawet, gdzie, jak np. w dobrach Onarskiego ś. p. Napoleon żadnej nie ustanowił fundacyi, nie chcieli za innymi pozostać z tyłu i choć nie za życia swego, to w testamencie przeznaczyli fundusz na cel pożyteczny.

Duch Prywzdowicza żył w sercach jego sąsiadów. Tchnął on na nich ciepłem obywatelskiego uczucia—i żyli.

To napoleońskie zwycięztwo, większe niż pod Austerlitz i Wagram!

W proch rozsypało się ciało. Duch jego żył i działał niezmordowanie. Skuteczniej jeszcze działał niż za życia. Duch jego żył, żył zaiste pełnem życiem.

I żyje.

Przykład ojców działa na synów i wnuków.

Przykład okolicznego sąsiedztwa w coraz szerszym szerzy się okręgu.

Od jednej pochodni zażegniętych kilkadziesiąt płonie.

I coraz więcej i więcej, aż stanie się jasno od światła.

I zakróluje Prywzdowicza duch nad niemi i powiedzie je.

A stanie się to wtedy, gdy o nazwisku jego nikt już pamiętać nie będzie.

Pamiętają go dziś jeszcze starzy ludzie, ale już mało kto, mało kto. Ja sam już dobrze nie wiem, czym jego nazwiska nie przekręcił, choć tyle słyszałem o nim. Może przekręciłem, ale zdaje mi się, że nie. Ktoż wie zresztą, może i przekręciłem. Nie jestem pewny.

Mniejsza o jego nazwisko!

Gdyby komu na tem co zależało, nie trudno mu jeszcze przyjdzie dociec, ale na cóż się to przyda? Czy się kto nazywał tak, czy siak, to wszystko jedno. Czy od P., czy od T., czy od H., czy od R., to wszystko jedno. Nazwisko niczego nie poucza, nie świadczy o niczem.

No, ale ktoby był ciekawy, to dojdzie. Odszuka może nawet jeszcze gdzie w sąsiedztwie ową księgę, w zielony marmurkowy papier oprawną, w której po śmierci Napoleona zapisywali corocznie w dzień jego imienin wszyscy obecni sąsiedzi protokół bytności swojej w Korczunkowcach. Pierwszego roku było ich szesnastu, drugiego piętnastu, trze-

ciego trzynastu, czwartego dwunastu, jedenastu piątego...

I tak potem co rok prawie zmniejszała się liczba to o jednego, to o dwóch lub trzech nawet czasem. Co roku, co roku!

A żal im szczery ściskał serca, gdy widzieli, że ich coraz mniej. Bractwo z nich uczynił testament Napoleona i było między nimi braterstwo. Gdy który ubył z grona, to każdy z pozostałych czuł, jak się sypią ziarnka piasku w klepsydrze i sam się czuł ziarnkiem i czuł, że już coraz bliżej i bliżej i że wkrótce już przyjdzie kolej i na niego zsunąć się w dół.

I już siedmiu tylko ich było. I już sześciu tylko. I już czterech.

A gdy tylko czterech znalazło się przy biesiadniczym stole, i gdy ci czterej spojrzeli po sobie, oj, nie raźnie im było, nie raźnie. Przeszłego roku było ich sześciu, naraz dwóch ubyło. Już tylko czterech!

I zaledwie zasiedli i spojrzeli po sobie, to wszyscy odgadli wzajemnie swe myśli, bo każdy to samo, co drugi—i każdy z nich czuł, że z tych trzech, co patrzą na niego, każdy myśli to, co on.

Ej, przykro to powiedzieć, ale się brzydko spojrzeli na siebie. A żadenby nie przyznał, choćby go brano na spytki, żadenby nie przyznał, bo by się wstydził, jaka myśl mu w tej chwili przemknęła przez głowę, i jakie pragnienie.

— Teraz kolej na któregoś z nas... Niechże z was trzech ubędzie jeden, byle nie ja! byle nie ja!...

No, niema się czemu dziwić. A i gorszyć się niema może czem tak bardzo. Każdemu życie miłe, a cóż dopiero staremu! Im życie mniej warte, tem człeku milsze. A choć nie jeden na życie narzeka i woła śmierci jak wybawienia, to mu nie bardzo zawierzajcie przecież. Inaczej za młodu, inaczej na starość. Czy żyć warto, czy nie warto—to

inne pytanie, ale jak człowiek lat sześćdziesiąt do życia przywyka, to już się z niem nie rad rozłączyć. Do kapoty człek przywyknie i do starej czapki, co ją kilka lat nosił, a cóż dopiero do życia.

Umrzeć, umrzeć, wiem, że umrę, już to takie prawo; przeżyją mnie młodsi, ale czemuż miałby mnie przeżyć który z mych rówieśników? Tak mówi nawet człowiek, znużony życiem i pragnący śmierci. Chciałby umrzeć, ale gorzko mu pomyśleć, aby miał wyprzedzić tych, z którymi żył tyle długich lat.— Czemu ja mam być pierwszy? Niech który z was trzech...

A gdy już trzech ich tylko będzie, to każdy z nich pomyśli: Niech który z was dwóch. A gdy dwóch zostanie, to każdy pomyśli: niech tamten!

A jak powie: *niech tamten*, to już wyraźnie życzy śmierci bratu swemu.

Tak będzie, tak się stać musi, jak już tylko Hordża i Łęgoborski zostaną na świecie. Smierci obaj nawzajem życzyć sobie będą, choć to druhy serdeczne, serdeczniejsze druhy, niż gdyby braćmi rodzonymi byli.

Ale co o tem mówić. Jeszcze żyje ich czterech, a tak się już spojrzeli na siebie, jakby jeden drugiemu zazdrościł... czego? chyba życia nadziei.

I po tej smutnej biesiadzie udali się jak zwykle do bawialni nieboszczyka i zaczęli sprawdzać rachunki roczne. A administracya w tym roku była w ręku Łęgoborskiego i Grycza.

Sprawdzili rachunki i oddali zarząd Munickiemu i Hordży. Ale Hordża się wymawiał, że mu gościec kości łamie i własnej pilnie nie dozwala doglądać gospodarki, a cóż dopiero tak rozległego majątku. I wybrano Grycza ponownie.

Wtedy zabrał głos Municki i cienkim swoim tenorem temi ozwał się słowy:

— Posłuchajcie mnie, sąsiedzi! posłuchajcie i rozważcie, co wam proponować myślę... może się zgodzicie. A trzeba, żebyście się wszyscy zgodzili.

bo jak jeden powie *veto*, to i propozycya upada, bo to się większością nie rozstrzyga, ale tylko *unanimiter*, albo z tego nic.

— Słuchamy, słuchamy.

— Oto tak. Jest nas czterech. Póki żyjemy, to dochody Korczunkowieckie mają iść według woli ś. p. Napoleona na przeznaczone przez niego fundacye. Ale jak z nas już tylko jeden zostanie, to ten ostatni z naszej szesnastki odziedziczy cały jego majątek. Tak jest w testamencie, jak wiecie. Czy tak? No, tak. Otóż słuchajcie. Jest nas czterech. Który z nas przeżyje drugich, to tylko chyba samemu panu Bogu wiadomo. Może ty Tadeuszu, może ty Andrzeju, może ty Melitonie, a może ja. A każdy z nas ma nadzieję, bo jakżeby jej nie miał? Któż kiedy się z nadzieją żegna nawet na łożu śmiertelnem? Każdy z nas ma nadzieję, a pewności niema nikt; ot, ja niby to najmłodszy z was i zdrów dzięki Bogu, a pewności mieć nie mogę. No, czyż nie prawda? Każdy ma nadzieję i z ręką na sercu niech powie, to nietylko nadzieję ma, ale i życzy sobie, aby się spełniła. I ja, i ty Hordża, i ty Lęgoborski, i Meliton. Jużci, dalipan, że tak! Po co się tu wypierać! Każdy z nas czterech chciałby przeżyć wszystkich, choć o rok, choć o dzień. Czy może nie?... Posłuchajcie więc: Życzymy sobie wszyscy nawzajem najdłuższych lat, po bratersku, po sąsiedzku, a więc pocóż mamy wyczekiwać nawzajem naszej śmierci?... a każdy z nas wyczekiwać będzie i pragnąć, aby nie komu, ale jemu i dzieciom jego przypadło dziedzictwo napoleońskie... Czekać na cudzą śmierć!... Tak źle, źle. Powiedzcie sami! Prawda? My nie powinniśmy nawzajem śmierci naszej wyczekiwać kochani—nie!... Otóż tedy słuchajcie: ja wam chcę zrobić propozycyę... a proszę was, proszę, nie odpowiedźcie nic, ani tak, ani nie... Namyślcie się, rozważcie, a od dziś za tydzień zjedźmy się wszyscy w Stadłowie, albo 25 przyjedźcie do mnie do Przygórki i zrobimy ugodę, jeśli wam myśl moja przy-

padnie do serca... a jak nie, to nie... Ha, a jak nie, to nie...

— No, jakaż to propozycya? Mów, mów, Józefie—przerwał p. Tadeusz.

— *Kołderka!* coś mi się zdaje, żeś mi moją myśl wykradł z głowy!—zawołał p. Meliton.

— Otóż to tedy tak. Słuchajcie. Tak: zróbmy formalną na piśmie ugodę, że jak z nas czterech już tylko jeden zostanie na świecie i będzie miał wziąć Korczunkowce jak swoje, to spadek po panu Napoleonie pójdzie wtedy w równy podział między cztery nasze rodziny.

— *Kołderka! kołderka!*... — wołał ucieszony p. Grycz.—To myślałem właśnie, to myślałem!...

A Hordża i Łęgoborski milczeli obaj, obaj zamyśleni.

— Hm, wiesz co, możeby to i dobrze było—rzekł wreszcie p. Łęgoborski. Ale w duszy pomyślał: Municki i ja, to układ stosowny, szansę równą mamy, ale Grycza i Hordżę to przecież ja przeżyję!... Przeżyję... hm, przeżyję?... Któż zgadnie, czy przeżyję?... Możeby to i dobrze tak było... Ha, jak oni się zgodzą... ja się nie sprzeciwię.

I spojrzał na Hordżę.

Ale Hordża milczał. Zgarbiony siedział z długą antypką w ustach w rogu pokoju na sofie. Stambułkę oparł na ziemi i dumał z pochylonem czołem. Od czasu do czasu wypuszczał z ust kłąb sinego dymu.

— No, a ty Hordża, co myślisz o tym projekcie?—zapytał p. Meliton.

— Nie—bąknął zcicha Hordża—nie!...

Spojrzeli wszyscy trzej na niego. Zdziwienie malowało się na twarzach wszystkich, a Munickiego szczególniej. Propozycya wydawała mu się być właśnie najkorzystniejszą dla chorowitego Hordży, a tu Hordża mówi: *nie*. A Hordża dodał po chwili:

— Ej, nie wojujmy z Opatrznością, wie ona co robi! Nie wymijajmy przeznaczenia, bo się ono

podejść nie da. Darmo wchodzić z Panem Bogiem w kompromisy, niech się dzieje Jego wola!.,. Ja— nie, ja—nie...

— *Kołderka!* toż za Jego właśnie świętą wolą możemy zawrzeć ugodę!

— Ja nie!... ja nie! — powtarzał Hordża, paląc spokojnie fajkę.

Łęgoborski wzruszył ramionami.

— Sfiksowałeś, Andrzeju! Przecież jeśli dla kogo ten układ korzystny, to dla ciebie!

Hordża spojrzał na niego wzrokiem, pełnym wyrzutu i urazy.

— Masz mnie za najbliższego kandydata?— rzekł drżącym od gniewu głosem, nie tłumiąc goryczy.—Otóż nie!... Skrzypiące koło najdłużej wytrzyma. Prędzej ciebie apopleksya zdmuchnie.

Pociągnął dymu z fajki, z ust go gęstym kłębem wypuścił i silnem dmuchnięciem rozdmuchał w powietrzu.

Zczerwieniał na twarzy p. Tadeusz, zmarszczył czoło, nic nie rzekł.

— Panie Andrzeju kochany!—zapiszczał p. Municki cieńszym jeszcze, niż zwykle głosem:—Wszak ja prosiłem, prosiłem was, nie mówcie *tak*, nie mówcie *nie*, namyślcie się! Któż tam wie, jak was jeszcze Pan Bóg natchnie. A za tydzień, albo lepiej za dziesięć dni, czy się zgadzacie, czy nie, to przyjedźcie zawsze do Przygórki! To imieniny mojej żony. Przyjedźcie!

I na tem stanęło.

I rozjechali się. Każdy do siebie. „Do widzenia, od dziś za dziesięć dni, na św. Ludwika w Przygórce.“

I na św. Ludwika za dni dziesięć pojechali do Przygórki.

Wy myślicie, że pojechali na imieniny pani Munickiej? Oj nie. Pojechali na pogrzeb pana Józefa.

Rąbano w lesie Korczunkowieckim drzewo, a Municki tam się udał dla kontroli. No, i zwalił się dąb podcięty na niego—i koniec.

Już ich tylko trzech.

Minął rok. Minęły dwa lata. Hordża coraz bardziej zapadał na zdrowiu. I około połowy sierpnia tak mu źle było, że folgując sobie, nie pojechał na imieniny ś. p. Napoleona. Były to pierwsze imieniny nieboszczyka, które opuścił. Przyszła jesień i było mu jeszcze gorzej. Zima—jeszcze gorzej. Łamał mu gościec kości, a Hordża wił się na łożu od bólu i jęczał po nocach, nie mogąc zmrużyć powiek. I klął i modlił się i klął. Przez całą zimę nie mógł wyjść z pokoju. Przeniósł się do małej izdebki o nizkiej powale, a do małego piecyka żelaznego kazał drzewa dokładać i dokładać, dniem, nocą, cały dzień, noc całą. Uff! zdawało mu się, że im w izbie goręcej, tem większą w boleściach ma ulgę. I gorąco tam było w tej małej izdebce, jak w łaźni. Kto innyby tam długo nie wytrzymał w tem *pudełku*, jak tę izbę nazywał pan Grycz.—Pan Meliton, który ze zwolennika Morrysona stał się od lat kilku zapalonym wyznawcą hydropatyi, gorąca nie znosił. On latem i zimą kąpał się w sadzawce z wodą zimną jak lód. Prosto z łóżka szedł naczczo do sadzawki. Latem to jeszcze nie sztuka, ale zimą! zimą! Do wyrąbanej wskakiwał płonki i wyłaził ztamtąd czerwony jak rak i dzwonił zębami i śmiał się i mówił, że mu ciepło. No, kiedy mu w płonce ciepło było, toż nie dziw, że zaledwie wytrzymać mógł w *pudełku* p. Hordży.

No—i tak się tedy stało. Przyjechał pan Grycz do Hordżyńca, zastał tam Łęgoborskiego. Mróz na dworze straszliwy, a w *pudełku* Hordży jak w Afryce. Lepszy dziś jakiś dzień dla pana Andrzeja. Siedzą obaj przy stoliku z panem Tadeuszem i grają w pikietę, a pocą się, pocą. Kroplami spływa pot im po czole, po twarzy. A pan Andrzej górą i uśmie-

cha się swoim kwaśno-gorzkim uśmiechem i dopytuje pana Tadeusza o jego Stasia, który, skończywszy uniwersytet, wybrał się w podróż za granicę, a opowiada mu o swojej Dalci, od której prawie co tydzień otrzymuje list dwućwiartkowy; Dalcia od śmierci babki ciągle bawi u swej wujenki, ale na wiosnę ma przyjechać do Hordżyńca i może już przy ojcu zostanie. Dopytuje o wszystko pan Tadeusz, bo on chrzestną swą córę jakby własną kocha. Hej, hej, jaka ona do swej matki podobna!... Hej, hej, żeby to się młodzi pokochali, jakażby to była para!... No, na wiosnę i Staś już powróci z zagranicy, co najdalej w lecie, to się chłopca przywiezie raz i drugi, a jak się młodzi poznają, jak sobie dziecięce swe zabawy przypomną, to się i pobiorą... No, ale otóż i Grycz poczciwy przyjechał. *Kołderka!* będzie *taroczek!*

Ale od słowa do słowa, od słowa do słowa, gadu-gadu i zamiast taroczka wszczęła się gawędka we trzech. Niema gawędki, jak gawędka we trzech! Dwóch za mało—rwie się, czterech za wiele, nim swoje dogadasz, już ci któryś przerwie. Niema jak we trzech!

I o tem i o owem, i o tem i o tamtem i jeszcze o czem innem, a jużci w końcu o swoich każdy kłopotach. A o czemżeby wreszcie.

A jak o kłopotach mowa, to już o tem Hordża najwięcej chyba może powiedzieć. Spaliła mu się sterta siana, nie wystarczy mu na wykarmienie dobytku, motylica w owczarni, obora się wali, okradł go leśniczy w spółce z ekonomem, chłopi w las mu się worali, ale o to wszystko mniejsza. Najgorsze, że długów po uszy, za zaległe podatki grożą już Niemcy sekwestrem, bank grozi wypowiedzeniem pożyczki, a Żydzi spokoju nie dają. Gdyby chcieli kupić las z małym folwarczkiem sześćdziesięciomorgowym, ze stawem rybnym i młynem i cegielnią, gdyby chcieli kupić i dobrze zapłacić, toby można przynajmniej większych

spłacić wierzycieli, bank wtedy poczekałby, byłby spokój na lat kilka. Ale nie chcą kupić, chcieliby wziąć darmo, prawie darmo. Byle choć Hordżyniec uratować można, starodawną rodziny siedzibę, grób ojca i dziada, i matki Dalcinej grób!

Chciałby mu pomódz Tadeusz, ale Hordża twardy, nie zmiękczy go prośba, wymówka przyjacielska nie ugnie. Hordża uparty jak Rusin, od przyjaciela nie przyjmie pomocy. Liczy on na coś, liczy na jakiś sukurs, Bóg tam wie na jaki. Liczy na jakąś pomoc i tak pewny, że ona przyjdzie, jak swej śmierci pewny, a tylko boi się, aby nie przyszła ta pomoc zapóźno, żeby mu wprzódy wierzyciele Hordżyńca nie sprzedali. — Na co to on liczy, na co?...

Ej, dość spojrzeć mu w oczy, a któżby tam nie zgadł na co. Dość było Łęgoborskiemu, dość było Gryczowi spotkać się z jego spojrzeniem, a jasno im było. On liczy na ich śmierć. Spodziewa się, że przeżyje obu. Tak się spodziewa. A jak się patrzy na nich, to tak, jakby myślał: Długoż to mi jeszcze przyjdzie czekać, długo jeszcze?

Pokiwał Grycz głową, poczerwieniał Łęgoborski na twarzy. Aż wreszcie Grycz rzecze:

— Uff! jak tu gorąco w tem twojem *pudełku!*.. Słuchajno, Hordża, dałbym ja ci radę i wyszedłbyś cało z tych wszystkich kłopotów. Nie chcesz przyjąć od Tadeusza pomocy, tobyś i nie przyjął — *kołderka!*... Ja, ja ci pomódz nie potrafię, bo ja sam dość cienko śpiewam, rwie się tam i u mnie nieraz nitka i ledwo koniec z końcem się schodzi. Ale dałbym ci radę, a jakbyś się zgodził, tobyśmy obaj wyszli z tarapatów... Uff! jakież tu gorąco!...

Domyślał się Łęgoborski Gryczowej rady, ale nic nie mówił. Hordża się uśmiechał, kwaśno się uśmiechał i niby z ironią. To już taki jego śmiech. A Grycz wyciągnął z kieszeni kraciastą chustkę czerwoną i otarł pot z czoła i mówił dalej:

— Czekaliby twoi wierzyciele cierpliwie jak baranki i aniby im na myśl nie przyszła subhastacya Hordżyńca, gdyby wiedzieli napewno, że jak dwa a dwa cztery, ty, albo córka twoja będzie mieć kiedyś cztery razy większy od Hordżyńca majątek— ot, powiem co: czekaliby cierpliwie, gdyby wiedzieli, żeśmy formalną z sobą we trzech zawarli umowę, iż którykolwiek z nas przeżyje dwóch drugich i weźmie spadek po Napoleonie, to trzecią część tylko zatrzyma dla siebie, a Korczunkowiecki klucz pójdzie w podział między nasze trzy rodziny...

Słuchał Hordża niecierpliwie, a niecierpliwym zrobiła go dokuczliwa choroba. Słuchał niecierpliwie, dawno domyślając się konkluzyi, i wreszcie przerwał:

— Nie kuś pana Boga. Przypomnij sobie Munickiego: on nam to samo proponował i nie przeżył tygodnia. Z przeznaczeniem próżnobyś walczył. Tak będzie, jak Napoleon chciał, choćbyś się na głowie postawił. Korczunkowce w podział nie pójdą. Nimbyśmy trzej ugodę podpisali, jużby dwóch Napoleon przywołał do siebie.

— *Kołderka!...* Czyż my się sprzeciwiamy jego woli? Jeden z nas zawsze odziedziczy Korczunkowce, no, ale się zrzeknie dwóch-trzecich...

— Pocóż ja mam się zrzekać dwóch-trzecich części dziedzictwa, kiedy całe spadnie kiedyś na mnie?...

— Ej, Hordża! — rzekł gniewnie p. Tadeusz— *na dwoje babka wróżyła!*

— *Kołderka! na troje!*—dodał p. Grycz i w głos się roześmiał.

Hordża machnął ręką pogardliwie, jakby chciał powiedzieć: ot, głupstwa gadacie! A potem się zerwał:

— Zagrajmy w taroka!—i wyszedł z pokoju po karty.

Lęgoborski wzruszył podwakroć ramionami i pokazał palcem po czole, że Hordża sfiksował.. Grycz śmiał się dobrodusznie.

— Uff! uff! nie wytrzymam! strach, jak tu gorąco!

I chciał skorzystać z tego, że Hordża nie wraca: otworzył w oknie lufcik.

Dmuchnęło mu na twarz mroźne grudniowe powietrze.

— Aaaa! jak to miło! aaaa! *kołderka!*

Wrócił Hordża z tarokową talią.

— Melitonie! na miłość boską! co robisz! Mnie reumatyzm kości łamie, a tyś okno otworzył!

Obrócił się Grycz ku niemu, ale z dziwnym na twarzy obrócił się wyrazem. Przekrzywił usta, chciał coś przemówić... ani rusz! Język skołczał mu w gębie, jak kawałek drzewa...

Oparł się ręką o poręcz krzesła, przerażone wytrzeszczył oczy, coś chciał na migi pokazać, zabełkotał i padł...

Położono go na łóżku, zaczęto trzeć ręce i nogi sztywniejące, zimne. Rozebrano, synopizmami obłożono ciało, posłano po doktora, po rodzinę.

Trzy dni żył jeszcze p. Meliton, ale tylko trzy dni. Nie przemówił już ani słowa. Skończył.

Skończył—skończył... Było ich już tylko dwóch.

Już tylko p. Andrzej Hordża i p. Tadeusz Lęgoborski, już tylko oni dwaj! Z całego grona sąsiadów, przyjaciół i współbiesiadników ś. p. Napoleona już tylko dwaj.

Stoją obaj zadumani przy martwem ciele pana Melitona i smutno im. Spojrzeli na siebie i westchnęli obaj i pokiwali głowami.

Jak to czas leci chyżo! Niedawno, tak niedawno, jak zjechało się sąsiedztwo, jak to było rojno, gwarno w hordżynieckim dworku, a teraz? z całego grona rówieśników już tylko oni dwaj. Zjedzie się rodzina Grycza na pogrzeb, zjedzie się młodzież okoliczna, bo nieboszczyka wszyscy szanowali i ko-

chali, ale ta młodzież to już inny chyba jakiś świat. Oni nas nie rozumieją, ani my ich.

A nasz świat—myślał p. Tadeusz—nasz świat, gdzie to raźniej się żyło i czuło inaczej, jak niedotlały węgiel na ognisku, przygasa już, przygasa!— I z całej tej pełni życia sił—co zostało? Już tylko ja i ten Hordża, schorowany, kaszlący, przygarbiony, znękany na ciele i na duchu, skarlały... niby on, a już nie on. Gdybym nie wiedział, że to ten sam, druh mój, towarzysz młodości, nie wierzyłbym, nie wierzyłbym nigdy! Niepodobny on do siebie, niepodobny na ciele, a bardziej niepodobny na duchu. To już nie on. To chyba jego koszlawy cień— i zniknie ze świata dziś jutro, dziś jutro...

Ha! niech znika... Po co tu mu się jeszcze wałęsać i męczyć na tym świecie? Dręczy sam siebie i drugich. Ani jemu z tem dobrze, ani komu! Zawikłał rodzinny majątek, że chyba córce nic nie zostawi, prócz długów i wstydu. Gdyby się już raz stoczył w dół, objąłbym Korczunkowce, spłacilbym jego hordżynieckie długi, oczyściłbym majątek Joasinej córce i wydałbym ją za Stasia.

Byle tylko prędzej! prędzej! bo i mnie już czas! oj, czas! Czuję, że mi już niedługo tego zdrowia, tych sił... A coby to się stało, gdybym ja pierwej stoczył się w grób? zamęt, zamęt i nieszczęście! I napoleońskie dziedzictwo zmarniałoby w jego ręku! Ha, prędzej stary, prędzej, pókim jeszcze zdrów i silny. Co miesiąc krew mi bucha do głowy na nowiu, nie długo mi już chodzić po świecie, niedługo. Byle on, byle on prędzej, byle on!

I spojrzał p. Tadeusz na p. Andrzeja. A nie trudno było wyczytać p. Andrzejowi w jego spojrzeniu tej myśli: „teraz na ciebie kolej!“

A p. Andrzej inaczej myśli: Dekretujesz mnie na śmierć i czekasz tylko, czy rychło ci ustąpię z drogi. Omylisz się na swojej racubie! Korczunkowiec ci się zachciewa... radbyś mnie już widział wyciągniętego na marach... tak jak ten Grycz. Pod-

wiązałbyś mi z radością brodę chustą jak jemu, aby mi się już usta nie rozwarły na wieki. Pomyślałbyś: chwała Bogu, chwała Bogu, krzepnie już, krzepnie! Korczunkowce moje!... Oho, nie twoje, panie Lęgoborski, nie twoje!...

I brzydko spojrzał Hordża na niego — och! brzydko!

Wczoraj Grycz skonał, a p. Andrzej spać nie mógł, bo mu gościec na torturach rozciągał członki i kurczył i szarpał jak obcęgami kat. I zażył p. Andrzej sporą dozę morfiny i drugą jeszcze dozę i usnął. A ledwo usnął, śnił mu się nieboszczyk Napoleon, znowu mu się śnił. Tak samo mu się śnił jota w jotę, jak po śmierci Munickiego i jak przedtem po śmierci Lisobrodzkiego i jak przedtem jeszcze po śmierci Radwana. Zapraszał go ś. p. Napoleon do siebie i mówił: „Jedźże, jedź, odbierać Korczunkowce, bo ty ostatni... ty ostatni.“

A pan Andrzej wierzy w sen, jak w ewangelię. Przypomina mu się ta senna przepowiednia, ile razy spotka się oczyma ze spojrzeniem pana Tadeusza. Patrzy na niego p. Tadeusz, jakby myślał: na ciebie teraz kolej!... Ho, panie Łęgoborski, niedoczekanie twoje! To ty mi z drogi ustąp, bobym już chciał mieć spokój i spłacić Żydów i bank— i Magdusię obaczyć wielką panią i wydać ją za mąż jaknajlepiej, to choć za twego syna—i w grób się położyć, bo mi już cięży życie, oj cięży. Ty mi to tylko do grobu zastawiłeś drogę, bo póki ty żyjesz, ja żyć muszę i męczyć się po całych dniach i jęczeć po całych nocach!... Ach, ach, gdyby już raz umarł, umarłbym i ja spokojnie! Byle prędzej, byle prędzej! Choćby za dzień, za godzinę!... Bucha mu krew do głowy, aż mu twarz szkarłatem zachodzi, jak koguci grzebień, podgardle sinieje jak u indyka, czemuż ta krew już mu raz nie zaleje mózgownicy!... Po co ja mu życie ratowałem, gdy go dragony rozsiekać miały!...

I obu takie myśli furczały w siwych łbach, jak czarne ptactwo na rozoranym cmentarzu, trupiem tak obżarte ścierwem, że i na żywego rzuciłoby się człowieka. Chmury ptactwa takiego, podłego, żarłocznego, krakząc, obsiadły im serca, cmentarzysko serc. Ha, starość—to starość!

I włożyli Grycza do trumny i spojrzeli na niego jeszcze raz. Ostatni raz. Przeciągnął mu się nos nad krzaczyskiem siwych wąsów, przeciągnęła się broda, przedłużyła się twarz, przylepiły od śmiertelnego potu pęki siwych włosów do skroni białej jak kość. Ot, śpi i śpi i śpi, tylko, że nie śni mu się nic. Nie śni mu się nic ani miłego, ani przykrego. I nie przyśni mu się już nigdy nic. Ani mu źle, ani mu dobrze. I będzie mu już tak zawsze. Ot, śpi i koniec.

I przykryto trumnę wiekiem. I toż jego *kołderka* do wiecznego snu!

A w koło dzieci i wnuki zawodzą od płaczu. Mokro we wszystkich oczach, i w oczach Lęgoborskiego, i w oczach Hordży.

Wynieśli go do sieni. Pożegnał go raz jeszcze Hordża, a dalej iść już nie mógł, bardzo było mu źle tego dnia. Niewysłowione we wszystkich stawach i kościach nękały go boleści.

Wyciągnięto trumnę na paradne sanie, czarnem pokryte suknem. Patrzył na to Hordża przez okno ze swego „pudełka.“ A do innych sań powsiadała rodzina nieboszczyka i p. Tadeusz i goście pogrzebni, cała młodzież z sąsiedztwa i okolicy. I pojechali do parafialnego kościoła, a ztamtąd mają zawieźć Grycza do rodzinnego grobu. Jedzie Grycz do domu, jedzie, ale nie obaczy go już, nie obaczy! Od krzyża na lewo droga topolami wysadzana i dworek tam bieleje w dali, a na prawo droga pusta i smutna wiedzie na cmentarz, parę świerków przy drodze i krzyż—ot wszystko! Na prawo oni skręcą, na prawo. Nie obaczy już p. Melitón swego domu. Och, już go nigdy nie obaczy!

Już skręciły konie na rozstajnej drodze... na prawo skręciły, na prawo!

I już go zanieśli do sklepiku i żelazne zatrzasnęli wrota; pomodlili się jeszcze i siadają do sani—a mróz, mróz straszny. Owijają się w futra, w worki słomą napchane wsuwają swe nogi, czapki nasuwają na uszy. Para na wąsach przymarza, wisząc w małych soplach.—I pojechali.

— To już ich tylko dwóch?—mówią do siebie sąsiedzi.

— Tak, dwóch już tylko: Łęgoborski i Hordża.

— No, ale Hordży niewiele już się należy.

— Oh, niewiele, może i wiosny nie doczeka.

Tak mówiono na pogrzebie Grycza — ale sądy ludzkie omylne. Doczekał Hordża wiosny.

Doczekał wiosny i lata doczekał, ale w połowie lata tak go zmogły cierpienia, że na imieniny Napoleona niesposób było pojechać. Wynieść się kazał na wózek wymoszczony sianem i kazał się wieźć—i jechał i jęczał i za mostem już krzyczał od bólu i mdło mu się już zrobiło. Przystanąć kazał i znowu wołał: jedź! i znowu: stój! — i ani ćwierć nie ujechał mili i zemdlał dwa razy. Posłał chłopaka do dworu i czterech parobków przyniosło duży dywan i chwyciło za cztery rogi i na dywanie odnieśli go tak do Hordżyńca.

Drugie to z rzędu były już imieniny Napoleona, które od jego śmierci opuścił.

Zgryzł się tem i zirytował niesłychanie, a słudzy już nie wiedzieli, jak sobie dać rady ze starym zrzędą, któremu niczem nie mogłeś dogodzić. A na domiar złego przyjechał w tym dniu właśnie jeden z wierzycieli, i po gwałtownej z nim scenie i obelżywych pogróżkach Hordża od przytomności prawie odchodził.

Morfina, morfina, to boskie lekarstwo! Usypia i dozwala zapomnieć o cierpieniach ciała—i o smutkach i troskach serdecznych. Hej, hej, gdyby Łęgoborski już nie żył, możnaby podwoić, potroić

dozę... i dziesięć wziąć naraz i usnąć na wieki! Ha, czemuż on żyje jeszcze!

Zasnął z tą myślą Hordża — i śnił mu się nieboszczyk Napoleon, i pytał go niecierpliwie: czemuż nie przyjechałeś do Korczunkowiec? jedź, jedź, bo ty ostatni!...

A Hordża nazajutrz tak sobie ten sen tłómaczył, że chyba Łęgoborskiego już niema na świecie.

Ale w samo południe wali ktoś z bata w dziedzińcu, zajeżdżają szpaki—Tadeusz przyjechał.

Kwaśno go przyjął Hordża, kwaśno go przyjął.

— Nie byłeś na imieninach, chory jesteś? — rzekł wchodząc p. Tadeusz.

— Zawszem chory! wszak wiesz! — odrzekł cierpko p. Andrzej—I cóż z tego, że nie byłem! Nie byłem w tym roku, to pojadę na przyszły; wszak dopiero po trzech latach tracę prawo do spadku...

Spojrzał na niego p. Tadeusz i poczerwieniał na twarzy. Chciał coś odpowiedzieć—ale rychło pohamował się w gniewie:

— Pojedziesz na przyszły rok — rzekł obojętnie.

Ale Hordży się zdawało, że się niewiara przebija w jego głosie. „On myśli, że ja pojadę na cmentarz“!

— Ja na *imieniny* pojadę! abyś wiedział, że pojadę!

— Dobrzebyś zrobił, żebyś w tym roku pojechał do kąpiel.

— Nie mam za co...

— Mój Andrusiu, wszak wiesz, że moja kieska dla ciebie otwarta.

— Nie chcę! — odburknął z gniewem pan Andrzej.

P. Tadeusz wzruszył ramionami, i lekki uśmiech osiadł mu na twarzy.

— *Tam do niego!* nie gniewaj się, Andrzeju!

— Nie gniewam się, ale nie chcę! — z najwyższem zniecierpliwieniem odparł Andrzej.

P. Tadeusz przeszedł się po pokoju kilka razy tam i napowrót, westchnął, cmoknął ustami. Wreszcie stanął przed oknem i zaczął na szybie wybębniać marsza palcami.

— Każ mi dać fajkę.

Hordża zadzwonił. Podano im fajki na długich cybuchach, zasiedli obaj i milcząc wciągali w siebie wonny dymek i wydmuchiwali z ust.

— Nie uwierzysz, Andrzeju, jak tam było smutno wczoraj w Korczunkowcach! Przy tym długim stole siedmnaście nakryć... a ja sam, sam jeden — jak palec!... Nikogo już, nikogo z naszych... Ani w ręce pić czyje, ani słowa przemówić!... I Błażeja starego już nie ma... obca służba... Spalczykowska poszła za mąż... nikogo, nikogo!

— A ty sobie myślałeś, żeś już dziedzicem Korczunkowiec?—przerwał z gorzkim sarkazmem p. Andrzej.

Obruszył się p. Tadeusz, pąsowa mu się twarz zrobiła. Ale się pohamował, jak mógł; odchrząknął tylko i pykał gwałtownie dym z antypki. Kłąb po kłębie wypuszczał przed siebie, żebyś go i nie dojrzał w gęstym obłoku.

— Słuchaj, Andrzeju! — ochłonąwszy, rzekł po chwili serdecznie—tak mnie tu przyjmujesz, jakbyś nie chciał, abym cię odwiedzał. Powiedz otwarcie!

Hordża chciał coś mówić, widno było z twarzy, że mu się przykro zrobiło na taką wymówkę, ale nie dał mu przyjść do słowa p. Tadeusz.

— Całe życie kochaliśmy się jak bracia. Nie zawiodłem się na tobie nigdy, nie zawiodłeś się i ty na mnie. Żyliśmy poczciwie, to i skończmy poczciwie. Nie chcesz o Korczunkowce układu między nami — no, to czekajmy, kogo śmierć pierwej zmiecie ze świata. Albo ja, albo ty—Bogu to wiadomo. Tybyś chciał, aby ja—ja wolałbym cię przeżyć. Jak Bóg zechce, tak będzie. Ale pocóż mamy patrzeć na siebie jak wrogi?

— Ja jak wrog na ciebie nie patrzę — odparł Hordża — ale widzę, jak ty na mnie patrzysz. Patrzysz na mnie, jakbyś miał mnie do trumny już wkładać... a to ja ciebie włożę do trumny!

— Może, może! — przytwierdził p. Tadeusz z uśmiechem.—Bóg tam wie, co będzie! Ale jeśli jeden drugiego ma kłaść do trumny, to niechże go kładzie jak przyjaciela, jak brata — a nie jak wroga!...

Serdecznie to powiedział p. Tadeusz, odezwało się serce i w Andrzejowych piersiach.

— Jak przyjaciela, jak brata!—Ty wiesz przecież, żem nikogo tak w życiu nie kochał, jak ciebie.

I wyciągnął Hordża rękę ku niemu. Uścisnął ją Tadeusz i rzekł:

— Było to, było! kochałeś mnie jak brata.

— Kogożbym kochał po mojej Dalci... chyba dziś już nikogo — szepnął Hordża jakby sam do siebie.

— Siebie... dodał półgłosem Tadeusz.

Gorzko się uśmiechnął Hordża:

— *Siebie* mówisz? O bracie, nie życzę ja ci, abyś i godzinę był w mojej skórze!... Siebie? i cóż ja mam kochać? to stare próchno? Mnie życie jest męką. I dni i noce męczarnia! Czy ja to życie mam kochać? Moją torturę kochać? Jabym już chciał gnić! gnić w ziemi! gnić!... Bylem interesy uregulował, i Dalci zostawił czysty, nieobdłużony majątek... i jeśli Bóg pozwoli wydać ją zamąż za poczciwego jakiego chłopca...

— Mój Andrusiu — rzekł p. Tadeusz — jak ty możesz wyjść z kłopotów, kiedy nic nie robisz, aby z nich wyjść? Z dnia na dzień spychasz biedę, a nie myślisz o ratunku. Spłacasz długi dawne, zaciągając nowe na coraz wyższe procenty. Mój Andrusiu, co będzie dalej?...

Spojrzał na niego Andrzej i dziwnie brzydkim twarz mu się wykrzywiła wyrazem!

— Co dalej?... Przecież kiedyś—zaczął i urwał w pół słowa. Machnął ręką raz i drugi, jakby muchy odpędzał.—Et, dajmy temu pokój!... Napijesz się wina?

— Przecież ty pić nie będziesz? Na gościec nic gorszego od wina!

— Gorzej mi już nie będzie. Codzień lampeczkę starego węgrzyna, to mnie jeszcze utrzymuje na nogach...

— Ej, Hordża! Hordża, źle robisz!

Ale Hordża zadzwonił Wbiegł chłopak w sukmance.

— Powiedz Stefanowi, niech przyniesie wina z piwnicy, butelkę z czerwoną pieczątką, z drugiej pułki, od muru!

A gdy chłopak przyniósł omszoną butelkę, odkorkował i nalał w lampeczki, podniósł Łęgoborski lampkę i obrócił się ku oknu, okiem znawcy śledząc wina gatunek. Poczem powąchał jakby kwiatek jaki, i zlekka dotknął się brzegu ustami.

— *Tam do niego!* cud nie wino!

— Wiesz co to za wino? Piłeś je już u mnie— ale dawno, dawno. Z jedenastego roku! Mam jeszcze trzydzieści dwie butelki. Wystarczy mi na wesele Dalci. Pij!

— Kiedyż Dalcia przyjedzie?

— Lada dzień jej się spodziewam. A twój Staś?

— Dziś, jutro, od trzech tygodni go czekam.

— Przywieź-że mi go zaraz — przecież to ja ojciec chrzestny... A nuż się młodzi spodobają sobie?

I trącili się lampeczkami.

— Tyś zawsze nie od tego?—zapytał pan Tadeusz.

— Od czego? Aby się pobrali? Wszakżeśmy to układali, kiedy byli dziećmi! Szczęść im Boże, jeśli się polubią! Ale pokaż-no mi wprzódy swego Sta-

siá, chcę go widzieć, chcę mu się przypatrzeć: sześć lat go już nie widziałem.

— Przywiozę ci go, przywiozę. A ja Dalci ośm już nie widziałem.

— Obaczysz ją, obaczysz!... No, zdrowie ich obojga!

— Zdrowie naszych dzieci!

I uściskali się starzy. *In vino veritas.*

Wypili zdrowie dzieci i „kochajmy się“ wypili — ale już trzeciej nie naleli lampki. Jakież piliby zdrowie? Nie piłby zdrowia Tadeusza Andrzej. Przesądny był — a nużby się spełniło życzenie?—I pan Tadeusz nie piłby zdrowia Andrzeja; pocóżby Hordży pił zdrowie, gdy mu już tylko rychłej śmierci życzyć...

A „kochajmy się“ pili przecież — choć sobie śmierci życzą niby nawzajem. „Kochajmy się“ wypili. Szczerze, czy nieszczerze?

Młodych odgadnąć trudno, któż odgadnie starców? Nieodgadnioną serce tajemnicą — i dla drugich... i dla siebie. Starzy sami nie wiedzieli: kochają się niby, niby nienawidzą. I jedno i drugie. Może jedno i drugie. Im lat więcej, tem więcej się plącze i mota uczucie w nierozdzierzgnioną pragnień gmatwaninę. Nibyto jaśniej w głowie—a coraz w sercu ciemniej. Mąci się, mąci kryształowa dusza, przez całe życie się mąci. A w tych mętów gąszczu, młodości wspomnienie jak stary lagier na dnie beczki. Choć skisłego octu nalała tam starość, czasem ci ten ocet winem dawnem trąci.

I do wieczora ciągnęła się gawęda. Naprzemian, to gawęda, to partya pikieta — a Hordża się rozbawił, orzeźwiał, odmłodniał i o swoich boleściach zapomniał nawet.

A gdy się do snu układli starce, to zasypiali obaj z jednakiemi myślami:

— Dobrzeby tak było, dalipan, że dobrze! Jakby się dzieci nasze pobrały, to byłoby zadość i mnie

i jemu. Lęgoborskim i Hordzom stałoby się zadość. I mniejsza już wtedy, czy jeden, czy drugi usnąłby pierwej snem wiekuistem. Czy tak, czy siak, *moim* dzieciom, *moim* wnukom dostałyby się Korczunkowce. I ja i on, obajbyśmy tak mogli powiedzieć. I ja i on... Oj, dobrzeby tak było, dobrze dalipan!... I nam dobrze i im dobrze!

I obaj usypiali z tą myślą i w sercach ich obu budziła się wiara:

I czemużby się to stać nie miało? Pewnie się tak stanie! Jużci pewnie!...

Ej, starzy, starzy! bez młodych wy liczycie, bez młodych! A serce nie sługa — a wiecież wy, co tam w tych sercach?

Ej, paraby to była, para, gdyby się pokochało tych dwoje! Ona złoto nie dziewczę, a on istna perła między młodzieżą. Ona jak jej matka; on jak pan Tadeusz za swych młodych lat. Hej, gdyby się pokochali! Ale czy się pokochają?

Któż tam zgadnie, co tam w tych młodych głowach szumi, co tam w tych sercach młodych kotłuje?

A nuż przyjedzie Dalcia od swej wujenki do Hordżyńca, a nuż Staś przyjedzie do Stadłowa z zagranicy, a w Dalcinej główce jaki wiercipięta miastowy, a w sercu Stasia jaka francuska lafirynda, albo baletnica? A nuż takby się stało?

Gdzież tam! na co tego?—Z poczciwego serca łatwo chłopcu wywietrzeje lafirynda uperfumowana. wywietrzeje jak francuskie pachnidło, ino go woń owionie polskiej sianożęci i ojczystych lasów żywiczne tchnienie.—Ale dziewczę, dziewczę? a nuż Dalci wpadł w oko poczciwy jaki chłopiec, poczciwy, serdeczny? Jak sokół przez okienko, wpadł przez oczko do serduszka i trzepocze tak skrzydłami, jakby w samotrzasku. Czuje, czuje biedna Dalcia, jak się tam trzepoce biedna ptaszyna. Powietrza jej brak, powietrza... komu? Dalci, czy ptaszynie?... ej, obojgu może! Rozbija się ptaszę w klatce — i klatka się

wstrząsa, jakby schwytanego sokoła skrzydłami ulecieć gdzieś chciała z piersi dziewczęcej. Hej klatka, biedna klatka! hej sokół, biedny sokół!... A nużby się tak stało?

A Staś? Staś? co wtedy będzie ze Stasiem? Obaczy dziewczynę, obaczy, pokocha — bo to jedno prawie, a ona mu powie... powie mu... oj, nic mu nie powie, bo on sam wyczyta z jej oczu, ze spojrzenia i z dźwięku jej głosu, że nie ma dla niego szczęścia na tym świecie, że nie ma na tym i na tamtym nie ma, bo kogo ona pokocha, to pokocha na życie i na śmierć pokocha i na wieczność całą. Już się drugie ptaszę w tem sercu nie zmieści, bo serce jak samotrzask: gdy tam ptaszę wpadnie, to i drzwiczki za sobą skrzydełkiem zamyka; już i samo na wolność wydostać się nie zdoła i do klatki już inna nie wleci ptaszyna. Zamknięte już drzwiczki, zamknięte...

Biedny Staś, biedny! Jak za matką ojcu, tak za córką synowi zwichnie się życie, zwichnie...

Co znowu! co znowu! Jej to ani w głowie, ani jej to w sercu! Serce dziewczęce jak białego papieru ćwiartka, po którem pióro nie przeszło, którego niczyje nie zbrukały ręce. Serce jej jak pole czyste, w zimowy ranek zasute świeżutkim śniegiem ponowy. Ani na niem stopy ludzkiej, ani zajęczego nie uwidzisz skoku, ani go ptaszyna nie musnęła skrzydełkiem w przelocie. Śpią ptaszęta, jeszcze śpią, nie zbudziło ich jeszcze słoneczko poranne. I świergotu ich nie słychać, chyba we śnie które zakwili z główką pod skrzydłem schowaną, gdy mu się przyśni świt. Ale nic nie świta jeszcze, nie świta, jeszcze nie zaświtało.

Nie mało ona chłopców widziała tam w mieście, ale żaden jakoś nie przypadł jej do serca. Nie mało się wróbli kręciło, furczało, ćwierkało — ale ona na nich jak na wróble patrzyła i jak wróblich świergotów słuchała pochlebnych ich słówek. Sokole

ona wymarzyła loty i orle jej się przyśniło wołanie. Hej, hej, orłów mało! mało!

Co się stanie z gołębicą, jak obaczy wyśnionego orła, jak orła własnemi obaczy oczyma? Oj biedna gołąbko, po tobie już, po tobie! Już ci ani dnia, ani nocy, tylko o orle marzyć, o orle śnić, o orle!... Może ty wzlecisz za nim ku niebieskim stropom, w piorunową chmurę, może wichry skrzydła złamią ci słabiuchne. Może on i spojrzeć nie raczy na ciebie, w słonecznych blaskach topiąc źrenice. Gdzież tobie do niego! co ci o nim marzyć napróżno. Ciebie oddadzą z rodzinnego dworku gdzie w jakie gołębie gniazdo. Ten twój siwy ojciec, jak gołąb siwy, pewnie cię gdzie odda w gołębie jakie gniazdo — i gruchać ci tam będzie gołąb, twój małżonek, gruchać całe życie tęsknej gołębicy, gruchać utęsknionej serdeczną tęsknotą, stęsknionej za orłem, za tym orłem w chmurach—wyśnionym—ujrzanym—i niezapomnianym?

A on? on? twój orzeł, marzenie twe, tęsknota twa? Hej, on gdzieś orlicę w szerokim znalazł świecie, on jak na gołąbkę patrzeć na cię będzie, stęskniony za swoją orlicą tam gdzieś na tatrzańskiej turni niedostępnej...

Może tak, może tak, a może inaczej. A może jeszcze inaczej. I jeszcze inaczej może. Któż wie, któż wie jak tam będzie, gdy się młodzi obaczą. Nie widzieli się już tyle lat, tyle lat! Nie znają się — tak jakby się wcale nie znali. A czy miłe im jeszcze dziecięce wspomnienia?... któż wie, kto wie.

Któż wie, jak się stanie! któż to kiedy odgadł na świecie! Hej, gdybym to ja wam bajkę pisał i układał ją w głowie — wiedziałbym ja, wiedział, jak ją wam teraz ułożyć! Wiem ja, co wam miłe. Wy tak lubicie, aby się i łzami napełniły oczy i serce rozgrzało i aby wam uśmiech na usta wywołać — i burza żeby była i aż ciemno od chmur—i deszcz i słota— a w końcu, aby się niebo rozjaśniło nagle i tęcza zwiesiła kolorową obręcz z nieba aż do zie-

mi, a nad głową aby jasne odkryły się błękity i śliczną pogodą roześmiał się świat. Wy tak lubicie— ja wiem.

Cóż, kiedy się na świecie nie wszystko tak dzieje jak człowiek zapragnie. Oj, nie wszystko!... Życie— to nie poemat.

Czasem życie bywa do tragedyi podobne—ale rzadko całe. Do komedyi czasem—ale rzadko całe. Ot, dwie sceny, trzy sceny i akt i dwa — aż nagle patos w niedorzeczną przedzierzgnie się farsę, albo znowu krotochwila łzy zacznie wyciskać i błazeńską czapkę czarnym kryje kirem. Żałobne sielanki, ucieszne elegie, żartobliwe psalmy, rozpaczne facecye— w życiu to wszystko możliwe. Arlekińska szata z różnobarwnych pozszywana strzępków.

Ale nie. Najczęściej i tego niema w życiu. Najczęściej nie masz w niem nawet tej wielobarwności, która bawi oko amatora tego nieśmiertelnego kuligu. Najczęściej ono bez jaskrawych obywa się kolorów: łatanina jego płaszcza pstro-szara, szaro-buro-popielata. Niby powieść długa, rozwlekła, nudna, którą drzemiąc się czyta i dziwiąc się cierpliwości własnej...

Ot, nie dziwię się, żeście i teraz czytając, tyle razy zdrzemali. Bawiłoby was, gdybym wam zmyślał do gustu, ale ja nie poemat piszę, ani powieść układam; — rzecz moją wprost z życia przeniosłem na papier. Na co?... Ku pamięci tego, co zacne, ku wyrozumieniu ludzkich serc i ku łagodniejszemu sądowi tego, co na świecie wygasa i do grobu się chyli...

Tak zacząłem pisać, to i dokończę tak.

A jak się wam niepodoba — to nie czytajcie. Jeśli wolicie zmyślenie od prawdy — nie czytajcie. Zabawniejsze iście bandyckie i budoarowe historye, a nawet powieść o królowej Banialuce i Antypasty małżeńskie.

Przebaczcie moi mili, ja wam zmyślać nie będę! Powiem, jak było: oto tak i tak, a potem tak się

stało, i taki temu był koniec — no, i dość na tem. Po co mam więcej mówić? Powiem, co się stało i jak się stało — i tyle tylko powiem, ile wiem i ile pamiętam.

Możecie być pewni, że więcej nie powiem. Nie dodam nic, a niejedno opuszczę, niejedno — bo niejedno uleciało mi jakoś z pamięci, i już nie wiem, jak to było, czy tak było, czy inaczej, czy może tak. Niby coś tam sobie przypominam — ale nie dobrze. Mąci się w głowie, mąci — i nie wiem w końcu nic. Oj, bieda z tą pamięcią, bieda!

Mówią ludzie, że trzeba codzień trzymać ręce w zimnej wodzie po łokcie pół godziny, albo więcej, to się pamięć naprawia. A inni mówią, że trzeba jakiś tam kamień drogi nosić w pierścieniu— ale jaki? cóż z tego, kiedy nie pamiętam. A inni znowu radzą ci tam jakieś ziele, Bóg wie jakie; aptekarza na to trzeba, aby wiedział, jak się nazywa. Ja nie wiem. Nie wiem, a i nie wierzę nawet, aby to pomogło. I zielu nie wierzę i pierścieniowi, i trzymaniu rąk w zimnej wodzie. Ktoś mi tam jeszcze kiedyś na wzmocnienie pamięci zalecał jakąś tam modlitewkę do jakiegoś patrona, i medalionik jakiś — ale ja i temu nie wierzę, jak pierścieniowi cudownemu z talizmanem, i trzymaniu rąk w zimnej wodzie.—Może wy powiecie, że to grzech—bo mi już się to nieraz zdarzyło słyszeć, że grzech nie wierzyć, w co inni wierzą, no, ale ja nie wierzę. Po co mam udawać, że wierzę, kiedy nie wierzę. Wstydziłbym się kłamać. Nie mogę — już taka moja natura.

Ale o czem to ja pisałem? o czem? Gdzieśmy to stanęli w opowiadaniu?

A no, stanęliśmy na tem, jak Hordża Łęgoborskiego raczył starym węgrem... nie, nie, to już było. Stanęliśmy na tem, jak w braterskiej zgodzie obaj się spać pokładli, a obaj zasypiali z tą samą myślą i z tem samem pragnieniem: aby Dalcia poszła za Stasia, aby Staś ożenił się z Dalcią. I Łęgobor-

skiemu i Hordży uśmiechała się ta myśl. I jeden i drugi powiedział sobie: „oj, dobrzeby to było!“— A i jeden i drugi myślał: „no, czemużby tak się nie miało stać? Stanie się tak, jużci się stanie!“

A żadnemu na myśl nie przyszło, co też to młodzi na tę myśl powiedzą. I nie pomyślał żaden, czy się też tam już w młodych głowach inna myśl nie zażegła, czy tam w młode serca inne już jakie w bujną glebę nie wpadło ziareńka i nie zaczęło kiełkować.—Oj, w tych młodych głowach palnyto materyał, jakby słomy sterta, i nie trudno o słomiany ogień — a chociaż *słomiany*, to od niego wszystko łatwo pójdzie z dymem.—A te serca młode, oj, bujnaż to gleba! Każde tam nasionko zakiełkuje naraz, jakby na inspektach na żywym kompoście. Zakiełkuje, wyrośnie, wybuja i wszystko przygłuszy...

Nie pomyśleli o tem starzy, i słodka im obu uśmiechała się nadzieja i oni sami uśmiechali się słodko i ruszali wąsami, odpędzając muchy, co im do ust przetwartych wleźć miały ochotę—i odchrząknął jeden i odsapnął drugi—i usnęli.

Śpią, śpią.—I śni się panu Tadeuszowi Dalcia. Dalcia... niby Dalcia, a niby jej matka. A on tak do niej mówi niby jak do swej synowej — a ona Stasia błogosławi, jakby to nie ona, ale jakby jej matka. Ale czy matka, czy synowa—to mu zawsze dziwnie błogo—tak mu dziwnie, jakby on sam był Stasiem... I już nic mu się nie śni. Zachrapał stary i chrapie. Chrapie, chrapie, jakby drzewo piłował.

A p. Andrzejowi śni się nieboszczyk Napoleon.—„Chodź, chodź, Andrusiu, bierz Korczunkowce jak swoje—bo ty ostatni... ty ostatni!“ I widzi p. Andrzej pustą salę jadalną korczunkowieckiego dworu... wszystkie krzesła puste, kirem pokryte... niby puste, ale na każdem widny cień biały, przezroczysty jak mgła... On ich poznaje wszystkich... wszystkich... tylko Łęgoborskiego nie ma... Gdzież Łęgo-

borski?... I wszyscy gadają do niego, wszyscy naraz. I śmieją się i zdrowie jego piją, A on widzi ich wszystkich i wszystkich poznaje i czegoś mu straszno między nimi. Obraca się — a za nim biały cień — cień Błażeja. Kłania mu się Błażej i winszuje... Zimny pot wystąpił śpiącemu na czoło—budzi się.

Otarł pot z czoła i straszno mu jeszcze ciągle po tym śnie. Powtarza go sobie w pamięci i rozmyśla, coby on miał znaczyć? i czemu Łęgoborskiego tam nie było? Długo myślał nad tem, myślał jak matematyk nad ciężkim problematem—i usnął.

I zaledwie usnął, znowu mu się śni p. Napoleon—ale z nachmurzonem czołem i mówi mu gniewnie. Trzy razy nie byłeś na moich imieninach! trzy razy! Nie przyjechałeś, infamisie, a teraz Korczunkowce Niemcy wezmą i Żydzi! A ty ostatni... ostatni... i nie wziąłeś...

I widzi p. Hordża jak wchodzą Niemcy i Żydzi, jeden po drugim i całą hurmą a *Kreishauptmann* na czele... niby to tak do Korczunkowiec wpadają, a niby do Hordżyńca. I wynoszą lichwiarze z dworku jego meble i obrazy i stół jadalny z korczunkowiecką zastawą—wynoszą wszystko i śmieją się głośno. I najmilsze po żonie nieboszczce pamiątki wyrzucają przez okno... Dalcia przybiega do niego i z płaczem rzuca się na ojcowskie łono... „Tatku! tatku!“...

Obudził się i nie mógł już usnąć p. Hordża.— Wody się napił, morfiny zażył. Ale usnął gdzieś nad ranem dopiero. I nic mu się już nie śniło.

A nad ranem i p. Tadeuszowi znowu się śni Dalcia. Na kolanach trzyma on pochrzestnicę swoją i całuje ją w czoło i w te jej bure oczęta. I dobrze mu tak z nią—jakby Stasiem był, a nie sobą... Ale wtem Hordża zrywa się na niego z gniewem i przykremi słowy—i Dalcię z kolan mu ściąga za ramię i odbiera mu ją, wołającą ratunku i rzuca się na niego i za gardło go chwyta chudemi palcami rąk, jakby go chciał zadławić. Pasuje sie z nim p. Ta-

deusz we śnie i na ziemię go już powalił. Ale Hordża coraz silniej ściska go za gardło — a sam siny, niebieski, jak trup, coby się z grobu wygrzebał na wierzch ziemi i trupem go czuć i zgnilizną... och, jaki straszny! Krzyknął p. Tadeusz głucho przez sen, raz i drugi krzyknął—i zbudził się.

Wzdrygnął się, odetchnął głęboko i przetworzył oczy: już dzień biały. I nie mógł już zasnąć. Wypalił w łóżku fajkę, jednę i drugą — a myślał o Stasiu i o Dalci.

A gdy wstali obaj z pościeli—(Łęgoborski bardzo rano się zerwał, jak zwykle i obszedł całe hordżynieckie gospodarstwo — Hordża spał długo, jak zwykle)—a gdy obaj byli już na nogach i zeszli się na kawę—powiedzieli sobie „dzień dobry“ i spojrzeli na siebie. Ale jak na siebie spojrzeli, to już innemi oczyma, wcale już innemi niż przy wczorajszem serdecznem „dobranoc, bracie“. I obaj to spostrzegli, że innemi na siebie patrzą już oczyma. A każdy czuł, jak drugi na niego patrzy i czuł każdy, jak on patrzy sam i co mu z oczu przegląda i co mu drugi z jego wyczytał spojrzenia.

Pomyślał Hordża: radbyś ty, aby mnie już nie było na świecie. Pomyślał Łęgoborski: radbyś ty, aby mnie już nie było na świecie... Tak obaj pomyśleli i obaj tak samo. I tak samo wzdrygnęli się obaj, podając sobie ręce. I jednemu i drugiemu nieswojsko było w duszy. Już nie to, co wczoraj, już nie to.

Gadu gadu o tem i o owem—ale nie szła gawędka. I wybierał się już Łęgoborski i chciał wracać do domu. Zatrzymywał go Hordża, ale niezbyt szczerze. Ale jeszcze go prosi: Kiedy chcesz jechać koniecznie—jedź po śniadaniu, a tymczasem zrób mi jeszcze łaskę: karbowy mnie kradnie, wyjdź-no trochę w pole, obacz ilu żeńców, bo nogi masz zdrowe, a dla mnie to ciężka męka iść tak daleko... a jechać nie sposób, wolałbym już iść piechotą..

— To daleko? na którym łanie?

— Ot, zaraz powyżej jaru, nad Łukawką... na lewo od drogi...

— Za kartofliskiem? ach, to na Starym Zrębie!

— Na Starym Zrębie. Ale idź drogą aż za jar, bo na Łukawce woda mi ławę zabrała.

I poszedł p. Tadeusz.—Idzie, idzie, gryzie w zębach fajkę na krótkim cybuszku, a myśli o tem i owem

Myśli o tem i o owem — a tu drogą kurz się wznosi. Bryczka jakaś, czy wózek węgierski. Czyje to konie?... Dziwnie jakoś znajome zdają się panu Tadeuszowi. Ale to bardzo znajome—jakby swoje własne.

Już-ci znajome! znajome, bo jego własne. Ach, i Wicek na koźle—tak, to jego czapka, to Wicek. Któżby to ze Stadłowa jechał? kto i po co?... Stanął p. Tadeusz i od słońca dłonią oczy zasłania, patrzy, patrzy. Widzi—nie widzi. A rączo pędzą Stadłowskie koniki: już, już za chwilę będą przy nim.

— Stój! stój!... Na miły Bóg, to Staś! Staś!

I w tył się przechylił na koźle parobczak ściągający lejce i bryczka stanęła. A zanim stanęła, już rosły młodzieniec wyskoczył na drogę, i całował ojcu ręce i ramiona i z wielkiej radości byłby staremu i nogi uścisnął, ale go stary pochwycił w objęcia.

— Zkądżeś ty się tu wziął, Stachu, tak rano?

— Wczoraj wieczorem przybyłem do Stadłowa; wiedząc, żeś ojcze w Hordżyńcu, wyjechałem dziś o świcie...

— Wszak musiano ci powiedzieć, że wrócę dziś w południe?

— Powiedziano. Ale mnie było spieszno do ciebie—długo czekać do południa... I do pana Hordży spieszno mi było, bo mam list do niego.

— List? od kogo?

— Od panny... Magdaleny.

— Więc ją widziałeś w Krakowie? A pisałeś

mi przecie, że się w Krakowie nie zatrzymasz wcale. Czekam cię, synu, już od trzech tygodni.

— Zatrzymałem się. Sam już nie wiem, jak się stało—ale... dobrze się stało.

— Czemu dobrze?

— Dobrze, ojcze... ja ci powiem czemu dobrze—ale potem, potem, potem...

— I długo bawiłeś w Krakowie?

— Trzy tygodnie.

— Trzy tygodnie?!...

I zdawało się staremu, że już odgadł wszystko, i serce mu skakało w starej jego piersi, jakby odmłodniało. Patrzył na syna, patrzył i rosło mu serce, jak za młodu rośnie. Ej, bo ślicznyż to chłopak, ten p. Stanisław! Samo zdrowie, sama siła, jakby dębczak młody. A oko sokole—a wąsik—a usta... ach, tylko u nas takie chłopcy się rodzą!— Patrzył stary na niego i serce mu rosło i zdało mu się, że już odgadł wszystko. Ba! bo może i odgadł.—I zapytał nagle:

— A cóż, ładna Hordżanka?

Zczerwienił się chłopak.

— Czy ładna!...

I słów mu zabrakło

— Zakochałeś się, chłopcze?

A Stasiowi fala krwi oblała twarz, jedna fala, druga fala, a każda czerwieńsza. I poważną nastroił minę i poczciwie spojrzał ojcu w oczy, i poczciwie rzekł a poważnie:

— Zakochałem się ojcze. Kocham pannę Magdalenę.

— A czy szczerze?

— Całem sercem ojcze, z całej duszy...

— Szczęść ci Boże!

Radość jak słońce zabłysła na twarzy młodziana. Pochwycił ojcowską rękę i ucałował.

— A cóż panna?—pytał stary.

— Mam nadzieję, ojcze kochany... — jąkał się Staś.

— Nie cedź słówek — *tam do niego*! Powiedz prawdę, powiedz ojcu szczerą prawdę: kocha, czy nie kocha?...

Ale chłopak rumienił się przed ojcem, jakby on sam był Dalcią, a ojciec Stasiem.

— Ojcze!—rzekł proszącym tonem, jakby chciał ubłagać starego, żeby zdradzenia tak wielkiej tajemnicy nie żądał.

Stary się śmiał.—I tak idąc ku dworowi, byli już na zakręcie drogi koło stodół.

— Kocha, czy nie kocha?—zapytał raz jeszcze.— Ja chcę wiedzieć! no, mów! Nadzieję masz? małą, malutką, średnią, dużą?

— Dużą...—wybąknął Staś. –Byle pan Hordża...

— Dużą! dużą! co ja z tego wiem? nic!... No, jakto dużą? jak ta fajka, jak ta czapka, jak ta bryczka, jak ta stodoła?

— Jak ta stodoła... jak ten świat! — odrzekł śmiejąc się chłopiec.—Byle tylko pan Hordża...

— No, no, to już moja rzecz... Ale przygotuj się, Hordża twardy będzie, hoho! bardzo twardy!

I na przełaj idąc przez ogród, doszli już do dworu.

Hordża stał na ganku.

— To twój syn, Tadeuszu! — zawołał z radością, ledwie ujrzał Stasia.

— Syn przyjechał cię prosić o rękę twej córki.

Staś skamieniał. Osłupiał Hordża.

— Cóż znowu! — rzekł wreszcie, wzruszając ramionami.—Zwaryowałeś stary, czy co? Żartujesz.

— Nie, Andrusiu, nie żartuję! Proszę cię o rękę Dalci dla mego syna...

— Gdzież tak nagle! gdzież tak nagle!... Ja nic nie mam przeciw niemu, ale... ale...

— Wszak to twój pochrzestniak, Andrusiu! daj mu pochrzestnicę moją!

— Ależ... ależ... zastanów się!... Ja nie wiem, czy Dalcia...

— Ona za nim!... No, stary! jeśli ona za nim, dasz ją?...

I przechylił się ku niemu i coś szepnął na ucho:

— Tu... na tym ganku... pamiętasz?... ze trzydzieści lat temu... Joasia...

Ja nie wiem, co on szepnął więcej... ale przypomniał sobie snać Hordża, przypomniał sobie żywo. I patrzył na niego i na Stasia patrzył—i jakby mu w duszy zmartwychwstała ta chwila, kiedy Tadeusz zajechał bryczką przed ganek — prosto z Żywopola od Joasi, kiedy porwał go w ramiona, szalejący z radości, że mu nadzieja zabłysła... i jak spojrzał mu w oczy i odgadł mu serce i uciekł od szczęścia i od pokusy aż na drugi świata koniec... Przypomniał sobie Hordża to wszystko.

Przypomniał sobie i wyciągnął ku Stasiowi ramiona:

— Mój... synu... jeśli ona za tobą... to niech będzie twoja!...

A Staś całował mu ręce, a Hordża objął go w ramiona.

Rozpłakał się Staś z radości.

Obaj płakali.

Płakali wszyscy trzej.

Płakali i ściskali się.

A w liście Dalci stało... Ale co nas to obchodzi, co tam w jej liście stało.

Przyjechała za tydzień. I za tydzień — nie, za dni ośm odbyły się zaręczyny. Tak, za ośm dni. Równo za ośm. Nazajutrz po przyjeździe.

A we Wrześniu ślub. Dwudziestego Września...

Mieszkali zrazu w Hordżyńcu naprzemian, a naprzemian w Stadłowie. A obaj starzy z niemi zawsze razem.

A teraz w Korczunkowcach mieszkają. bo Korczunkowce ich. I Korczunkowce i Wiklińce, Żórawka, Sęki i Karpiłów. A prócz tego Stadłów i Hor-

dżyniec.—Śliczny to majątek—dziewięć folwarków. A nie lada folwarki. Dziewięć.

Ale i dzieci mają już siedmioro. A śliczne dzieci! Trzech chłopców: Stasia, Tadzia i Jędrusia, i czworo dziewcząt: Joasię,, Magdusię, Jadzię i Wandzię.

Kochają się bardzo i bardzo są szczęśliwi. Dzieci chowają im się zdrowo, a we wszystkiem im się powodzi. I miłość ludzką mają, bo oboje zacni i poczciwi. Byłby rad Napoleon, że w ich ręku Korczunkowce.

Ale starzy obaj już nie żyją: i Łęgoborski i Hordża. Obaj już nie żyją: i Łęgoborski i Hordża...

Który którego przeżył?—Prawdziwie, że nie pamiętam. Jakże wam powiedzieć, kiedy zapomniałem. Jak was szanuję, moi najmilsi — nie wiem.

Ale mniejsza o to!...

W GRUDNIOWE DNI.

SEWEROWI

z serdecznem podziękowaniem
za „Przybłędy" przesyła
AUTOR.

I

Czy drzemie staruszka?

Któż odgadnie? U niej marzenie tak do snu podobne, sen jej tak podobny do śmierci.

Powieki wpół przymknięte, na ustach uśmiech pełen słodyczy i smutku.

Na twarz jej bladą od czasu do czasu jaskrawym odblaskiem pogrzebowych pochodni padają płomienie kominkowego ognia. Z odgłosem świeżo wyciosanej trumny, schnącej na słońcu, mokra, świerkowa kłoda paczy się i pęka od żaru. Zasyczą w niej czasem skwarzące się soki żywotne i znów rozpęka włókno drzewne z głośnym strzałem, sypiąc do koła iskrami. Iskra każda chwilkę w powietrzu żywiej zaświeci, jak rodząca się gwiazda—i zgaśnie na wieki.

Czerwone półświatła, półcienie, drgają naprzemian po zmarszczkach nieruchomej twarzy, bawią się siwym jej włosem, złocą go i srebrzą i przywracają mu czasem kruczy połysk młodości. W różowych przebłyskach żaru, przezrocza tkanina muślinowych szlarek jej czepca zdaje się zmieniać na jednę sekundę w girlandę róż.

Jak jej z tem ładnie!... Jakby jakie wnuczęta figlarne, tak ją stroją figlarne gnomy i kobolty

płomyków. Któżby ją stroił inny w jej samocie? Huczy zamieć śnieżna na dworze, zmarzłemi grudkami śniegu bije w wązkie okna dworku.

I cisza zresztą—głucha cisza, tylko ten szum wichru i to małych szybek dzwonienie i to sykanie, i skwierczenie wilgotnego drzewa na ognisku i niekiedy huczny wystrzał pękającej kłody.

Te gnomy ogniska—one to może staruszkę rozerwać chcą temi głosami? one to może zmówiły się z elfami w śniegowej bujającemi zamieci i rozmawiają tak z sobą nawzajem: niestrudzone w zabawie i dzwonią i trzaskają z biczów jak drobna dziatwa — i jakby rozswywolone chłopięta rzucają w szyby okien gałeczkami lodu.

Poczciwe duchy, jak one znają serce człowieka! Jak one zająć umieją mu myśl w długich, nieznośnie długich godzinach tęsknoty! jak one wiele powiedzieć umieją pół-słówkiem, pół-dźwiękiem, pół-szeptem.

Poczciwe duchy! jak one pocieszyć umieją tych, dla których przyszłość martwym jest wyrazem! Jak one wiedzą, o czem z kim rozmawiać! jak one wskrzesić umieją zapadłe w niepamięć czasy, zamierzchłe niepowrotnie radości, zachwyty i szczęścia!

One przemawiają do serca ludzkiego wspomnieniem!

A żywo wspomnieć — to jakby odetchnąć raz jeszcze wonią lubego kwiatu, który nam z rąk wyrwano...

Inaczej uśmiecha się człowiek, gdy o przyszłości marzy, inaczej wcale, gdy duch w błogiem wspomnieniu zatonie.

Patrzcie! w jej uśmiechu niema niepokoju oczekiwania i dreszczów nadziei. Jej uśmiech—to spokój.

Ona wspomnieniem oddycha — wspomnieniem młodości... A młodością dla starca przeszłość szczęśliwa, niepowrotna. I chwile szczęścia, które błyskały niegdyś, choćby na czole siwym już nawet osrebrzonem włosem — to także wspomnienie młodości.

Cicho. Podniosła się nieco w poręczowem krześle. Wyciągnęła rękę niepewnym jakimś ruchem przed siebie, jakby szukając po omacku jakiegoś przedmiotu na małym, na małym, okrągłym stoliczku, ustawionym tuż obok jej podnóżka.

Lekkiem z góry dotknięciem drżących palców, jak to czynią ślepi, poruszyła po kolei każdy przedmiot, leżący na stoliku: szklankę z jakiemiś ziółkami, srebrną cukierniczkę, flakonik porcelanowy i małą, w czarnych ramkach fotografię.

Wzięła tę ostatnią ostrożnie do ręki, ale nie poniosła jej do oczu, tylko drobną swą dłonią przykryła, końcami palców dotykając wizerunku, tak jakby przez taflę szklaną odczuwała magnetycznem palców dotknięciem utęsknione rysy portretu.

Żywszym wyrazem mętnej jakiejś lubości rozjaśniło się oblicze staruszki. Ktoby nie wiedział, że to niewidoma, patrząc na nią w tej chwili, byłby pewnym, że widzi.

A ona tylko czuje.

Ona widzi zaiste, ale tylko swej duszy oczyma— mówiąc z Szekspirem.

Nieprawdaż? śmieszny to sentymentalizm w tym wieku prozy i realizmu! tem śmieszniejszy, że go nie wśród ludzi popełnia, którychby chciała zjednać dla siebie takim przestarzałym romantyzmem, ale sama wobec siebie tylko... i wobec tych fantastycznych na kominku płomyków, i tej zamieci śnieżnej, zaglądającej do izby przez skrysztalone mrozem okienko... i wobec tej fotografii w jej ręku. Odłóż czytelniku na bok tę sentymentalną nowelę. Tu niema prawdy...

O, ja ci zaręczam, że prawda. Pomyśl, że to nie dzisiejszych czasów niewiasta, ona sięga urodzeniem pierwszych dziesiątków naszego stulecia.

A kiedyś, kiedyś, na starość... gdybyś doznał wiele szczęścia w życiu, i kochał i płakał na ukochanych grobie i znalazł się wreszcie samotny, niewidomy, w odludnym karpackim, jak ona, dworku,

i sam się uczuł ze wspomnieniami swemi... kto wie? kto wie, czybyś nie przestał śmiać się, gdyby ci wtedy przyszła na myśl przeczytana w młodości nowela... Kto wie?

Dziś się śmiej.

Biedna moja staruszka da ci więcej jeszcze powodów do śmiechu.

Patrz, wsłuchała się ślepa marzycielka w to pękanie mokrej świerczyny na kominku, w tę muzykę bijących w okna śniegowych grudek — i jakimś dawnym rytmem dzwoni jej w duszy wspomnienie... Rękę przyłożyła do czoła, jakby coś lepiej przypomnieć sobie chciała, a usta poruszają się mimowiednym szeptem miarowych słów w pamiętne sercu ujętych rymy...

Zrazu szept cichy—i głośniej—głośniej... wiersz jakiś powtarza z pamięci... Jakie to śmieszne!

Żywszy płomień buchnął na kominku — blaski rozlały się jaśniejsze po całej izbie. Przystroiły resztki starożytnych mebli, świetniejsze mieszkanki przypominających czasy. Ozłociły bronzowy postument starego zegara z kurantami, z orłem dławiącym węża w swych szponach; prześlizgnęły się po półkach wytwornie oprawnych książek, odbiły się w szerokich ramach portretu, wiszącego na przeciwległej ścianie: portret młodej niewiasty — ach, jakże pięknej!

Rzecz dziwna, jak nam ten portret znajomym się wydaje. Przypomina kogoś, gdzieś widzianego— na jawie, czy w wyobraźni...

Ach, to portret staruszki naszej!...

A ona mówi — cicho zrazu... i coraz głośniej... i z coraz większem uczuciem tak, że dźwięk rzewny jej głosu barwi i stroi w poezyę prawdziwą, tuzinkowy wierszyk:

—Pamiętasz, kochanie ty moje
Nasz pierwszy po ślubie ranek?
I sadem rozkwitłym jak szliśmy oboje?
I co ci mówił kochanek?

Pamiętasz tę jabłoń w ustroni
W dzień pierwszy twego zamęścia?
Wiatr pruszył nam głowy kwiatami jabłoni...
Pamiętasz luba dzień szczęścia?

Wtedy kochana, kochająca,
Jak wiosna pełna młodości,
Tyś coś mówiła, jakby z nocy tysiąca,
O naszej przyszłej starości.

I chciałaś, by razem oboje,
Jak wichrem zerwane kwiaty,
By kiedyś staruszków—kwiatuszków nas dwoje
W nadziemskie wzleciało światy..

...Patrz, zamieć dziś sroga, śnieg pruszy,
Włosy nam starość spruszyła:
Czyś taką ty niegdyś. w młodziutkiej twej duszy,
Czyś taką starość marzyła?..

Zegar zaczął grać kuranta. To południe.

II.

Ach, jakież śniegi na podgórzu karpackiem!

Jaki czas! co za zadymka straszliwa! Mróz kilkunasto-stopniowy, a wicher przytem, łamiący drzewa po drodze, z nóg wali ludzi przechodzących wpoprzek drogi we wsi, od chaty do chaty, przenika ich nawskroś do kości.

Cóż to się dziać musi z tymi, którychby ta zawierucha w czystem polu gdzie spotkała! Ulituj się nad nimi!

W czystem polu? He, któżby się to puścił w drogę o takiej porze? Chyba szaleniec jaki.

Kto jednak wie? Zawierucha ta zrywa się nagle, nieraz niespodzianie, każdego zaskoczyć może, najostrożniejszego nawet.

Psy naszczekują ode wsi, przytłumiony ich głos i jakby trwożny; chowają się pewno każdy gdzie który może, tulą się pod strzechą, do ściany stajen przylegają bokiem, zkąd szparami ciepło na nich

wieje. Psa wypędzić na dwór żal, a cóż dopiero człowieka.

Zmrok już zapada. Od trzech godzin już gorzej niż zmrok zwykły, bo ciemno od chmur i zadymki. Ale coraz już ciemniej, teraz to pewnie już zmrok.

Za wsią wzgórze za wzgórzem, a każde do drugiego podobne. A wszystkie zasute śniegiem na łokieć, na sążeń gdzieniegdzie. Drogi nie dojrzysz na trzy kroki, nie rozpoznasz jej, choćby ci zadymką oczu nie ćmiła, wiatr zimny powiek nie zamykał. Biało i biało wszędzie, śnieg i śnieg równo rozpostarty, jak biały obrus, ani śladu na nim, ani znaku.

Tu i owdzie czerni się kilka lub kilkanaście wyniosłych świerków, wiatr niemi miota gwałtownie, uginają się na prawo i na lewo, to w tę, to w ową stronę: w stronę wichru chylą się gwałtowniej, skrzypią złowrogo jakby przełamać się miały i prostując się siłą sprężystych włókien, chylą się znów w drugą stronę i skrzypią—głucho... niby jęczą...

Może to człowiek jaki zbłąkany zapadł w śnieżną zaspę i tak jęczy?

Drogoskaz!... ah, jest droga! chwała Bogu! tędy, na prawo... Poczciwe biedne konięta, one ją odnalazły, człowiek napróżnoby jej szukał. Puścił chłop wodze koniom i zdał się na ich instynkt, a sam, przytuliwszy się do swej kumy, osłania własnem ciałem od wichru nowonarodzone niemowlę na jej ręku, owinięte w pieluchy. Woził je do chrztu świętego do parafialnego kościoła, dwie mile tam, dwie mile z powrotem... Czy je żywe zawiezie do domu? czy sam żyw powróci? któż wie, kto wie ?

Pięć godzin temu jak wyruszył z domu i pocałował w chałupie matkę swego dziecka. Nie zanosiło się wtedy na tak wielką biedę. Mróz był straszny, ale zadymki nie było. Trzeba było jechać — bo nużby dziecko umarło i duszyczka poszła do piekła. Strach pomyśleć! Trzeba było jechać.

— A niech się nazywa Marynka! — rzekła mu żona na odjezdnem. I podniosła się nieco z pościeli i przyciągnęła kumę do siebie, trzymającą już niemowlę na ręku, i pocałowała swoję jedynaczkę.— A niech się nazywa Marynka! — powtórzyła proszącym głosem. — A nie dajcież jej zamrzeć z głodu i zimna!... oj, mnie bardzo źle, Józku! Ja was tu może nie doczekam... A niechże się nazywa Maryna, jak ja!...

Ale proboszcz nie dał się uprosić. „Cóż to, rzekł, w waszej wsi same tylko Maryny mają być? Dość już tego. Już u was sześć Maryn tego nazwiska. Bałamuctwo w metryce i koniec. Niepozwolę“ I ochrzcił ją Hanka.

— *Hanka!* hej, hej, kumo, cóż ja żonie powiem jak mnie zapyta?... Ona pomyśli, że ja ją tak nazwał od tej Hanki... co to wiecie...

— A jużci wiem. A jużci pewnie tak pomyśli.

— Jezu! ta niechby umarła, niechbym ją żywą do domu nie zawiózł!...

I na wpół pijany ojciec zaczął zawodzić ochrypłym głosem nad nieszczęsną Hanką—ale przysunął się jednak bliżej do kumy, aby dziecko od wichru osłonić.

— Dajcież pokój! Nie wiecież, że to grzech życzyć śmierci własnemu dziecku... Żeby cudzemu jeszcze... ale to do was takie podobne...

A Józek, zamiast odpowiedzi, uśmiechnął się i wyjął z zanadrza flaszkę wódki, napił się sam, dał się napić kumie, a potem dziecku do drobnych usteczek wcisnął parę kropel z bibuły, którą zamiast korka zatkana była szyjka butelki.

I zjechały sanki w głęboki parów, pokryty kilkosążniową zaspą. Zadymka zaczęła się zmniejszać.

— Jezu Chryste! rany boskie! a to co? barania czapka... człowiek leży w śniegu!... hou! prr!...

I zeskoczył Józek z sani. W śniegu leżał, z twarzą w śniegu zarytą i na wpół już śniegiem

przysypany człowiek w chłopskim kożuchu, w nowych butach z cholewami wysokiemi, z których wydobywała się słoma, ręce rozkrzyżowane w grubych dwupalczystych rękawicach z niebieskiego sukna, uwiązanych na sznurku do kożucha. Na plecach miał przewieszoną skórzaną torbę.

Józek zaczął go cucić.

— Hej, taż to Michał, ten ze dworu.

Spił się pewnie...

Natarł go Józek śniegiem, potem wódką skropił—a gdy pijany zaczął dawać znaki przytomności, z pomocą kumy wyciągnął go na sanki. A nie mogąc się już pomieścić w sankach po takiem zwiększeniu liczby podróżnych, na nim usiedli oboje.

— Wio, wio! — a biedne koniska ciągnęły co siły pod górę.

Co chwila to sanie zarywały się w śnieg, co chwila wyskakiwał Józek i pomagał koniom, aby je wyciągnąć, a potem znowu jednym skokiem był już obok baby, siedzącej na nieruchomem a żywem jednak siedzeniu. Za każdym takim skokiem żywa ta kłoda przygnieciona ciężarem Józka, zgryźliwym stękiem dawała znać o doznawanych wrażeniach.

Dojeżdżali już na szczyt góry; znowu wicher się wzmagał, znowu gwałtowniej szalała zadymka. Nagle usłyszeli za sobą głośny klekot dzwonka i ujrzeli najprzód dwa duże bułanki w chomątach i porządnej uprzęży, woźnicę w płaszczu z futrzanym kołnierzem, podniesionym do góry—a za nim w szerokich saniach dwie kobiety, jednę z twarzą zasłonioną woalem, w futrze i szafirowym szalem owiniętą, drugą zaś w porządnym wielkim kożuchu i z kraciastą czerwoną chustą na głowie.

— Hej człowiecze!—zapytał woźnica — czy dobrze tędy do Paprotki?...

— Dobrze!... prosto!...

— A od karczmy na prawo?

— Na prawo.

— A za mostem?

— Most zepsuty, jest tylko ława. Musicie objeżdżać popod las, hen, hen, koło figury.

— Bóg zapłać!

I rącze bułanki popędziły naprzód.

Oglądała się długo za niemi kuma— i za czerwoną chustą i za szalem niebieskim, westchnęła i rzekła wreszcie:

— Kumie, strasznie zimno! dajcie-no wódki.

Popił Józek sam z flaszki i podał kumie i odsłonił dziecko, aby mu do ust nakropić. Włożył mu palec w przetwarte usteczka, poruszył twarzyczkę z jednej i drugiej strony, pochylił się nad niem, aby je lepiej oglądnąć, i przerażonym czas jakiś patrzył na nie wzrokiem...

— Oho, kumo!—zawołał wreszcie:— Hanka już umarła!

— Co gadacie?... umarła?... Rany boskie!,... A cóż *wasza* powie?...

— Eh!—odezwał się po chwili Józek z ponurą rezygnacyą—może i ona już umarła...

— Byłoby dwa pogrzeby naraz!

— Oj! oj! — zawodził chłop. — Zkąd ja na to wezmę pieniędzy!... Dopiero chrzciny, to znowu pogrzeb!... Lońskiego roku jak *stara* umarła, piętnaście *papierków* mnie to kosztowało.

Wyciągnął sanice z zaspy i wskoczył na siedzenie.

— Uff! — stęknął Michał, ogarniając się ręką bezprzytomnie.

III.

Potrącona w samotnem sercu struna wspomnień wibruje i dźwięczy bez końca. Jak owa syrakuzańska grota, gdzie jedno ledwie dosłyszalne westchnienie tysiącem naraz odbrzmiewa westchnień, takiem jest serce. Niema w niem wspomnienia bez echa: niech jedno z cicha zadźwięczy, odpowie mu drugie i trzecie i tysiące naraz zdawna przebrzmiałych

odzywa się głosów w dziwną spływając harmonię... w dziwny czasem dyssonans.

Trzy piekielne siostrzyce snuły Grekom nić żywota. Lecz w miarę, jak się nić ta rozsnuwa, zwija się druga: na kłębek ludzkiej pamięci nawija się nić wspomnienia. Dusza ludzka—to otchłań: dość w nią rzucić ów kłębek zaklęty, nić wspomnień snuć się będzie bez końca. Splątana, zwikłana, nie rozgmatwa się nigdy, a snuje się, snuje...

Snuły się wspomnienia w siwej głowie staruszki.

Niewiele ich wiązało się z tym białym dworkiem w Paprotce, na karpackiem odludziu. Za życia męża, który zaszczytny urząd obywatelski piastował, mieszkali oboje w mieście, w stolicy. Z wyjątkiem najmłodszego syna, pomarła im dziatwa w pierwszych dziecięctwa latach, a jednak dziwną swych myśli i uczuć związani harmonią, z pogodnem czołem szli drogą zacnego żywota, kochający, szczęśliwi, spokojni, wesoło w przyszłość patrzący.

Majątkowe klęski nie zachwiały tego szczęścia. Majęteczek, w górach wprawdzie położony, ale zawsze dość znaczny i z trzech złożony folwarków, zmuszeni byli w większej części rozprzedać, zostawiając sobie tylko folwark najmniejszy, o kilkudziesięciu morgach owsianego gruntu, z małym dworkiem mieszkalnym, samotnym, odległym od świata i bitych gościńców, o mil trzy oddalonym od najbliższej poczty.

Cios padł wreszcie najcięższy. Niczem nieuzasadnionym obarczony zarzutem, zniewolony głosem publicznej opinii, która wymagała, aby się pomścił za doznaną niesłusznie obelgę, podjął sprawiedliwy mąż rzuconą mu nikczemnie rękawicę i — zginął w pojedynku.

W przecudny, słoneczny poranek wiosenny, gdy cała przyroda ku nowemu zdawała budzić się życiu, uściskał żonę po raz ostatni, dwunastoletniego przywołał Władzia, podniósł go w górę i do serca przycisnął, ojcowski na czole złożył mu pocałunek. „Ko-

chaj mamę!“ rzekł mu i złotowłosą jego główkę na kolanach jej oparł. „Kochaj go... bądź zdrowa!“ Łza błysła mu w oku, wyszedł i wrócił z drugiego pokoju z bukietem fiołków w ręku. Jeszcze całus jeden, gorący, serdeczny; bukiecik fiołków został w jej ręku, syn na kolanach... jego już nie było.

I nie ujrzała go już więcej.

Daremne łzy i rozpacze, próżny żal za straconym rajem. Nie wróci już, nie wróci. Syn pozostał. Syn! to wielkie dla matki słowo, to wielka dla nieszczęsnej pociecha. I obowiązek to wielki.

Ustała wypłata mężowskiej pensyi. Dochody nie wystarczały na najskromniejsze nawet utrzymanie w mieście, a tem mniej na opędzenie kosztów starannego wychowania syna. Biedna wdowa oddała go w opiekę poczciwym ludziom, a sama przeniosła się na wieś, pod Karpaty, aby choć jakietakie wyciągnąć ze szczupłego majątéczku dochody.

Nie wystarczały one i nie mogły wystarczyć na opędzenie wydatków. Zmniejszyła się wreszcie i ta scheda ojcowska młodego Władzia, i dla opłacenia bądź-to dawniejszych długów, bądź takich, które nieunikniona konieczność nakazywała zaciągnąć, odprzedać trzeba było sąsiadom kilkanaście i znowu kilkanaście morgów. Został dom i nieco więcej nad trzecią część pierwotnego obszaru.

Pozostałe jej własnością grunta wydzierżawiła chłopom, a sama na kilku morgach z dwojgiem sług utrzymywała tylko krów kilka i owiec. Dochody te wystarczały jej do życia. Syn pomocy jej już nie potrzebował. Ukończył fakultet filozoficzny uniwersytetu, sposobił się do zawodu profesora, a będąc poszukiwanym jako nauczyciel historyi i literatury, dawaniem lekcyj w zamożniejszych domach zarabiał tyle, że nietylko sam zapewnił sobie dostatnie utrzymanie, ale i matce nieraz dopomógł w kłopotach.

W ostatnich latach zwiększyły się były te kłopoty. Nie mogła dać już sobie rady nawet z drobnem swem, prawdziwie miniaturowem gospodar-

stwem. Na domiar złego oczy, na które od lat dawnych cierpiała, słabły zwolna coraz bardziej, świat zewnętrzny mglił się coraz bardziej przed jej wzrokiem i wreszcie zupełne dla niej pokryły go ciemności.

Strasznym niegdyś byłoby to dla niej ciosem, dziś spokojnie go zniosła. Nie był on tyle strasznym, gdyż nie spadł na nią niespodzianie, lecz dzień za dniem nieznacznie coraz gęstsza zasuwała się przed oczyma zasłona. Nie był on strasznym, bo o los syna była już spokojną. Żyła wspomnieniami i rozpamiętywaniem przeszłości.

Jako kobieta rzadkiego wykształcenia, dla której książka była niegdyś niezbędnym chlebem żywota, cierpiała zrazu bardzo na tej niemożności rozczytywania się w ulubionych autorach, przeglądania mężowskich listów, wierszy i naukowych notatek. Później jednak oswoiła się z tym tak dotkliwym zrazu brakiem, a szczególniej żywa i bogata jej pamięć dozwalała wysnuwać ze skarbu wspomnień całe ustępy znakomitych naszych poetów. Na samotność najsroższą skazana, nie mając w pobliżu ani jednej pokrewnej duszy, na mil kilka dokoła nikogo, ktoby jej list od syna przeczytał, długiemi nieraz godzinami czytała głośno... z pamięci...

Mężowskie listy i wiersze, do niej po większej części pisane, poznawała za dotknięciem ćwiartki papieru tak dokładnie, jak oślepła dewotka poznaje każdy paciorek swego różańca.

Czternaście lat wdowieństwa, zdala od towarzystwa wykształconych ludzi, sześć lat ślepoty samotnej... cóż dziwnego, że pani Anastazya wytworzyła sobie świat własny, nic ze światem ją otaczającym niemający wspólnego, świat wspomnień, w którym żyła poezyą własnej przeszłości, a podsycała życie zapamiętanemi utworami poetów. Cóż dziwnego, że świat ten milszym był jej stokroć od martwej, prozaicznej obecności, że po dniach całych pozbawiona rozmowy z prozaicznem swem otocze-

niem, za głosem ludzkim tęskniła i swą tęsknotę własnym nasycała głosem?

Trudniejszą byłoby może dla psychologa zagadką, czemu z każdym rokiem coraz bardziej wyzbywała się jej pamięć wspomnień z lat bliższych, czemu coraz bardziej ożywiały się w sercu staruszki i coraz milszemi stawały jej się pamiątki odleglejszych czasów... Macierzyńska miłość, która po śmierci ukochanego męża uratowała ją od rozpaczy i od zwątpienia w siebie i w przyszłość, to macierzyńskie do jedynaka przywiązanie, w którem zdawało się, że cała jej skupiła się istność, w miarę jak syn ten wzrastał i mężniał, bladło coraz bardziej wobec wspomnień młodości, wobec miłości ku ukochanemu zmarłemu. Miłość ta rosła w ubóstwie, duszę uskrzydlała tęsknotą, życiem ją pojąc jakiemś mistycznem, nieziemską błogością, kultem się stając i jedynym życia pokarmem.

Czem się to działo?... pytajcie duszy tajemnic. One wam odpowiedzą—ale wtedy dopiero, gdy starość pochyli was ku ziemi, odpowiedzą wam rozmiłowaniem się waszem własnem w młodzieńczych lat waszych uczuciach. Nie wiecie dziś, jak miłemi kiedyś jeszcze wam się staną wspomnienia, które dziś żadnej mieć się wam nie zdają wartości...

IV.

. . . . . .

„Wszędzie życia płomień tchnie!
I gdzie się akord dźwięków zapali!
I gdzie się w iskrę ciepło skrysztali"!...
— A Ona pyta; Gdzie?...

„Na wszystkich słońcach, na wszystkich światach,
I w każdej ludzkiej łzie,
W uśmiechach wszystkich i wszystkich kwiatach,
W proteuszowych kształtach i szatach..."
— A Ona pyta: Gdzie?

„W własnej twej myśli jasnym promieniu
I własnej duszy śnie,

We własnem głosu twojego brzmieniu,
W własnego serca twojego drżeniu ..“
——Ach gdzieś ty, gdzieś ty, gdzie?...

— Ja tutaj, proszę jejmości! — odezwała się Kaśka, wchodząc z brzemieniem drzewa.—Przyniosłam parę polan do komina, żeby mi jejmość nie zmarzła. Mróz, mróz okrutny! aż dusza w człeku marznie. A wicher-ci taki, że aż świerki jęczą... a gruszę tę nad sadzawką to złamało do szczętu... Byle strzechy nie zerwało!... jużci się ktoś powiesił, to jak dwa a dwa cztery... może ten rudy Jolko z Podsośnia, co go do kryminału wzięli za tę babę z koralami, co ją u niego w studni znaleźli... ej, żydzisko, żydzisko! dobrze mu tak!... Sprawiedliwość boska... Ale, z przeproszeniem jejmości... może to, jak się Żyd powiesi, to wiatru nie będzie?... hej, hej, mój Boże, jejmość to uczona w książkach, to tam wszystko wie...

— A Michał nie wrócił jeszcze z poczty?..

— Ho ho! a co też to jejmość gada!... a nie widzi to jejmość, jaka zadymka straszliwa... swoich nóg nikt nie dojrzy, a ktoby drogę znalazł... aj, prawda, że jejmość nie widzi, bo ślepa... O rety! nie wróci on dziś, nie wróci... Musiało się gdzie w karczmie spić chłopisko, ta i leży pod ławą... z przeproszeniem jejmości. Czy ja wiem, poco bo to jejmość trzyma tego pijaczynę?... Tylko, na rany boskie! niech mu jejmość tego nie powie, co ja jejmości o nim mówię pod świętym sekretem... ho! nie przyjdzie ci on dziś, nie przyjdzie, ja go znam!... aż gdzie jutro koło południa... Niema komu sieczki narzezać... Ale, Jezu kochany, cóż jejmości z tego przyjdzie, choćby i przyniósł listy od panicza... Któż je tu jejmości przeczyta? niema nikogo we wsi takiego uczonego. Musi jejmość czekać i tak, aż kiedy przyjedzie która pani z Podsośnia, albo z Suchoręba... albo może doktór... ej, ej!... a ja z jejmością gadu gadu... a tam mi śmietanka wykipi...

— Idź już Kachno, idź...

— O Jezu! rety! ktoś przyjechał! Wszelki duch święty pana Boga chwali! w taki czas!... Słyszy jejmość dzwonki?... Aj, aj, okna zamarznięte, nic nie widać.. No, no, widać! Jak pana Boga kocham! taż to panienka z Suchorębu!... w niebieskiej płachcie... i z panią. Nie, nie z mamunią, ze sługą. Oj, to ta Jagna Ceglarzówna, co się z nią kowal miał żenić... a jak się wystroiła *galantnie*, w czerwoną chustę... a to dopiero!... no, no!... Ale pani gada, a ja muszę już iść, panience zdjąć futerko... Kawy zrobić?... a owsa koniom dać? będzie jeszcze ze dwa korce w śpichrzu... Oj, święty rety! zapomniałam! Michał pijaczysko wziął klucz!... Co ja zrobię?... Poślę Jędrzejową do Kośka... A furmanowi panienki dać jeść? ojej! ojej!

I wybiegła za drzwi, zdesperowana tylu czynnościami, które ją czekały.

V.

W kilka minut później weszła... nie, wbiegła... nie, wsunęła się... jeszcze gorzej!... Wleciała zatem! I to źle! Dość, że w kilka minut zjawiła się u podnóżka naszej staruszki owa *panienka* z Suchorębu, którą przez okno poznała Kachna po „niebieskiej płachcie“, a którą my z szanownym czytelnikiem spotkaliśmy już wprzódy na Paprockiej górze, jadącą sankami wśród największej zadymki...

Cudownie lekka, wiotka, smukła, zgrabna, pełna niewymuszonej w każdym ruchu gracyi i dziwnej tej swobody, która jest najrzadszym i najbardziej czarującym ze wszystkich uroków piękności — w samej rzeczy, nie *weszła* ona jak salonowa panna, nie *wbiegła* jak dziewczę wiejskie, nie *wsunęła* się jak zakonnica, nie *wleciała* jak trzepocące skrzydełkami ptaszę... ona się *zjawiła*. Tak jest: *zjawiła się*... tak jak myśl się jawi, jak miłość, jak radość, jak wiosna, jak poezya...

Czy była piękną? Uroczą była — to może więcej.

Nie miała rysów klasycznych. Hoża i świeża jak wiosenny ranek; okrągła twarzyczka, rumiana od mrozu jak jabłuszko; jasno-siwe poczciwe oczęta wprost ci w oczy patrzące; małe usteczka karminowe pełne uśmiechów, z poza których białe wyglądają ząbki. Czoło wreszcie myślące, zbyt może nieco naprzód podane, a dokoła niego złocisty z warkocza wieniec—oto wszystko. Małe rączki, śliczna talia, którą, zda się, jedną objąłbyś ręką, przychlebny głosik, pełna niewinnej kokieteryi modulacya w wymowie: czegoż chcecie więcej? Nie kreślę wam słynnej piękności, tylko uroczą dziewoję wiejskiego dworku.

W tym atłasowym szafirowym kubraczku, lamowanym puchem łabędzim, ślicznie jej było, klęczącej u nóg staruszki.

Całowała ją w ręce z uczuciem i patrząc na pogodne jej i szlachetne rysy, przymilała się do niej przekrzywiając główkę, jakby gorąco pragnąc jej się przypodobać, zapomniała o tem, że staruszka nie widzi. Pocałowała ją staruszka w czoło, ręce złożyła na warkoczu, który jej główkę oplatał.

— Wiosna jest przy mnie! Ty musisz tak wyglądać jak wiosna, moja Zosiu! Tak mi jest, jakbym wiosnę czuła, kiedyś ty przy mnie... Ale zkądżeś ty się dziś u mnie zjawiła, wiosenko moja!...

— Łaskawa pani, oto tak... ach, czy ja wiem sama jak?... Ale jaka ja, jaka ja szczęśliwa, że ja tutaj przy pani!

I nie przestając klęczeć, zaczęła klaskać w ręce.

— Poczciwa Zosiu!... ty lubisz być u mnie ślepej?

— Och, czy ja lubię!

I nowe gorące rąk ucałowania. Położyła swą główkę na kolanach staruszki, jakby domagając się pieszczot.

Nie szczędziła ich jej staruszka.

— Jaką ty masz gładką twarzyczkę, Zosiu!... a uszko jakie małe... miniaturowe!... Kolczyki masz... jakie to kolczyki?

— To od wujcia, z turkusikiem.

— Włoski takie delikatne... jak jedwabne! Ten cały warkocz, to wszystko twoje własne włosy.

— Moje własne, droga pani!... Ach, co to z niemi codzień kłopotu, aby je rozczesać! Prawie do kolan mi sięgają.

— Twarzyczkę masz taką gorącą, rozpaloną...

— To z mrozu.

— Czołko gładziutkie... brwi.... gęste brwi.... A rzęsy?... och, jakie długie!... Ale może ty się gniewasz, że ja cię tak dotykam po twarzy?

— O nie, nie, nie, najdroższa moja pani! mnie to tak miło!... Jabym tak chciała, żeby mnie pani widziała... a jak pani mnie tak rękoma ogląda, to mnie się zdaje, że mnie pani widzi.

— O ja cię przecież pamiętam dzieckiem.... Śliczna byłaś, moja Zosiu! ja cię widzę, dobrze cię widzę w pamięci! Byłaś jak pączek róży. Dziś musisz być jak róża rozkwitła... nawpół rozkwitła... Usteczka twe, pamiętam, ślicznie uśmiechnięte... i oczki poczciwe...

I przyciągając jej twarzyczkę rumianą ku sobie, pocałowała ją w czoło, ręką pogłaskała pod bródką.

— Uparta! uparta bródka! — i pogroziła jej palcem po nosie.

Zaśmiało się dziewczę dźwięcznym jak srebrny dzwonek głosem.

— No, Zosiu, dość tych oględzin! już cię widzę. A teraz siądź tu przy mnie i powiedz, zkąd się tu wzięłaś? i czemu sama?

— Oto tak: mateczka pozwoliła mi jechać do cioci Klimci; miałam wyjechać dziś rano, żeby parę dni zabawić w Smerczyńcach i wrócić na ostatniego grudnia do domu. Ale jak zaczęły się przygotowania do wyjazdu, to końca nie było: to to niegotowe, to owo. Bielizna dla mnie nie wyprasowana, konie nie kute na ostro, mameczka nie skończyła jeszcze listu do cioci, i tak dalej i tak dalej. Tak się przewlekło blizko do południa. Wtem przed gankiem

dzyń, dzyń, dzyń! wielki dzwonek u sani, jakiego w całej okolicy drugiego niema i zajeżdża p. Tadeusz. Mama mówi: „Zosiu, zostań, pojedziesz jutro.“ A ja: „O nie, mateczko, nie nie, nie, nie... pozwoliła mi mamcia dziś pojechać do cioci, to już mamcia pozwolenia cofnąć nie może.“ Na to mama popatrzyła się na mnie tak!... wie pani, tak z góry i powiedziała: „Mogę cofnąć i cofam. Zostań! Niegrzecznie byłoby, gdybyś pojechała. Konkurent zajeżdża, a ty czmychasz. Nie widzę powodu, aby go odprawiać w sposób tak wyraźny. Prawie go jeszcze nieznasz; jak go poznasz lepiej, może ci się będzie podobał. To partya nie do odrzucenia“... „O mamciu, nigdy, nigdy! za nic w świecie go nie chcę! choćby miał wszystkie skarby Golkondy!“... bo pani nie wie, jak on nieznośny ze swojemi Shorthornami, Negrettami, pudretami!... Ale mamcia powiedziała: „Zostań“ i nie było rady... No, widzi pani, niby nie było — ale się znalazła. Jakem wyszła do pana Tadeusza z czerwonemi oczętami i chusteczką w ręku i z kwaśną minką, jakbym się octu napiła — to nawet p. Tadeusz zaraz pomiarkował, że się coś święci, nastroszył wąsy i prosto z mostu po gospodarsku zapytał, pokazując swoim grubym wskazującym palcem na moje oczy: „Panna *Zofija*... (wyobraź pani sobie! zawsze do mnie mówi: „panna Zo-fi-ja“ z przyciskiem na *fi*. Już za to samo mogłabym go znienawidzieć!)... Otóż powiedział: „Panna Zofia płakała!... czemu panna Zofia płakała?“ A ja na to: „Przez pana!“ i nic więcej. A on roztworzył usta tak szeroko, jak wrota swojej obory i rozkrzyżował ręce. Mówię mu tedy, żem miała właśnie wyjechać do cioci Klimci, żem się niezmiernie tym wyjazdem cieszyła — a wtem on przyjechał i muszę w domu zostać — i dla tego płakałam i będę jeszcze płakała, cały dzień będę. „Ależ panno Zofio! — zawołał składając ręce jak do modlitwy — ja nie chcę być lez pani powodem i przeszkodą w jej zamiarach... błagam panią, niech pani jedzie“ „Nie mogę. Mama powiada, żeby to było niegrzecznie.“

„Ależ panno Zofio! co znowu! niegrzecznie? gdzież tam! Przeciwnie, *zostać* niegrzecznie!“ — i pobiegł do mamy i tak zaczął prosić i zaklinać, że mi tylko pogroziła paluszkiem i kazała Stefanowi zaprzęgać.

— Dobrze, moja Zosiu — przerwała szczebiotce staruszka — ale powiedz mi, zkądże się tu wzięłaś, w Paprotce, jadąc do Smerczyniec?

— Zaraz... zaraz... To się stało tak, droga pani: kiedy wyjeżdżałam z Suchorębu był mróz świetny, ale zadymki nie było. Ujechaliśmy może z milę, aż tu, jak nie zerwie się wiatr, jak nie zacznie dmuchać, jak nie zacznie kręcić płatami śniegu i bić w oczy... rozpacz!... Ale to nic jeszcze, to jeszcze mała rozpacz. Zaczęła się dopiero prawdziwa rozpacz, jak Stefan spostrzegł, żeśmy zbłądzili. Jechaliśmy i jechali bez końca i trzy razy wracaliśmy do jednej i tej samej figury, kręcąc się widocznie w kółko. Kilka razy zarzyły się sanie w zaspę śniegu, tak, że Jagna trzymała bułanki, a Stefan musiał sanie z śniegu wydobywać. Przewróciliśmy się wreszcie, wyjeżdżając z jakiegoś parowu... o, wielka była bieda! Nakoniec dojechaliśmy do jakiejś na wpół rozwalonej chaty, wyszedł cygan i powiedział nam, że jesteśmy niedaleko Paprotki... Do Smerczyniec niepodobna było dziś już jechać... a więc... a więc pomyślałam, że mnie może łaskawa pani przyjmie na nocleg?...

— A jeśli zadymka nie ustanie, to cię nawet i jutro nie puszczę!

— O, droga pani! gdybyż ta zadymka choć ze trzy dni trwała.

I snadź nowych zapragnęła pieszczot pochlebnica, bo uklękła przed staruszką i całując jej ręce, główkę na kolanach złożyła.

— Dawno pani już nie widziała pana Władysława?—zapytała niby od niechcenia zmieniając nagle przedmiot rozmowy. Dziwnie promieniały jej oczy przy tem zapytaniu.

— Był tu przed miesiącem. Ty nic pewnie nie wiesz... żeni się.

Trzymając ręce na główce Zosi, czy uczuła staruszka ten dreszcz tajemny, jaki przy tych słowach przebiegł dziewczynę? Drgnęła biedna Zosia, jakby niespodzianie prąd elektryczny niemile przebiegł jej ciało—i zerwała się nagle z kolan.

— Żeni się?—zapytała, siląc się na obojętny dźwięk głosu. Ale brzmiał on tak, jakby tchu jej w piersiach zabrakło. Z wyrazem niewysłowionej boleści przycisnęła ręca do czoła. Oczy były pełne łez.

— Tak, żeni się — powtórzyła raz jeszcze staruszka. Ale w brzmieniu jej głosu także nie było radości.

— Winszuję pani! — wyrzekła Zosia przez łzy z nadludzkim prawie wysiłkiem. Osunęła się na fotel, głowę przyciskając do poręczy. Obiema dłońmi cisnęła serce, aby jej nie pękło z bólu. Strasznie była blada.

— Nie wiem, czy się mam cieszyć, choć wszyscy winszować mi będą i może zazdrościć — mówiła staruszka. —Dziwne to, bardzo dziwne ożenienie!

— Z kim się żeni syn pani? — a łzy jak groch padały na poręcz fotelu.

— Z panną Sarską.

— Z hrabianką?—zapytała drżącym głosem.

— Tak, z córką pani Julii, z Horsztyńca.

— To świetna partya! — rzekła po chwili milczenia Zosia, czując się obowiązaną coś powiedzieć.

— Świat tak powie. Ale ja, nie wiem sama czemu, nie cieszę się tak, jakbym może powinna... Ja nie wiem, czy on będzie szczęśliwy.

— Jeśli ją kocha —zaczęła Zosia połykając łzy.

— Czy on ją kocha?—zamyśliła się staruszka.— Ona go kocha szalenie... ale czy *on* ją kocha!.. ja nie wiem czy ją kocha... nie wiem... może to takie dzisiejsze kochanie. Mój Ernest, ale taki Ernest jeden był tylko na świecie!... Jaka to różnica, ojciec i syn!... Dziwna to młodzież dzisiejsza! dziwna!...

Jacy oni chłodni! jak w nich mało serca, uniesień, zapału!... Władzio jest najpoczciwszym chłopcem, dobrym synem... a jednak ja nie wiem, czy on zdolny ukochać całem sercem. Ja nie wiem nawet, czy on *mnie* kocha.

— Chryste Jezu! rany boskie! a co też to jejmość wygaduje za *ferezyje!*—zawołała Kachna, przesuwając się ostrożnie przezedrzwi z dwiema szklankami kawy na dużej tacy, chlebem i masłem. — Obraza boska! gdzieżby to panicz jejmości nie kochał!... A kiedy tu był ostatnim razem u jejmości... nie widziała ja?... eh, darmo gadać, kiedy bo jejmość z przeproszeniem ślepa, to i nic nie widzi... A to *rychtyk* jak się pożegnał z jejmością i jejmość myślała, że on już poszedł... oto tak... ej, kiedy muszę tacę wprzódy postawić... Stoliczek przed jejmością za mały, taca się nie zmieści. Postawię na komodzie tymczasem... Oto tak było: nibyto panicz wyszedł, a stał tu, tu koło drzwi.. a z oczu mu woda ciekła, o tak: kap, kap! a ręką *ino* ocierał i patrzał na jejmość... ot tak!... eh, kiedy bo jejmość nie widzi jak ja pokazuję... no, ale panienka widzi, to jejmości powie po *chrojcusku*, bo to się po polsku nie da powiedzieć, *ino* pokazać, jak to było... Niechże panienka uważa, to ja pokażę. Ot tak: tu przystanął i potem dwa palce położył sobie na *gębie* i pocałował i potem tak ręką ruszył, jakby trzymał wróbla albo sikorkę w tych palcach i prosto chciał na jejmość puścić... o tak: cmok! frrrr!... eh, nie tak jeszcze... bo ja prosta dziewucha, to ja nie potrafię... To bardzo ładnie panicz zrobił, jak się patrzy! aż się coś człowiekowi dziwnego robiło.., Zaraz ja to lepiej pokażę, *ino* kawę jejmości podam i panience... No, bierzże jejmość do ręki szklaneczkę. Co? może nie przysłodzona? Cukier jest, trzy kawałki, tak, jak jejmość lubi. A tu chleb z masłem. No, a panienka niech bierze... Matko Najświętsza! a panienka czego płacze? co się to panieneczce stało?.

— Ale zdaje ci się tylko, poczciwa Kasiu, ja nie płaczę.

— *Ola* Boga! jużci widzę! przecieżem nie ślepa jak jejmość... z przeproszeniem.

— Mróz mnie w oczy wyszczypał, dlatego mnie teraz bolą.

— Ohoho! mróz!... mróz! Nie taka ja głupia, nie mróz to panienkę wyszczypał, ale coś *wedle* serca ją szczypnęło... Po co to udawać! lepsza najgorsza prawda, niż najlepsze kłamstwo.. no, niech mi panienka znaków nie daje i na jejmość nie pokazuje... bo ja się z panienką nie będę zmawiać, ażeby jejmość oszukać... z przeproszeniem. Jeżeli jejmość panience jakie przykre słowo powiedziała...

— Ale, Kasiu, śmieszna jesteś!—przerwała jej Zosia.

— Śmieszna, ja, śmieszna... ale panience nie do śmiechu dzisiaj, *ino* do płaczu... Czegoś panience serduszko się kraje, że ledwo w głos się nie rozbeczy... czegoś jej tak żal! okrutnie jej żal czegoś, aż litość człowieka bierze.

Zosia próbowała się roześmiać. Po udanym jej śmiechu mogła już i ślepa odgadnąć, że łzy cisną się jej do oczu.

Kachna wzruszyła ramionami.

— Ej, poco to udawać! poco to udawać komedye panienko!

— Idź-że już Kachno,—przerwała jej staruszka, tak mi Zosię prześladujesz, że gotowa tu już drugi raz nie przyjechać. Pamiętaj lepiej o kolacyi.

— No idę, idę już!... ale co prawda to nie grzech.

VI.

— Czyś ty naprawdę płakała, Zosiu?—zapytała staruszka po odejściu służącej.

— Nie, pani; czegożbym miała płakać?

Zamyśliła się staruszka. Pokręciła siwą głową

niedowierzająco. Smutny jakiś uśmieszek przemknął jej po twarzy.

Milcząc piły kawę. Po chwili odezwała się Zosia:

— Zabawna dziewczyna! jak ona komicznie odegrać chciała rolę pana Władysława! jak ona się oburzyła na niedowiarstwo pani w jego przywiązanie!

— Poczciwa Kachna!... Ale ty nie wiesz, jaki on ma szczególny dar ujęcia sobie wszystkich. Jego *wszyscy* kochają: koledzy jego szkolni skoczyliby w ogień za niego, słudzy przepadają za nim... Ja się nie dziwię, że jego narzeczona tak w nim szalenie rozkochana.

— A jednak pani nie wierzy, aby on ją również kochał!

— Nie wierzę... nie. On sam zresztą nie mówi tego, aby był w niej zakochany... Ona szaleje za nim, a on? wiesz, jak się wyraża o swej narzeczonej: „mam wiele dla niej przyjaźni, przywiązałem się do niej, bardzo ją lubię, a *nawet* kocham prawdziwie“... Dziwnie to chłodne, to „nawet“ !...

— Czemużby się z nią żenił, gdyby jej nie kochał? Zanadto go cenię, abym mogła przypuścić, że dla jej tytułu albo majątku!...

— Zapewne... zapewne... I ja daleką jestem od tego, aby go o tak niegodne posądzać pobudki. Mój syn nie sprzedałby się za wszystkie korony świata. A jednak... ja ci powiem, że mimo całej niezawistości jego charakteru i jego postępowych przekonań, ten jej tytuł i milionowy majątek... nie był bez wpływu na jego postanowienie. To jej miłości nadaje w jego oczach większą wartość; jakiś urok ,któregoby nie miała miłość ubogiej dziewczyny... Czy ty to pojmujesz?... Otóż to właśnie niepokoi mnie najbardziej i każe mi powątpiewać o jego szczęściu Co to za szczęście bez prawdziwej miłości... Kiedy był u mnie, spytałam go wprost: Mój Władziu, powiedz mi gdybyś był dawał lekcye historyi nie pannie Hieronimie, ale jakiej ubogiej dziewczynie, a ona

zakochała się w tobie do szaleństwa i sama ci się oświadczyła.

— To ona sama mu się oświadczyła?

— Sama.

— Władzio jej odpowiedział, że nie są dla siebie stworzeni, że dzieli ich nieprzebyta przepaść majątkowego położenia i uprzedzeń społecznych, i przestał bywać w ich domu.

— Jakże się więc stało?

— Panna, która od dzieciństwa była zawsze słabowitą i ma zdrowie bardzo wątłe, wpadła w nieukojony smutek i rozchorowała się śmiertelnie. Wtedy widząc rozpacz matki, która ją namiętnie kocha, na jej prośby i zaklęcia wyznała wszystko. Hrabina bez namysłu napisała bilet do Władzia, prosząc, aby przyszedł. Wymówił się. Pisała drugi raz, zaklinając go, aby przyszedł dla porozumienia się w sprawie „równie dla niego ważnej, jak dla niej." To były słowa jej listu. Wiedząc o chorobie panny i domyślając się o co idzie, nie poszedł. Ale w kilka dni później otrzymał trzeci list z wiadomością, że panna, będąc śmiertelnie chorą, dysponowała się na śmierć i pragnie się z nim pożegnać...

— Wtedy poszedł oczywiście.

— Poszedł... i wrócił do domu jako jej narzeczony... a we dwa tygodnie panna Hieronima wyzdrowiała.

— Ah! — westchnęła ciężko panna Zofia—to więc ofiara była z jego strony, to go zupełnie tłómaczy... Ale ona, jak mogła przyjąć taką ofiarę?... A jeśli ją przyjęła, sądząc, że jest umierającą, to czemuż mu teraz słowa nie zwróci, wiedząc, że on jej nie kocha?...

— Ona tego nie wie. On jej tego nie powiedział, kiedy mu się sama pierwsza oświadczyła. Tłómaczy się, że to byłoby zbyt niegrzecznie, prawie impertynencyą na gorące oświadczenie miłosne: „kocham cię", odpowiedzieć pannie: „a ja ciebie nie". Sądził, że ta gwałtowna miłość jest zwykłym prze-

przemijającym kaprysem romansowej panny i że jej wkrótce z głowy uleci. Powiedział jej więc wtedy na pociechę, że ją także kocha oddawna, ale że należy ugiąć się wobec dzielących ich przesądów, wyperswadować sobie i rozejść się na zawsze.

— To źle!... Ale czemu dzisiaj nie powie jej prawdy? Czyż i dla niej nie lepiej, aby się teraz dowiedziała, że jej nigdy nie kochał, niż kiedyś dopiero, gdy już będzie za późno.

— On się czuje związany danem słowem. Pochlebia mu to zresztą, że się stał przedmiotem już nie miłości, ale jakiegoś bałwochwalczego ubóstwienia, że za nim szaleje rozmarzona dziewczyna, córka jednej z najznakomitszych rodzin w kraju, milionerka, o której względy dobijali się synowie najarystokratyczniejszych domów. „Gdybym zerwał—powiada mi—onaby umarła. Umarłaby z pewnością! Taka wątła, chorowita, drażliwa, nerwowa! Chłodniejszy wyraz twarzy, słówko obojętne z mej strony przyprawiają ją o płacz, o spazmy, o rzeczywistą, a nie udaną chorobę. Zerwać? nigdy! czyż nie byłoby nikczemnym egoizmem, okrucieństwem nawet? Czyż mogę zerwać, choćby jej nawet, jak mama twierdzi, w samej rzeczy nie kochał?... Ale nie, ja mamie zaręczam, że ja ją *bardzo lubię* i *prawdziwie nawet kocham*... Czyż to nie dosyć? Jak jej nie kochać, kiedy ona mnie tak kocha?“

— On ma słuszność, droga pani, on ma słuszność! — odezwała się Zosia i ukryła twarz w obie dłonie.

— Tak... tak!—powtórzyła zwolna staruszka — on ma słuszność!... ale powiedz mi Zosiu, powiedz sama: czy on może być z nią szczęśliwy?

Milczeniem odpowiadała Zosia, tłumiąc w sobie płacz. A w ociemniałych oczach staruszki błysnęły dwa światełka, dwie duże łzy.

Poczciwa dziewczyna chciała pocieszyć strapioną matkę i na ustach miała już banalny zwykły

frezes o szczęściu, jakie daje poświęcenie. Ale zamilkła.

We drzwiach pokoju stanęła Kachna.

VII.

W progu już zaczęła wrzeszczeć lamentującym głosem: Jejmość! jejmość! — i z lamentem tym wpadła spłakana, zadyszana na środek izby.

— Co się stało? — zapytała staruszka i Zosia równocześnie, Zosia z wyrazem przerażenia, staruszka dość spokojnie. Snadź przywykła była do nieuzasadnionych alarmów swej służącej.

— Ach, jejmość! nieszczęście!... Józek... ten z pod młyna... pojechał z Wojciechową dzisiaj rano do kościoła z maleństwem, co mu się wczoraj urodziło... ażeby proboszcz... jak się przynależy ludzkiemu dziecku... ochrzcił, bo Wojciechowa ma dużego już chłopca, co się i sam odkarmia mlekiem i kaszą... A taki się mróz wszczął i zadymka... a Maryna to taka była chora, jak Józek jej dziecko brał, to i rzekła: ja się was niedoczekam!... A i zgadła... ba, nieprawda, nie zgadła, bo jużci się doczekała jak wrócili... wrócili proszę jejmości i tego pijanicę zabrali na drodze, bo byłby zmarzł na wieki, amen... a dziecko zamarzło i umarło jak wracali z kościoła... nieboractwo, prosto do nieba pójdzie... *ino* go się doczekała i powiada: „Józek! jesteś? ja umieram! a ochrzczone? Ochrzczone! powiedział. A *Maryna* jej? *Maryna*, odpowiedział... a nieprawda, bo jej dał ksiądz *Hanka*, ale że ona chciała, żeby jej było Maryna, to powiedział *Maryna*, aby jej markotno nie było... bo widział, że już, już *ino* trochę a skończy... a Bartoszowa nad nią z gromnicą stoi... to jej powiedział, że Maryna... A jakże, ona teraz będzie dziecko wołać na tamtym świecie, to ona go nie znajdzie! Ale tak jej powiedział. A ona na to woła: daj mi ją, daj, niech ją *ino* jeszcze obaczę i pocałuję!... A Wojciechowa na to: Pocobyście dziecko

całowali, kiedy macie umierać!—Ach, niechże pocałuję!—Dalibyście pokój!—i nie chciała jej dać. Aniołowie święci będą myśleć, że je chcecie zabrać ze sobą. Ale Maryna koniecznie: Dajcie i dajcie, niech się ino popatrzę. Dajcie prędko, bo już umieram. A jak się ino popatrzyła i obaczyła, że już umarło, jak nie wrzaśnie... słyszy jejmość? to wrzasła, jak nieboskie stworzenie... ale tak wrzasła, że aż ludziom mróz po kościach poszedł... i wrzasła, i ręce przed siebie wyciągnęła, gromnicę Bartoszowej z ręki wytrąciła i już nic... ani tchu... Jezu! Jezu! straszne takie konanie. Matko Najświętsza ratuj!... Jezu! Jezu! takem się spłakała!... Tak to dziewce za mąż iść... a każdaby chciała... Oj, co prawda, to prawda! straszne sądy boskie!... *Rychtyk!* byłabym na śmierć zapomniała: słyszy jejmość? ten pijanica to przez cały ten czas leżał na sankach przed chałupą, bo ludzie o nim zapomnieli... dopiero się teraz Wawrzek nad nim zmiłował i przywiózł go tu, tośmy go do stajni zanieśli, a nie rusza się, ino czasem mruczy jak niedźwiedź, a pijany jak *sztok*... a dobrze, że torby nie zgubił i listy są... zaraz jejmości przyniosę, inom zapomniała z wielkiego płaczu w kuchni.

I wyszła.

Nie wiedziała snadź dobrze, gdzie się jej listy zapodziały, bo sporą chwilę dała czekać na siebie. Ochłonęły tymczasem obie panie z doznanych wrażeń jej opowieści.

— Jakież to okropne zdarzenie! — zawołała Zosia. — Jakież to straszne tragedye dzieją się w tych chatach.

— Wszędzie się dzieją tragedye, moje dziecko; ta tylko różnica, że my w nieszczęściu mamy pociechy im niedostępne.

— Tak pani, ale nas zato tyle rzeczy boleśnie dotyka, których oni czuć nie są zdolni.

— Zapewne. Ale ileż natomiast drobnych przykrości znosimy ze śmiechem, które dla nich, jak dla dzieci, prawdziwem są nieszczęściem.

— Dziwna to rzecz przecie, kochana pani, że nic tak nie koi własnych naszych smutków, jak odczuwanie cudzego nieszczęścia.

— Zosiu droga! to tylko ci, co kochać umieją, doznają tej pociechy w smutku, że cudza boleść łagodzi ich własną, a cudze szczęście ich uszczęśliwia. Ach, ta Kachna, ta Kachna! ona gotowa jeszcze zgubić list mego syna!

— Pani się spodziewa listu od pana Władysława!

— Nie miałam go od jego wyjazdu. Pisuje do mnie tak rzadko! Ale on wie, że nie mogę często posyłać na pocztę... a choć mi list przyniosą, to czasem i przez dwa tygodnie niema tu nikogo, aby mi odczytał. Będziesz dziś moją lektorką, Zosiu?

— O, z największą ochotą!...

Przyniosła Kachna dwa listy, podała je do rąk swej pani.

Pochwyciła je staruszka skwapliwie, macierzyńską radością przyoblekły się szlachetne jej rysy. Zważyła je oba staruszka na dłoni, każdy z osobna, drżącemi rękoma obracała je w koło: mierzyć się zdawała ich kształt i wielkość. Przesuwała palcami po adresie, jakby czując chropowatość, poznawała litery i charakter pisma.

— Ten gruby—rzekła, jakby sama do siebie — to nie od niego. On tak krótko pisuje... Czworograniasta koperta... nie, to nie od Władzia... *Ten* od niego, ten podłużny!... Ale czemu lakiem zapieczętowany? On zawsze listy zakleja... Pismo na adresie jakby piaskiem było posypane, chropowate... Czy to piasek się przesypuje?... Tak, to piasek!... on nieużywa piasku... Co to jest?... To może nie od niego? Ale nie, to przecież od niego! od niego! od niego!... Ta sama wielkość... a marka pocztowa przylepiona po lewej stronie... to on! z pewnością on!

I bawiła się listem jak dziecko, trzymające w ręku kasową asygnatę, której nie zna jeszcze wartości. Nie puszczała go z rąk, nie oddawała Zosi

do czytania, jakby nie chciała rozłączyć się z tym skarbem dla niej tylko przeznaczonym, jakby dotykanie się go nierównie milszem jej było od dowiedzenia się jego treści.

— No, czytaj zaraz Zosiu!—i podała list wspaniałomyślnie z takim wyrazem twarzy, z jakim bogacz zaprasza biednych ludzi, aby zasiedli do jego sutej biesiady.

— Pani — rzekła Zosia — świecy niema. Już ciemno.

— Ciemno?—zapytała ze zdziwieniem ślepa.— Mnie się zdawało, że słońce świeci... Powiedz-że Kachnie, aby ci dała świecy... Ach, czy się tylko znajdzie świeca u mnie... bo widzisz, moja droga, ja... nie potrzebuję.

Na szczęście, znalazła się świeca u Kachny.

Zosia postawiła ją na stoliku i z pośpiechem rozłamała pieczątkę listu.

— „Kochana Siostro", to nie od pana Władysława!... Może ten drugi?...

Staruszka rozczarowana podała jej drugi list.

— O, *ten* od pana Władysława! — zawołało poczciwe dziewczę rozerwawszy kopertę. — Cztery całe ćwiartki!

— Cztery całe ćwiartki — powtórzyła matka z radością.

— Drobno zapisane! — dodała Zosia uszczęśliwiona szczęściem staruszki.

— Nigdy mi jeszcze tak długiego listu nie napisał!

— „Najukochańsza, najdroższa Mamo!..."

— Nie... nie! czytaj pierwej list od mojej siostry... list od syna na końcu; już po nim nie chcę nic słyszeć. Ten-by mi potem zepsuł wrażenie Władziowego listu, zatrułby mi radość. Skoro wiem, że Władzio piszę, tom już spokojna o niego. Czytaj list mojej siostry, Zosiu.

VIII.

— „Kochana Siostro! Piszę do Ciebie, aby Ci..." ach, jakież nieczytelne pismo!... „aby Ci powinszować, że Twój syn taki świetny los robi, żeniąc się z hrabianką, która ma taki milionowy majątek. Ludzie o tem dawno gadali, ale ja temu wierzyć nie chciałam, żeby on miał taki praktyczny rozum i potrafił hrabiance głowę zawrócić swoją osobą. Nie gniewaj się, ale ja zawsze myślałam, że on taki sam będzie, jak jego ojciec i jeszcze tę Paprotkę straci, co ojciec jego nie stracił, bo go zabili w pojedynku..."

— Proszę pani, może nie czytać dalej tego listu?

— Czytaj Zosiu, czytaj do końca. To rzecz zwykła.

— „Ale przypomniał sobie przecie, że ma ciotkę i choć pół roku u nas nie był, choć na tej samej ulicy mieszka, to teraz był i powiedział, że to wszystko prawda i że ślub będzie w styczniu przyszłego roku, jak Pan Bóg da doczekać. Winszuję Ci, moja kochana Siostro. Ja się nie dziwię, że on u nas nie bywał, bo co jemu ze mnie, kiedy takie wielkie miał projekta. To i jednemu na tysiące się nie uda, chociaż dziś hrabianki dużo łatwiejsze jak wprzódy. Moi synowie takiego szczęścia nie zrobią, choć mąż mój przy magistracie i ma swoje wpływy. Nie chcieli się uczyć, to i cóż robić? nie mogą zrobić karyery. Władzio w Ciebie się wdał, a oni we mnie—to i Ty poszłaś za obywatela, a ja za urzędnika, to i z nimi tak samo. Władzio z hrabianką się żeni, a mój... mój..." — nie mogę przeczytać...

— Felunio zapewne?

— Nie.

— Tybuś?

— A tak, Tybuś!... „a mój Tybuś zakochał się w ekonomównie i awantury wyrabia. Kamilcię wy-

daliśmy za pocztmistrza, to przynajmniej tyle nam się poszczęściło, ale co do Stefci i Berci, to ich nikt nie chce, choć niemało-śmy już na traktamenta wydali i dużo nas to kosztowało. Felunio ustatkował się i może świetny los jeszcze zrobić, bo bardzo ładny chłopiec, ale do hrabskich domów nie będzie się wciskał, gdzie go nie proszą. Gdyby Władzio miał dobre serce i chciał dla nich być bratem, jak powinien, toby i moi synowie los zrobili, ale jemu to nie w głowie, on tylko o sobie myśli. Może to i dobrze tak, takie czasy postępowe i ja się jemu nie dziwię. Jakie odebrał wychowanie, to taki jest"...

— Ach, to niegodziwe! — zawołała Zosia, przerywając czytanie listu. Po chwili czytała dalej:

...„ale jaki tego będzie koniec, tego człowiek nie zgadnie. Nie jednemu się wiodło, wiodło, a potem się urwało. Dlatego nie trzeba nigdy ubogiemi krewnemi pogardzać. Prawda, kochana Siostro? Mogłabyś też to jako matka Władziowi Twemu powiedzieć. Choć się z hrabianką ożeni, to przecież sam jeszcze przez to hrabią nie zostanie. Powinien o tem pamiętać. Ale ja się na niego nie żalę. Bardzo grzeczny, kiedy przecież choć raz na pół roku do nas przyszedł, aby nam powiedzieć, że się żeni, a potem i drugi raz jeszcze był dowiedzieć się, jak się mam, kiedy mu Felunio powiedział po jego powrocie z Paprotki, że było u mnie konsylium, bo już miałam umierać. To już drugie w tym roku konsylium dla mnie, a to ogromnie kosztuje, a ta kuracya to tyle pieniędzy zabiera, że nie wiedzieć zkąd wziąć, choć poczciwy Bonuś robi, co może. A wszystko o te nogi i nic nie pomaga, a puchlina coraz więcej idzie w górę. Ale żeby tylko wiosny dał Pan Bóg doczekać — tobym pojechała do kąpieli, to wszystko będzie dobrze, a może i dla Stefci znalazłby się tam konkurent, bo tutaj go nie ma. Tylko, że na to wszystko pieniędzy potrzeba, a poczciwych ludzi, choćby między najbliższymi nawet kre-

wnymi, to mało na świecie. Felunio także potrzebuje, żeby się pokazać w świecie, bo inaczej losu nie zrobi, a zkąd wziąć? Prosiłam, prawdziwie z upokorzeniem własnem, Twego Władzia o 200 guldenów, ale on mi odmówił i powiedział, że nie ma. I Felunio poczciwy go także prosił i także mu nie dał i powiedział, że niema. A przecież to nie może być, bo to przecież jasne jak na dłoni, że to nie bez tego, aby jemu już i teraz co nie dawali, bo by się przecie stara hrabina wstydziła za przyszłego zięcia, gdyby nie występował w świecie jak na hrabskiego zięcia przystoi. Nie chciał i koniec. Proszę Cię zatem kochana Siostro, kiedy Ci los tak poszczęścił, to nie obrażaj Pana Boga, bo szczęście się może odwrócić, i pomóż mi przecie, bo wiem, że i o parę tysięcy nie byłoby wam teraz trudno. Ja wiem, że Ty dobra siostra, a jak się Felunio ożeni, to *jak dzieci moje kocham* (podkreślone) „zaraz Ci oddam z posagu jego żony, nawet z procentem, jaki będziesz chciała. A jakby się nie ożenił, to przecież stać nas jeszcze z czego oddać, a mąż mój ma oprócz swojej pensyi różne dochody. Tylko powiedz kochanemu Władziowi, którego jak ciotka prawdziwie kocham, żeby starszych słuchał i tak się nie puszył i swoją dumą ludzi nie obrażał po mieście, bo Felunio powiada, że straszne rzeczy o nim opowiadają, a kiedy komu na myśl przyjdzie, to *gotowi jeszcze jaką anonimę na niego napisać do hrabiny i będzie po wszystkiemu*“... (te słowa podkreślone!) „Proszę Cię raz jeszcze, kochana Siostro, o te nędzne 200 guldenów, które mi Twój syn odmówił, choć widział, jakie mam nogi opuchłe i że potrzebuję na kuracyę. Ściskam Cię i całuję, moja najukochańsza Siostro z całego serca mojego. Bądź zdrowa i odpowiedz mi prędko, o co Cię proszę. Każ komu napisać, abym wiedziała, czego się mam trzymać. Niech Cię Bóg ma w swojej opiece. Twoja kochająca Cię Siostra *Malwina*“... Ach daruj droga pani, ale gdybym listu tego z rąk pani nie otrzy-

mała, to nigdybym nie uwierzyła, że to siostra pani tak pisze, tak myśli, tak czuje!...

— Rodzice nas odumarli za młodu — odparła staruszka — każda z nas wychowała się gdzieindziej, cóż dziwnego, żeśmy niepodobne do siebie... Ale nie mówmy o tem raczej! Co pisze mój syn? Czytaj Zosiu, czytaj!

IX.

— „Najukochańsza, najdroższa Mamo! Poprawię się droga Mateczko i będę odtąd pisywał częściej i dłużej!... Temi słowy Cię pożegnałem, moja najdroższa, a data niniejszego listu mego niech Ci świadczy o szczerej chęci poprawy“...

— Jaka data listu?

— Ach, prawda! nieprzeczytałam daty u góry: 26-go listopada... „Przedwczoraj rano Cię pożegnałem, dziś po południu znużony nieprzespaną w szybkowozie nocą, stanąłem dopiero na miejscu i już piszę. Nie dziw się droga mateczko, że pisując do Ciebie tak rzadko, tak krótkie pisywałem listy, tak *oschłe*, jak się wyraziłaś. Trudno to, pisując raz na miesiąc, w jednym liście streścić to wszystko, co się w ciągu kilku tygodni robiło, myślało, czuło. A choćby się nawet udało zapamiętać i streścić, to każde streszczenie z natury rzeczy musi być oschłe — jak spis rozdziałów jakiej, choćby krwią serdeczną pisanej książki.— Powiedziałaś mi, że list syna do matki powinien być zwierciadłem jego duszy. Cóż, kiedy dusza ludzka to nie posąg z marmuru, ani idea wieczyście z sobą identyczna! Dusza — to rzecz żywa, a życia istotą ruch ciągły i ciągła zmiana. Niech fotograf zdejmie wizerunek tej samej okolicy w różnych porach dnia i roku, to i poznać będzie trudno, że to jeden i ten sam krajobraz. Niech się list stanie zwierciadłem na ową godzinę pisania, to nie poda wizerunku piszącego, ale tylko jednej życia jego godziny. — Wiem ja o tem z doświadczenia

i dlatego mi to tak trudno, pisując rzadko do Ciebie Mateczko, wynurzyć się z mojemi myślami, uczuciami, wywnętrzyć się przed Tobą z wszelkich tajników duszy, rozserdecznić się i rozpisać. Postanowiłem tedy pisać do Ciebie codzień kilka wierszy, a gdy się zbierze listu takiego parę ćwiartek —odesłać. List taki, w którym z całem synowskiem wylaniem chcę Ci się wiernie codzień ze wszystkiego wyspowiadać, powie Ci więcej o mnie, niżbym ja sam ustnie powiedzieć Ci zdołał. Wiele rzeczy łatwiej napisać niż powiedzieć".

„Wierz mi, Mateczko: powiedziałaś mi, że o Tobie zapominam, a ja teraz stokroć częściej i stokroć goręcej czuję potrzebę wyspowiadania się przed Tobą ze wszystkich myśli moich, zwierzenia się Tobie ze wszystkich mych smutków i żalów i pociech... Czemu tak? spytasz. Oto dlatego, że tak dziwna padła mi dola, iż prócz Ciebie, czuję to, nie będę miał się już w życiu przed nikim spowiadać, ani ulgi szukać w niczyjem sercu nie będzie mi już wolno".

„Powiedziałaś mi, Matko, żem ja od lat dziecięcych zawsze przed Tobą nieszczery, że staram się zawsze zataić wszystko to, coby Cię mogło udręczyć. Powiedziałaś mi, że więcej Cię to dręczy domyślać się, przeczuwać — niż wiedzieć, choćby rzecz najsmutniejszą. Prawda, żem niegdyś taił niejedno przed Tobą, aby Cię nie zmartwić, ale wierz mi, żem nigdy nie dopuścił się kłamstwa. A dziś, dziś ja umiem Cię pojąć już całą—dziś objąć już zdołam całą wielkość Twej duszy. Tyś jedyna na świecie może kobieta, przed którą synowi wszystko wyznać się godzi, ja nietylko kocham Cię szalenie, ale ja Cię ubóstwiam. Będę zupełnie szczery przed Tobą".

„Jeden mógłbym mieć tylko powód wstrzymujący mnie od szczerości w mych listach—a tym jest wątpliwość, kto Ci listy moje czytać będzie. Gdybym był pewny, że będzie to zwykła Twoja lektorka, szanowna pani Seweryna, to możebym je tak

pisał prawie, jakbyś Ty je sama jedna tylko czytać miała, ale wiem, że pani Seweryna bardzo rzadko Cię teraz odwiedza, objąwszy Suchoręb we własną administracyą. Pani Seweryna umiałaby dochować tajemnicy, gdyby się kiedy jaka w moim liście znalazła — a nie lękałbym się odsłonić przed nią moich słabych stron, bo wszak mnie ona zna od dziecka. Nieradbym jednak, aby moje listy czytały panie z Podsośnia, a tem mniej p. Marceli. Panu Adamowi także ich nie dawaj, Mateczko, ani panu Maryanowi, ani nikomu z całego tego gniazda".

— Proszę pani — przerwała Zosia czytanie listu—może mi dalej czytać nie wolno? O mnie nie ma wzmianki.

— Moja Zosiu — rzekła staruszka po krótkim namyśle. — Władzio pozwala, aby je czytała twoja matka. A ty taka sama, jak ona. Ja tobie równie ufam. Czytaj, dziecko drogie! On o tobie dlatego tylko nie wspominał, że Ty zawsze z matką przyjeżdżasz i nigdyś dotąd moją lektorką nie była. Wszak ty nikomu nie powiesz, co z tobą mówiłam o zamierzonem ożenieniu mego syna, ani tego, coby on sam pisał?

— O, zaręczam ci pani, nikomu!... — zawołało wzruszone dziewczę.

I czytała:

„Co do niniejszej mojej posyłki, jestem o jej los zupełnie spokojny. Wstąpiłem do poczciwego naszego doktora i uprosiłam go, aby Cię odwiedził około 12-go grudnia i jadąc do Paprotki, zabrał mój list. Obiecał mi to święcie, a co on przyrzeknie, to pewniejsze od pitagorasowej tabliczki. Jako czytelnikowi niniejszego mojego listu, składam mu tu raz jeszcze serdeczne podziękowanie za tę przysługę oddaną mnie i Tobie, jednę z tysiąca, jakie w ciągu swego życia nam oddał, a których mu nigdy niczem wywdzięczyć nie zdołamy. Przed nim, jak mój ojciec tak i ja, żadnych nie mam tajemnic".

„Rozpisałem się szeroko, a nic Ci nie doniosłem. Północ już dochodzi, oczy mi się kleją. Powiem Ci więc dziś krótko to, co chciałem szczegółowo opowiedzieć. Przyjechałem tu o czwartej. Przebrawszy się — pierwszą osobą, którą spotkałem na ulicy, był Felunio, nieznośny Felunio. Obcałował mnie i obślinił i jak zwykle, miał do mnie *wielką prośbę*. Mateczka wie, co u niego znaczy *wielka prośba*. Oczywiście nie dałem nic. Mam i tak u niego do 40 guldenów, ciężką pracą zarobionych. Próżniaczysko! stara się teraz o bogatą kotlarzównę, ale ona go nie chce. Usłyszawszy odemnie *verba veritatis*, powiedział mi, przypomniawszy sobie przy pożegnaniu, najprzód, że panna Idalia zaangażowana do Warszawy, a potem jeszcze sobie przypomniał, że jego matka była przed dwoma dniami umierającą i zwołano do niej konsylium. Po dokonanej operacyi ma się ciotka znacznie lepiej. Poszedłem natychmiast do niej, bo nie chcę na nową burę od mateczki zasłużyć. Siedziała w fotelu i robiła pończochę, jak zwykle, a usta jej się nie zamykały. Skargi i narzekania na wszystkich żywych i umarłych sypały się jak z rogu obfitości, a mnie się dostało docinków najcięższego wagomiaru ze dwadzieścia. Nikogo nie oszczędzała, dostało się nawet mężowi, czyli, jak go nazywa, Bonusiowi. Felunio wyszedł jeszcze najlepiej z tego gradobicia. Nie uwierzyłaby Mama, jaka ciotka teraz zła; kto jej nie widział od czasu jej choroby, wyobrazić sobie tego nie potrafi. Dawniej przecież taką nie była. Doktorowie powiadają, że to zły bardzo symptom choroby i zły wróżą koniec. W tej chwili niebezpieczeństwo zdaje się być uchylone, ale za parę tygodni może znowu powrócić, a wtedy prawdopodobnie nie byłoby już ratunku.—Zabawiłem u ciotki dłużej nad zamiar: kuzynka Bercia popisywała się aryą z *Pięknej Heleny: w lasku Ida trzy boginie*, Stefcia zaś wymagała odemnie z trudną do opisania natarczywością, abym jej opowiadał wszystkie szcze-

góry mojego, jak się wyraziła, *romansu*. Obie coraz brzydsze, ale Stefcia ma nieco naturalnej gracyi, ale kiedy chce o czemś powiedzieć, że to niedorzeczność, czyni to za pomocą pewnego charakterystycznego gestu, który mi przypomina śliczną naszą sąsiadkę, pannę Zofię".

Zaplonila się Zosia, zaskoczona tak niespodzianą o niej wzmianką. Mimowolny przestanek w jej płynnem czytaniu zabawił staruszkę.

— Widzisz, Zosiu — i o tobie mowa!

Ale jej ścisnęło się serce żalem. Czytała dalej:

„Wuja Bonusia z początku nie było w domu w czasie moich odwiedzin. Przyszedł dopiero później. Przyszedł z jakiejś piwiarni, co czuć było aż nadto po rozlegającej się piwiarnianej woni, a po kilku słowach przywitania wziął się do obcinania paznogci. Używał do tej operacyi jakichś szczypczyków, zamykających się ze szczególniejszym zgrzytem, a po każdem zgrzytnięciu takiem odskakiwał w górę okrawek pazura i uderzał to w lampę, to w twarze przytomnych osób. Zaledwie skończył tę robotę, zabrał się do drugiej, do dłubania piórkiem w zębach. Skrobał po nich tak głośno, że aż mrowie mnie przechodziło, choć nie należę do nerwowych ludzi. Muszę Mamie przypomnieć dla uzupełnienia obrazu, że zęby ma prawdziwie przedpotopowej wielkości i posiada jakiś muskuł, którego zapewne braknie innym ludziom, a za pomocą którego potrafi tak ściągnąć górną wargę w górę, że jej prawie nie widać... Pamięta Mama tę oryginalną jego postać?... Do rozmowy się nie mieszał, czasem tylko przerywał swoje zajęcie jakim wykrzyknikiem nieartykułowanym, albo wtrąceniem niedorzecznem swego przysłowia: *kulą w płot*! Ach, co to za nieznośny człowiek"!

„Wyrwawszy się nareszcie ztamtąd, spieszyłem do mojej narzeczonej, choć przyznam się Mateczce szczerze, strasznie mi się już nie chciało. Czułem,

że wypada pójść w dzień mego powrotu ze wsi — i zrezygnowany byłem pójść. Na moje szczęście, czy nieszczęście—spotykam... nie zgadłaby Mama kogo... oto, mego najlepszego i najserdeczniejszego przyjaciela, Jasia! Po pięciu latach niebytności wyrwał się od swych zajęć w Warszawie i przyjechał do nas na dni kilka. Pojmuje Mama, żem już do Sarskich nie poszedł i cały wieczór spędziłem z Jasiem. Przecież przyjazd tak dawno niewidzianego przyjaciela, którego jak brata kocham, może mnie rozgrzeszyć. Z nim tak rzadko widywać się mogę, a z nią będę całe życie razem, zawsze razem aż do znudzenia. Rozpytywał mnie z serdecznem zajęciem o Mamę, o nasz dom, o wszystko. Gdym mu powiedział, że się żenię, rzucił mi się z radością na szyję i zawołał: A, to się cieszę! Spodziewałem się tego! — Spodziewałeś się?—zapytałem zdziwiony. — Blondyneczka jak łania, o jasno-niebieskich oczach, nieprawdaż?—Nie,— rzekłem:—smagła bruneta... i opowiedziałem mu dzieje moich zaręczyn. Nie bardzo mu się to wszystko podobało i rzekł w końcu: Jabym był wolał...—i urwał.—Cobyś był wolał? — Nie chciał mi powiedzieć. Może i jabym był wolał?... ale nie ma o tem co mówić. Już po północy. Dobranoc".

III.

„*27-go listopada.* Ach Mateczko! Jakaż ta gawiedź miejska obrzydliwie jest mi wstrętna, ten tak zwany *świat!* Ileż tu fałszu i obłudy. Nigdy wprzódy mi się to nie dało tak uczuć, jak teraz. Jak mi ci ludzie winszują nieszczerze, jak mi szczerze zazdroszczą! Jak mi pochlebiają, jak mi się łaszą, jak czapkują, wiedząc, że mam zostać wielkim panem! Byłażby to wściekła radość między tymi mymi nowymi *wielbicielami* i *przyjaciołmi* (sami się tak nazywają), gdyby dla jakiego nadzwyczajnego powodu małżeństwo nie przyszło do skutku! Ach, jakżeby się oni

cieszyli, jakby się śmiali! Na szczęście, nie przyjdzie do tego i przyjść nie może.

„Byłem tedy dziś u mojej narzeczonej... Niechże Mateczka sobie tego na złe nie tłómaczy, jeżeli wczoraj napisałem, że mi się tam iść nie chciało. To nie dlatego, abym ja Hieronimki nie lubił, owszem, wierz mi, Mateczko, że mam prawdziwą dla niej sympatyę, a wobec tylu dowodów namiętnego jej do mnie przywiązania, musiałbym być chyba drewnianym manekinem albo marcepanowym juraszkiem, abym jej tego uczucia choć w części nie odwzajemniał. Nawet w takim razie, gdyby była brzydką jak noc, musiałaby się w mem sercu obudzić dla niej jakaś niezwykła wdzięczność, czy przyjaźń, czy litość... ja sam nie wiem, jak nazwać ten szczególniejszy rodzaj współczucia. Ona mnie tak kocha! Ona żyje mną i mną samym tylko: o mnie marzy, we mnie widzi wcielenie swego ideału, we mnie szczęście swoje całe. Gdyby mnie nie było, onaby żyć nie mogła. Powiedziała mi to nieraz, i jestem przekonany, że mówiła prawdę. Nie, Mateczko, takby mnie pokochać nie mógł na świecie nikt, jak ona. Popsuty jestem tą jej miłością tak nadmierną, nieludzką, chorobliwą może i obłąkaną... ale zawsze miłością taką, jakiej nikt dla mnie uczuć by nie zdołał. Miło to być czyjemś bóstwem, czyjemś zdrowiem i życiem i szczęściem. Ta jej miłość stała się już potrzebą mej duszy; czułbym się nieszczęśliwym, gdyby mi jej zabrakło... Widzi Mama, jak ja się do niej przywiązałem! A Mama mówi, że ja jej nie kocham. Zaręczam Mamie, że to nie paradoks: czułbym nieprzezwyciężony *pociąg* do niej, choćbym miał *wstręt* niezwalczony. Kochałbym ją, powtarzam to, choćby brzydką była jak noc, brzydką ciałem i duszą i szacunku mego niegodną, złą i głupią — byle mnie tak kochała, jak mnie kocha... A taką przecież nie jest! Jest-to dziewczę jednostronnego wprawdzie, ale wysokiego zawsze wykształcenia; dobra i łagodna jak anioł, szacunek mam

dla niej wysoki, a brzydką jak noc nie jest. Nie powie nikt wprawdzie, aby była piękną, tem mniej urodziwą; nie posiada ani klasycznych rysów, ani tego uroku młodości, którego w jej wieku często i najbrzydszej dziewczynie nie braknie. Ładną nikt jej nie nazwie, chyba pochlebca, brzydką nazwie ją chyba ten, w kim serce śpi snem twardym, kto o piękności sądzi wedle matematycznych wymiarów rysunku, albo wedle odcieni karnacyi, jednem słowem: pedant-estetyk. Jest w niej coś, co trudno słowem określić, a co człowiekowi wyższego umysłu nie dozwoli jej nazwać brzydką. Powie Mama, że się nie potrzebuję wysilać na określenie tego tajemnego uroku, bo nie może być nim nic innego, tylko piętno szlachetności w jej całej postaci, w jej rysach, w wyrazie twarzy przynajmniej. Otóż, nikt szlachetności jej serca, wyższego polotu jej myśli nie odczyta z jej twarzy, kto jej nie zna bliżej. Na pozór niby ona taka, jak tysiące innych. A jednak jest coś w niej, co nie dozwala od niej oka oderwać, choćby się w gronie najpiękniejszych dziewcząt znalazła. Jest coś w wyrazie jej twarzy tajemniczego, zagadkowego, sfinksowego, coś mistycznego — co, jak zaklęcie magnetyzera, wzrok nasz trzyma na uwięzi. Tak, ale magnetyzer zwycięża nas, przyciąga ku sobie ofiary swe, budząc w nich niewytłómaczoną sympatyę, której nie są w stanie się oprzeć, ona zaś sympatyi takiej nie budzi ani postacią swą, ani swym głosem; owszem, są tacy, którzy mówią: ach, jakaż ona niemiła! jaki ma głos nieprzyjemny!... Może i jabym czasem to powiedział. Ona nie przyciąga ku sobie — w jej całej postaci nic nie ma, coby przyciągało — ale ona... *czaruje*, prawdziwie, że czaruje! Gdybym był przesądnym, uwierzyłbym w czary. Piękności w niej nie ma, ani uroku — ale jest *czar* jakiś. Nie spieszno mi do niej, gdy jej nie widzę—nie tęsknię za nią, powiem szczerze: rad nawet jestem, gdy jestem od niej zdala, ale gdy jestem przy niej, czuję się pod władzą jakiegoś

zaklęcia, jakiejś potęgi, z którą daremniebym chciał walczyć. W stalaktytowej jakiej grocie lub w głębiach kopalni oświecić ją ogniem bengalskim, a górnicy padną przed nią na kolana, jak przed królową podziemnych światów. Jakaś nie ziemska, ale pozaświatowa owiewa ją atmosfera; jakaś promienieje z jej wątłej postaci siła nieprzezwyciężona, która nie nęci, nie wabi, nie pociąga ku sobie, ale w całem znaczeniu tego słowa: *czaruje*. Czaru tego doznaję w coraz wyższym stopniu. Czy to miłość? ja nie wiem. Może to i miłość. Ale jeżeli to miłość— to dziwnie mi z nią. Raz w życiu się kochałem — było mi wtedy całkiem inaczej: było mi wtedy tak, jak śpiewają poeci, jak czują wszyscy zakochani przyjaciele moi... Mnie teraz całkiem inaczej. Tak mi jest, jakbym był chory na serce, poezyi we mnie nie ma, prozą oddycha każda moja myśl, niezdolny jestem cieszyć się, ani smucić, fantazya usnęła, zmysły nie grają, zimny jestem jak lód, sam sobie z własnego stanu zdać nie umiem sprawy: radbym Hieronimę pokochać tak, jak się zwykle kocha — albo ją znienawidzieć... a nie mogę ani jednego, ani drugiego; chciałbym być obojętnym — a i tego nie mogę. Dziwnie mi, bardzo dziwnie, ale to minąć musi. To jakieś przeobrażenie duszy, z którego odrodzona wskrześnie do nowego życia. Hieronimę postanowiłem pokochać sercem całem — i pokochać ją muszę. Ona warta tego".

. . . . . .

— Czemuż nie czytasz, Zosiu? — zapytała staruszka po dłuższej pauzie.

— Pozwól mi pani odpocząć chwilkę — odrzekła Zosia przez łzy.

Obie zamilkły. Cisza była, słychać było tylko wicher szalejący na dworze i gwizdanie przeciągów w kominie i nad powałą.

Niepodsycany przygasał na kominku ogień.

Wreszcie odezwała się matka:

— Nie, on nie jest szczęśliwy!...

— Nie — powtórzyła Zosia, a głos jej drżał od wzruszenia.

. . . . . .

„*28-go listopada.* Rozpisawszy się wczoraj o sobie, zapomniałem Mamie donieść, że Hieronimkę zastałem cierpiącą; przez czas kilkodniowego mego pobytu w Paprotce znowu była chorą, powiada, że jest zawsze chorą, jak mnie nie widzi. Trudno to przecież, abym wisiał przy niej, jak obraz na ścianie! Ile razy przy niej jestem, patrzy ona w samej rzeczy na mnie jak na obraz, jak święta Teresa na obraz Zbawiciela. Oka ze mnie nie spuszcza, jakby była w ekstazie, a gdy ja wdam się w rozmowę z jej matką i przez chwil kilka nie spojrzę na nią, z bolesną skargą przywoływa mnie do porządku takim żałosnym tonem, jakbym jej największą wyrządził krzywdę. Tak przecież zawsze nie może być! Umarłbym pod wpływem takiego magnetyzmu. Nie uwierzy Mama, jak mnie to męczy. Moja Święta Teresa powiada mi, że rozkosz zbawionych w Królestwie Niebieskiem na tem ma polegać, że będą Bogu twarz w twarz patrzeć przez wieczność całą— i że ona podobną żyje rozkoszą tu na ziemi, gdy jestem przy niej, a chciałaby, aby to wieki trwało. Miałem ochotę jej powiedzieć, że ja nie życzyłbym sobie tego, alem zamilkł: byłoby to jej zanadto bolesne. Dziś ją trzeba oszczędzać; ona taka chora, taka nerwowa, taka mizerna! Kaszel jej bardzo mi się nie podoba, a wzmógł się znacznie od czasu mego wyjazdu. Kiedyś, jak przyjdzie do sił i zdrowia, będzie ją można z tej nadmiernej egzaltacyi wyleczyć, bo mnie to formalnie zamęcza. Takie mam uczucie pod wpływem tych jej czarnych oczu wpatrzonych we mnie, jakby mi duszę wzrokiem wypijała. Nie zrozumie Mama tego wyrażenia, które się Mamie ekscentrycznem wyda, bo nigdy Mama czegoś podobnego w życiu nie doznała. Przesie-

dziawszy z nią cały wieczór, wychodzę z jakimś szczególnym zawrotem głowy, odurzony jakby po zażyciu haszyszu, tylko, że upojenie nie jest bynajmniej tak rozkosznem, jakiego mają doznawać Arabi; chorym się czuję i roznerwowanym, jak nigdy nie bywałem w życiu. Któryś z poetów niemieckich, nie pomnę który, pisze o kochanku, który zrządzeniem niebios miał od urodzenia wyciśnięty na siatkówce oka wizerunek swojej kochanki i gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział mglisty jej obraz. Otóż ja teraz czegoś podobnego doznaję. Gdziekolwiek spojrzę i na jakikolwiek przedmiot, wszędzie widzę wpatrzone we mnie jej źrenice. Widzę je w ciemnym pokoju, nawet gdy zamknę powieki; idąc ulicą widzę je w powietrzu zawieszone przedemną w tej odległości, z jakiej ona zwykle na mnie patrzy. Czytałem dziś jakąś kartkę pogrzebową, przylepioną na rogu kamienicy: z kartki tej patrzyły na mnie oczy Hieronimki. Pisząc list ten, drgnie mi czasem ręka, gdy zamyśliwszy się o czem, nagle się ocknę, ujrzawszy je pod ostrzem pióra na białej ćwiartce papieru. Śmiać się muszę z mojej chorobliwie podrażnionej wyobraźni; wczoraj jedząc obiad, obaczyłem je w filiżance bulionu, w naleśnikach z powidłami. Tak dłużej nie może być. Zwaryowałbym, śmiejąc się sam z siebie. Jeżeli nie potrafię okiełznać rozbujanych nerwów, powiem jej wprost, że mnie zabija tem magnetyzowaniem.

„Jaś, skutkiem otrzymanego listu z Warszawy, musi przyspieszyć swój wyjazd. Tak mało korzystać mogłem z jego bytności.“

. . . . . .

29-go listopada. Moje panie zastałem dziś smutne i spłakane, Hieronima miała spazmy. Zostały one ogromnie zaalarmowane listem, który otrzymała pani Sarska od syna z Paryża. Była to odpowiedź na jej list, w którym mu doniosła o naszych

zaręczynach. List swój wyprawiła do Nicei, gdzie p. Lucyan miał bawić przez zimę, ale go tam nie zastał. Gonił tedy za nim ów list po całych Włoszech i po Szwajcaryi, aż nareszcie z Vevey odesłano mu go do Paryża. Panicz raczył oświadczyć swej matce wysokie swoje niezadowolenie. Listu jego nie chciano mi pokazać, ale domyślam się jego treści i tonu z przytoczonych mi, najmniej niby rażących ustępów. Daje on w liście tym swej matce słowo honoru, że póki on żyje, jego siostra nie zrobi mezaliansu. Głupiec! Komu to sądzić o wartości ludzi i o mezaliansie, czy takiemu jak on młokosowi, który od lat dwóch wydostawszy się z pod kierunku guwernera, pędzi życie na próżniaczej włóczędze zagranicą? Mezalians! To jeszcze wielkie pytanie, kto się z nas dwóch mezaliansu dopuszcza. Ja na ołtarzu domowym składam skarby, których i za miliony nikt nie nabędzie, zdrów jestem i silny, a czuję w sobie dość zdolności i woli, aby pójść z losem w zapasy i wywalczyć sobie stanowisko zaszczytne, byt dostatni i zdobyć poważanie świata, którego p. Lucyan, mimo dziewięciopałkowej korony, nigdy mieć nie będzie. A ona? Mnie nie potrzeba jej tytułu i jej milionowego majątku. Jabym wolał, aby mi przyniosła w posagu zdrowy umysł, zdrowe ciało i koligacyę z serdeczną jaką rodziną i nadzieję zdrowego potomstwa. Cóż ona mi z tego wszystkiego przynosi? Nic zgoła!... Nie zazdrościłem nigdy skarłowaciałym potomkom wielkich rodów. Zazdrości godnym wydał mi się raczej zawsze *protoplasta* nowego rodu, pełnego młodzieńczej siły i zasobów do walki. Marząc o ożenieniu od lat najmłodszych, jam marzył zawsze o poczciwem dziewczęciu—ot, takiem jak....“

I zabrakło czytelniczce głosu. Żywym rumieńcem spłonęły jej lica.

— Jak kto?

Zabrało się dziewczę na odwagę i czytało dalej:

....„Jak Zosia... zdrowem jak jabłuszko, świeżem jak kwiat, któreby mi dało synów, dzielnych duchem i ciałem. Jakąż biedna Hieronima obdarzyć mnie może dziatwą? Trumienki widzę przed sobą w marzeniu, gdy o tem pomyślę, i cherlaków podtrzymywanych sztuką lekarską przy życiu, którymby lepiej było nie rodzić się wcale. Mrowie mnie przechodzi i pragnąłbym, abyśmy wcale nie mieli dzieci, poco nam te obawy i pogrzeby i rozpacze?“....

Nowa przerwa.

W tej ciszy wieczornej nadsłuchiwała staruszka. U ślepych dusza cała w słuchu. Pochwycą oni tak drobne szmery i dźwięki, odróżnią tak nieznaczne głosu modulacye, że cudowną prawie się wydaje przenikliwość ich w tej mierze.

— Ty płaczesz, Zosiu!—rzekła wzruszona.

— Nie, pani! — i usuwając się do kolan staruszki, ucałowała jej rękę.

Pogłaskała ją ślepa po twarzy, łzy czuła na dłoni.

— Płaczesz!—i rozczulona, obiema rękami objęła jej główkę, przycisnęła do serca, okryła pocałunkami jej czoło, jej twarz i oczy, wilgotne od łez.

Z rozkoszą utulonego przez matkę dziecięcia dała się Zosia całować i pieścić. Napróżno starała się łzy powstrzymać, płynęły one ciągle nieprzerwaną strugą.

Dreszcz ją jakiś rozkoszny przebiegał od całusów tej ślepej staruszki. Drżała w jej ramionach, jakby w objęciu ukochanego. Serce biło głośnem tętnem, rumieniła się naprzemian i bladła. Pocałunek matki tak na nią działał, jakby pocałunek syna.

Silniej przycisnęła drżącą staruszka do łona i rzekła smutnie:

— Zosiu... ty go kochasz!

Głośne szlochanie dziewczyny było jej odpowiedzią.

— Biedne dziecko!

A szlochając, leżała w jej ramionach dziewczyna. Nieme łzy matki padały dużemi kroplami na jej głowę.

Ani słowa pociechy, ani słowa skargi.

Na co tu słów?

Wypłakała się dziewczyna, ukoiła ból w sercu, raz jeszcze ucałowała *jego* matkę, jakby matkę rodzoną i powstając, rzekła smutnie, ale spokojnie:

— Będę czytała dalej.

Westchnęła staruszka.

— Czytaj, dziecko moje!

— „Samotność we dwoje, zapełniona ciągłem staraniem o jej wątłe zdrowie, spędzona w chorobliwej jakiejś miłosnej ekstazie, somnambuliczna jakaś wędrówka po drodze żywota... jednostajna, smutna, nudna, jak podróż po Saharze... a przytem dostatki, bogactwo, znaczenie—oto co mnie czeka. Hieronima sypia do południa—ranki będzie można spędzić na pracy, a majątkiem podpierać w kraju wszystko, co zacne: tyle dla mnie szczęścia i przyszłości.

„Nie mam innych marzeń. Zerwałem z niemi i pogodziłem się z moim losem. Silny jestem i przygotowany na wszystko, co mnie czeka. Nie bój się, Mateczko, o mnie".

„*30-go listopada.* Panie moje dziś spokojniejsze. Wyperswadowałem im, że ten fajerwerk słów w liście p. Lucyana jest tylko młodzieniaszkowatym fajerwerkiem i nic więcej. Odważniej oczekują zapowiedzianego jego w tych dniach przyjazdu. Powiem mu słowa prawdy i sądzę, że zdołam go przywieść do opamiętania. Niepodobna przecież, aby mu zdrowie siostry całkiem obojętne być miało. A gdyby to wszystko nie pomogło, powiem mu poprostu: bądź pan zdrów, ja pana znać nie chcę i nie potrzebuję—Hieronima dom przed nim zamknie, przy-

rzekła mi to. Odwiedzę także wszystkich krewnych Hieroni, aby wpłynęli ze swej strony na skapryszonego panicza. Byłem już u kilku i znalazłem wszędzie przyjęcie znacznie lepsze, niż się spodziewałem, znając ten świat salonowy. Niektórzy stanęli ze mną odrazu na stopie prawie tak przyjaznej, jakbym już był członkiem rodziny. Najserdeczniej przyjął mnie poczciwy p. Eugeniusz. U jednego tylko p. Jerzego szczególniejsze mnie spotkało zdarzenie. Jak Mateczce wiadomo, dawałem tam niegdyś lekcye literatury pannie Jadwidze; otóż będąc obecnie u p. Jerzego, zapytałem: kto ją teraz uczy. Nie mamy nikogo, odrzekł p. Jerzy, czy nie mógłbyś nam pan kogo polecić? — Siebie! — odpowiedziałem, jeżeliście państwo byli z mych wykładów zadowoleni.—O tem pan nie możesz wątpić, córka nasza skorzystała nadzwyczaj wiele i nie może odżałować swego nauczyciela — ale teraz nie śmielibyśmy pana trudzić. — Milej-by mi było dawać lekcye w domu państwa, niż gdzieindziej, a szukam właśnie lekcyj.—Państwo Jerzowie spojrzeli na mnie i na siebie z nieudanem zadziwieniem. Pan Jerzy się roześmiał. Pan żartujesz? — Bynajmniej! — Przecież pan lekcyj teraz dawać nie potrzebujesz! — zawołał. — Żeniąc się z naszą kuzynką! — dodała pani Jerzowa. — Z czegożbym żył? — odpowiedziałem. — Pan Jerzy zrozumiał to jako delikatną z mej strony przymówkę o pożyczenie pieniędzy. Oczywiście nie przyjąłem propozycyi. Będę miał więc lekcye w ich domu — mam prócz tego jeszcze w dwóch innych domach — a to mi na teraz wystarczy... Ach, prawda! zapomniałem jeszcze o jednym szczególe charakterystycznym. Porozumiawszy się ze mną co do godzin, w których mam przychodzić, dodała pani Jerzowa: Ale pozwolisz pan, że my sami wyznaczymy honoraryum dla tak znakomitego profesora. — Nie potrzebuję Mamę zapewniać, że oświadczyłem na to, iż większej zapłaty od tej, którą brałem, nie przyjmę".

. . . . . .

„*1-go grudnia.* Niemiły miałem dziś dzień. Byłem w południe u Hieruni, zastałem ją kaszlącą więcej, niż zwykle, roznerwowaną przytem w wysokim stopniu i tak osłabioną, że leżąc na sofie, zaledwie mogła obrócić głowę ku mnie. Okna były nawpół przysłonięte, bo ją światło razi. A gorąco w pokoju piekielne, jak w łaźni parowej. Patrzyła mi w oczy jak zwykle, ale powieki jej się zamykały co chwila i wśród rozmowy — a raczej słuchając mnie z natężoną uwagą, zadrzemała. Wynieśliśmy się z jej matką na palcach do drugiego pokoju. Przyszedł właśnie lekarz. Zapytałem go o Hierunię. Uspokoił mnie, że stan jej nie jest jeszcze niebezpiecznym, ale dodał, że stałby nim się mógł nadzwyczaj łatwo. Każde większe wzruszenie mogłoby groźne sprowadzić następstwa. Zimę tę, wedle jego zdania, należałoby przepędzić we Włoszech, w obecnym jednak stanie jej zdrowia nie ma mowy, aby przed wiosną mogła wyjść z pokoju, a tembardziej, aby można ją narazić na trudy tak dalekiej podróży. Ślub nasz zatem odbędzie się w mieszkaniu. Hierunia wie już o tem i ciągle o tem marzy, jak salon przystroić na tę uroczystość. Pragnie, aby było tak świetnie, tak bogato, jakby ona królewną była, a ja, co najmniej, szachem perskim. Biedne dziewczę! jak mi jej żal! Pytałem doktora, czy to dobrze, że w jej pokoju tak gorąco. Zalecił to jak najmocniej. Natomiast zganił, że story pospuszczane. Jej potrzeba jaknajwięcej światła, jak najwięcej powietrza. Powiedziałem to Hieruni, gdy się przebudziła; w tym na wpół ciemnym pokoju nie spostrzegłem zrazu, wróciwszy do niej, że płacze; płakała, bo otworzywszy oczy, nie ujrzała mnie siedzącego przy sobie na tem miejscu, gdzie siedziałem przy jej zaśnięciu. Dłuższego czasu trzeba było, zanim się nieco uspokoiła po tak strasznem zmartwieniu.— Mnie razi to szkaradne słońce! — rzekła mi tym swoim żałosnym, złamanym, omdlewającym tonem głosu, który nigdy innej nie przybiera modulacyi

jakby wieczysta skarga brzmiała w jej ustach. — Szkaradne słońce!—powtórzyła kilkakrotnie.—Jabym chciała, żeby było zawsze ciemno, całkiem ciemno na świecie i żebym tylko ciebie widziała.—Martwisz mnie, droga moja, rzekłem jej. Czy sądzisz, że będę się czuł szczęśliwym, jak będę cię widział chorą? Tobie do zdrowia potrzeba słońca i powietrza. — Nie, nie, nie chcę słońca. Nie potrzeba mi powietrza; kiedyś ty przy mnie, to mi tak lekko oddychać, ja *tobą* oddycham. Tyś mojem słońcem, mojem powietrzem, mojem życiem!... Cóż jej na to odpowiedzieć? Siedziałem przy niej i patrzyłem na nią, trzymając ją za rękę. Rączkę ma ładną, malutką, ale tak chudą, jak ręka szkieletu. Ręka ciągle spocona, a wargi spalone od gorączki. To nie dobrze. — Mówiłem do niej zrazu o tem i o owem, opowiadałem, co mi przyszło na myśl, starałem się ją rozweselić. Ale jej nigdy rozweselić nie można; rzadko kiedy zdarzyło mi się ją widzieć uśmiechniętą, śmiechu jej nie słyszałem nigdy, chyba w napadzie spazmów śmiech z płaczem zmieszany. Dziwna istota, jakby nie z tego świata! — Spostrzegłem, że ją rozmowa męczy. Umilkłem zatem i siedzieliśmy tak, niemi, naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy może z godzinę. Ach, jak mnie to męczy! a stokroć bardziej jeszcze w tem tropikalnem gorącu! Prawdziwe tortury, siedzieć w na wpół ciemnym pokoju, nic nie robić, nic nie mówić, patrzeć w oczy i — pocić się jakby w piecu piekarskim. Nigdyby Mama nie zgadła, o czem wtedy myślałem. Starałem się odbiedz myślą daleko, daleko, bo gdy zwracam uwagę na te jej czarne źrenice wpatrzone we mnie, to mi się w głowie kręci. Nie wiem czemu, przypomniałem sobie dziecięce i studenckie moje lata, wakacye spędzane w Paprotce i dni najweselsze, gdyśmy pojechali do Suchorębu. Prawem jakiejś wyobraźniowej antytezy, żywo stanęły mi w pamięci te jasne jak gwiazdeczki oczęta panny Zofii, to szczęście, które

w nich promieniało. Ach, Mateczko, to były najlepsze dni mego życia"...

— Zosiu! Zosiu!... i wyciągnęła staruszka ramiona ku swej lektorce, czując w rzewnym jej głosie ból, który jej serce rozrywał.

Ale Zosia serce przycisnęła ręką, aby milczało i urywanym głosem czytała dalej. W oczach jej ćmiły się litery, łzy rzęsistym deszczem padały na papier.

...to były najlepsze dni mego życia, ich wspomnienie więcej dla mnie warte od całej mojej przyszłości. W chłopięcej naiwności ja wtedy myślałem... ale pocóż to dziś powtarzać! Zapomniałem wtedy, że Zosia bogata, a mnie się o jej rękę ubiegać nie wolno... Chciałem pracą wytrwałą dobić się stanowiska... ale to tak trudno! to tak wiele lat na to potrzeba... a rok za rokiem ulatał. I przyszedł rok bieżący i przyniósł mi los, którego mi świat zazdrości, przyniósł mi szczęście — czarne szczęście... w czarnych oczach Hieruni... Głos jej drżący, niemiły, ocucił mnie z marzenia. — Czy ty wierzysz temu, mój drogi, że jabym bez ciebie umarła?... — Wierzę! — odrzekłem. —Oh, jabym nietylko umarła... i urwała myśl zaczętą. Po dłuższem milczeniu dodała: nietylko umarłabym dla ziemi... ale i dusza moja bez twej miłości zagasłaby na wieki, rozwiałaby się jak mgła... w nicość... w nicość... Jak mnie ona kocha, nieszczęśliwa"!...

„*2-go grudnia*. Rozpisałem się wczoraj o Zosi. O Mateczko, niech ona nigdy się o tem nie dowie, żem ja ją tak kochał... ale pocóż mam kłamać? pocóż mówię, *żem kochał*, kiedy kocham szalenie... pierwszą i ostatnią miłością. Nigdy tego tak silnie nie czułem, nie pojmowałem tak jasno, jak przy Hieruni. Ilem razy przy niej, to na myśl ciągle przychodzi mi Zosia"!...

— O pani, pani!... jaka ja nieszczęśliwa!

— Dziecko moje! — i przycisnęła ją do serca staruszka, ocierając łzy z jej oczu.

Przycisnęła Zosia do swych ust różanych ten list, te wyrazy beznadziejnej miłości, i czytała dalej:

„...Z myślą o niej usnąłem. Śniła mi się. Widziałem ją we śnie — ale jak? Widziałem ją leżącą na katafalku... Sen mara... To nie sen, to prawda, ona dla mnie umarła“...

„Rano odbyłem moje lekcye a dzień cały, prawie aż do północy, spędziłem przy Hieruni. Odsłonięto dziś story, znacznie jej lepiej, ale znowu zmieniła się na niekorzyść. W półcieniu i przy świetle wieczornem wydaje się najlepiej. Ona ma słuszność, że słońca nie lubi. Przypatrywałem się dziś jej fotografii, robionej przed trzema miesiącami. Jakaż to różnica olbrzymia! Na fotografii każdy wygląda starszym, a ona na tej fotografii o lat kilka młodszą się wydaje. Wówczas była prawie przystojną w porównaniu z tem, co dzisiaj. Okrutnie jestem znużony, niepodobna mi dziś z Tobą dłużej rozmawiać, Mateczko moja“.

. . . . . .

„*3-go grudnia*. Pani Sarska wypytywała mnie dziś szczegółowo o moją rodzinę. Z treści jej pytań domyślać się muszę jakichś plotek — prawdopodobnie o ciotce Malwinie, jej mężu i dzieciach. Oświadczyłem jej wyraźnie, że cała rodzina moja, to ty, Mateczko, którą Hierunia winna czcić i kochać jak matkę swą własną. A co do ciotki, powiedziałem, że bynajmniej nie uważam za obowiązek mej przyszłej żony uważanie jej za krewną, a tem mniej jej dzieci, z któremi stosunki moje są bardzo oziębłe.—Hierunia wybiera się pisać do Ciebie z prośbą o błogosławieństwo, ale jej to z wielką przychodzi trudnością. W tych dniach uczynić tego nie będzie mogła. Jest jeszcze zanadto osłabioną. Ale powinna to była już dawniej uczynić. Kilka razy zadała mi pytanie, na co się zda, aby pisała do Ciebie.

skoro Ty listu jej sama czytać nie będziesz. — Napisz ty za mnie, powtarzała, ty lepiej napiszesz. — Nie mogę, moja droga, odrzekłem, trzeba, aby to były twoje własne wyrazy, twoje własne myśli i uczucia. — Drogi mój! ja nie mam żadnych myśli prócz ciebie! całe moje uczucie, to tylko ty.—A więc Hieruniu, napisz *to* właśnie matce mojej. Nic milszego powiedzieć jej nie zdołasz. — Och, jak ty ciężkiej odemnie wymagasz rzeczy!... I zalała się łzami. Niech jej Mama tego nie ma za złe: ona chora.—Widzi Mama, jak ja jestem szczery, wszystko piszę".

„*4-go grudnia.* Hieronima zasiadła dziś do swej fisharmoniki i zaczęła grać. Zdaje mi się, żem Mameczce mówił, że gra bardzo biegle i z wielkiem czuciem na tym instrumencie. Po kilku akordach słabo jej się jednak zrobiło i zemdlała. Przyszedłszy do siebie, zaczęła spazmować. Spazmy ustały, teraz niesłychanie osłabiona i kaszle znowu gwałtowniej. Siedziałem tam do późna. Już koło 1-ej w nocy. Kończę, bo rano mi wstać wypada, aby się do jutrzejszych wykładów przygotować".

„*5-go grudnia.* Panie moje dowiedziały się, nie wiem już od kogo, że ja daję lekcye w mieście, tak jak dawniej. Pani Sarska była tem niesłychanie zgorszoną i oburzoną, że narzeczony jej córki *zarobkuje*. Hierunia płakała z innego powodu, nie dla dumy obrażonej, ale czuła się najboleśniej tem dotkniętą, że nie zażądałem od niej pieniędzy potrzebnych mi na utrzymanie, lecz własną zarabiam je pracą. Poczytała to za dowód, żem się nie zespolił z nią jeszcze takiem uczuciem, aby wszystko, co posiada, uważać za wspólne — a raczej ją samą z całym jej majątkiem za moją własność, którą do woli rozporządzać mogę. Musiałem wielką przetrwać nawałnicę łez i próśb i wyrzutów i zaklęć. Obie chciały mi opakować pugilares banknotami. Oczywiście nic nie przyjąłem. Hieruni udało mi się w końcu wytłómaczyć, że *świętość* miłości naszej, że

godność moja osobista wymaga, abym aż do naszego ślubu nie tknął jej majątku. Powiedziałem jej, żebym się czuł nieszczęśliwym, gdyby mnie do tego zmusiła, że wtedy nie byłbym w stanie tak ją kochać, jak ją kocham teraz. I uległa. Z hrabiną trudniejsza była przeprawa. Opór mój nazywa uporem i zdaje jej się, że wyrządzam tem *zarobkowaniem* krzywdę jej domowi i nazwisku. Wszak niktby o tem nie potrzebował wiedzieć, rzekła w końcu, żeś pan wziął odemnie pieniądze, które za dni niewiele staną się twoją własnością. — Ja sam wiedziałbym o tem, odparłem, a to dosyć. Upokorzałoby mnie to, a ja upokorzenia nie znoszę. Masz pani swoją dumę, ja mam swoją.— Och, czyż ja nie ugięłam dumy mojej wobec pana, zawołała, błagając go, abyś moją córkę poślubił! Ileż ja upokorzenia już znoszę"!...

„*6-go grudnia*. Przekonałem się, Mameczko, że oprócz powodów wczoraj wymienionych, Hierunia dla innej jeszcze przyczyny tak boleje nad tem, że nie przestałem dawać lekcyi. Zazdrość! Nigdy nie przypuszczałem, żeby ona była zazdrosną. Przez jakąż szczegółową dziś przechodziłem indagacyę!... Cóżby to się działo z biedaczką, gdyby czytała ustęp w liście moim do Mameczki, gdzie się rozpisałem o pannie Zofii. Nie wie ona, o kogo mogłaby być zazdrosną. Pragnęłaby zażegnać niebezpieczeństwa, jakieby mogły grozić jej miłości... napróżno się szamoce. Jam je sam już zażegnał, i sam sobie ślubował, że się jej oddam na ofiarę. Będę sobie wiernym. Miłości jej nic nie grozi. Może być spokojną. Nikt jej puharu z rąk nie wytrąci: wypije z niego duszę moją i moje życie do ostatniej kropli aż do dna"...

. . . . . .

„*8-go grudnia*. Nie pisałem wczoraj do Mateczki. Zanadto byłem zirytowany tem, co się działo,

a właściwie tem, iż widząc, że się coś niezwykłego dzieje, nie wiedziałem, co się dzieje. Oto tak: wczoraj w południe poszedłem jak zwykle do Hieruni. Lokaj zatrzymał mnie w przedpokoju i oświadczył, że pani hrabina prosi, abym nie szedł do panny hrabianki, tylko do małego saloniku po drugiej stronie, bo chce ze mną wprzód pomówić. Za chwilę przyszła hrabina, widocznie wielce zalterowana, i powiedziała mi, że Hierunia od rana ma prawie nieustanne spazmy, a obecnie usnęła. Dodała, że doktór surowo nakazał, aby z nią teraz nie rozmawiać i aby jej nie rozbudzać z tego stanu moralnej prostracyi, w jakim się w tej chwili znajduje. Obecność moja mogłaby szkodliwie bardzo na nią podziałać. Prosi mnie zatem, abym przyszedł dopiero wieczorem—i to aż po ósmej. Zachowanie się pani Sarskiej było przytem niby to przyjazne jak zwykle, ale zaambarasowania swego ukryć nie mogła. Czułem, że coś zaszło niezwykłego".

„Przyszedłem po ósmej. Hierunia przyjęła mnie tak gorącem powitaniem, z tak serdecznem rozrzewnieniem ukojonej mojem przybyciem tęsknoty, jak może nigdy jeszcze. Aż jej pięknie z tem było, tyle było prawdy w tem wylaniu wezbranego uczucia. Niesłychanie była mizerną, widocznie spłakaną. Ręce jej nie drżały, ale drgały od czasu do czasu tajemnem wstrząśnieniem. Z początku mówiliśmy bardzo mało, patrząc tylko na siebie jak zwykle i ściskając się za ręce. Potem uspokoiła się nieco i zażądała wody z sokiem malinowym. Gdy jej przyniesiono ten specyał ulubiony, uparła się, abyśmy oboje z jednej pili szklanki. Orzeźwił ją ten napój, jakby kordyał jaki, uśmiechała się melancholijnie i stała się rozmowniejszą. Ten głos jej złamany, jakby omdlewający, ta monotonna, przeciągła modulacya żałosnej skargi nabierała chwilami niezwykłej jakiejś siły, wyrazu i uczucia. Ta jej postać nieświecka, w półcieniu przyćmionej umbrelką lampy, nabierała dziwnego jakiegoś czaru poezyi

i piękna. Mówiła bardzo pomału, jakby ją to wiele kosztowało wysilenia. W długich przerwach padały wyrazy.—Czy myślisz, mój jedyny—rzekła mi, że ja pragnę życia?... Życia? o nie!... Ja tylko miłości twej pragnę! — A więc żyj, najdroższa, i kochaj mnie. — Cóż życie warte? żyć, to tyle co cierpieć. Życie, to męka nieznośna... Drogi mój, jabym cię mogła kochać — umarła. O jakżebym ja cię wtedy kochała!... Tak krótko codzień jesteśmy razem. Wtedy byłabym z tobą zawsze. Na ramieniu nosiłbyś mnie, jak ptaszynę. A ciągłebym w twe oczy patrzyła tak — jak w tej chwili... Och, gdybym ja umarła! gdybym ja umrzeć mogła!... Jakżebym była szczęśliwą!—Nie mów tego, Hieruniu—rzekłem:—czyż teraz szczęśliwą nie jesteś? chciałabyś mnie opuścić?—O, tybyś był wtedy szczęśliwym, gdybyś mnie umarłą kochał... Niktby ci wtedy nie pozazdrościł szczęścia!... Och, ty nie wiesz, jam się wplotła w jasną przędzę twego życia, jak czarna nić... o jakżebym pragnęła umrzeć! — Hieruniu, zkądże ci dziś te myśli o śmierci? tobie się życie uśmiecha! — O nie, nie, luby mój! ja oddawna już o niczem nie marzę, tylko o śmierci. Jam ci tego mówić nie chciała, aby cię nie zasmucić. Ale dziś, dziś, to tak jej pragnę namiętnie... namiętnie... jak ciebie mój luby, jak twojego kochania. Ja was oboje kocham jednako! o tak!... namiętnem pragnieniem twoją zdobyłam miłość... ja i śmierć tak zdobędę"!

„Dziwnie przykre na mnie wywarł wrażenie ten chorobliwy nastrój jej myśli. Nadaremne były wszelkie moje usiłowania, aby zmienić przedmiot rozmowy. Pochwyciła mnie żywiej za ręce: — Ale ty mnie będziesz kochał wiecznie, żywą i umarłą? Przysięgnij mi, przysięgnij, że do grobu kochać będziesz mnie jednę... i po za grób!—Moja droga, kto kocha, ten wierzy; gdzie miłość nie wiąże, tamby nie związała przysięga. Podniosła moją rękę do swych ust i namiętnemi okryła ją pocałunkami. — Wiesz, luby—rzekła mi po chwili tych szczególnych

pieszczot, którym się oprzeć nie mogłem—wiesz luby, jabym tak mogła umrzeć lekko, rozkosznie... tak niewiele potrzeba, abym umarła... abym umarła i zamieszkała w twem sercu na zawsze! Kiedy mówię do ciebie, to dusza moja wyrywa się z serca i jest wtedy, wiesz gdzie?... Przerwała i lekkim rumieńcem powlokły się jej lica: — wiesz gdzie?... tu, na ustach moich!... Weź ją! weź! — i kładąc mi głowę na piersi, przechyliła ku mnie swe usta. Gorący jej oddech owionął mnie, krew mi uderzyła do głowy, niby odurzenie, niby dreszcz, dziwnego coś uczułem: spojrzałem na nią i pocałowałem ją w czoło".

„Usta! — powtarzała, usta! — Nie, moja droga, rzekłem podnosząc jej głowę i klęknąwszy przed nią, całowałem jej ręce: nie, nie wolno mi dotknąć ust twoich dzisiaj! rozgorączkowaną chorobliwie masz wyobraźnię. Ja pragnę, aby mój pierwszy pocałunek życie wlał w ciebie, a ty go pragniesz jak pocałunku śmierci. Bądź zdrowa. Czarujesz mnie, szał mnie ogarnia, jak cię słyszę tak mówiącą, i w końcu sambym gotów śmierci zapragnąć".

„Tak się skończył dzień wczorajszy. Dzisiaj znowu powtórzyło się coś podobnego. Gdy przyszedłem w południe, nie puszczono mnie do Hieruni z takich samych niby jak wczoraj powodów. Wyszła do mnie hrabina, drżąca od wzruszenia, którego przyczyny nie chciała mi odsłonić. Natomiast, po dłuższych preliminaryach, że jako kobieta nie może sobie dać rady w interesach majątkowych itp., wystąpiła z prośbą, abym dla załatwienia jakichś nadzwyczaj ważnych a naglących spraw wyjechał dziś wieczorem do jej dóbr na Ukrainę, do nikogo bowiem nie ma zaufania, tylko do mnie, i nikomu innemu powierzyć ich nie może, tylko swemu przyszłemu zięciowi. Zadziwiło mnie trochę to żądanie, wiedząc, jak szkodliwie na zdrowie Hieronimy wpływa moja nieobecność, o czem mi zresztą sama hrabina tyle razy mówiła. Wszak gdym na dwa dni do Ciebie, Mateczko, wyjeżdżał, miała mi to za złe.

Wypytałem ją jednak o te tak ważne i niecierpiące zwłoki interesy. Odpowiedź jej była tak ogólnikową, interes, o ile mi w jaśniejszej przedstawiał się formie, tak mi się wydał błahym, że uważałem za rzecz najodpowiedniejszą powiedzieć jej, iż jako kobieta nie jest obeznana z tego rodzaju sprawami, alarmuje się więc niepotrzebnie i myli się, poczytując przedstawiony mi interes za rzecz naglącą. Odmówiłem stanowczo podjąć się teraz załatwienia tegoż. Zdrowie Hieruni wymaga—dodałem w końcu, abym tu pozostał, a to dla mnie wzgląd najważniejszy. Próbowała nalegać, przekonała się jednak z widocznem zmartwieniem, że to nadaremne.

„Wieczorem widziałem Hierunię. Znowu zapłakana, roznerwowana, cierpiąca. Kaszel jej wzmógł się bardzo od dwóch dni. Nie chciała mi wyznać powodów swego zmartwienia, łzy nieustannie spływały jej po twarzy. Milczała prawie przez cały wieczór. Powiedziała mi tylko z wyrzutem: Nie chciałeś spełnić maminej prośby! źle zrobiłeś! Mnie smutno bez ciebie, jakby mi kto pół serca zabrał, ale byłabym spokojniejszą ..—Czemuż cię niepokoi *moja obecność*?—zapytałem! Nie próbowała wmawiać we mnie, że ją owe kłopotliwe interesy niepokoją. Spojrzała tylko zwykłem powłóczystem spojrzeniem i rzekła:—Ja sama nie wiem czemu. Radabym, abyś tu teraz nie był i zjawił się dopiero w dzień naszego ślubu... Jedź, mój drogi, jedź do matki twojej!... Czemu? jak? dlaczego? nie mogłem się dowiedzieć... Dowiedziałem się dopiero i wyjaśniło mi się wszystko, gdym ją pożegnał“.

„Wracając do swego mieszkania, spotkałem na ulicy poczciwego p. Eugeniusza, prawdziwą perłę całej rodziny Sarskich.—Czy widziałeś Lucyana? zapytał.—Nie; czy przyjechał?—Od dwóch dni. Ale to czysty waryat!—zawołał.—Nic nie wiesz?... Chyba nie byłeś u narzeczonej?—Owszem, ztamtąd wracam.—Aaaa, *serdeńko*, to ci nie powiedziały, że on przyjechał!... Ale nie obawiaj się, kochany. Wszystko

się to ułoży. Ten waryat utrzymuje, że ci dom wymówiono, że wszystko zerwane... Nie mogę ci na ulicy wszystkiego opowiedzieć, serdeńko. Przyjdź do mnie jutro wieczór; wiesz, jutro przyjmuję. Oczywiście, będą sami mężczyźni, jak zwykle."

. . . . . .

„*11-go grudnia.* Trzy dni nie pisałem do Mateczki. Powiedziała mi raz Mama, że listy moje powinny być wiernem źwierciadłem mojej duszy. Od tego czasu, ile razy się zabieram pisać do Mamy i ujrzę przed sobą białą ćwiartkę papieru, wyobrażam sobie, że to źwierciadło, w którem się twarz moja źwierciedli i fotografuje zarazem. Otóż przez te trzy dni ubiegłe bałem się pisać do mateczki, wstyd mi było fotografować się w tem usposobieniu, w jakiem byłem... *w tych usposobieniach*, powinienem raczej powiedzieć. Nie chciałem, aby z wyrazów listu mego przeglądały naprzemian wszystkie miny i grymasy gniewu, znudzenia, znużenia, złości, oburzenia, zniechęcenia, wściekłości... a najniewątpliwiej wszystkieby się tam były znalazły. Dziś, gdy już burza minęła, a dramat przygotowany przez p. Lucyana zakończył się komedyą, przystępuję do sprawozdania. Jak po zwycięzkiej kampanii, humor miałbym wyborny, psuje mi go tylko stan zdrowia Hieruni, która znowu ma się gorzej: kaszle, na chustce nawet krew się pokazała, a wieczorami miewa silną gorączkę, w której fantazyuje nieustannie i mówi prawie od rzeczy. Lekarze nie widzą w tem jednak jeszcze zbyt groźnych symptomatów.

„Ale wracam do sprawozdania. Otóż nazajutrz po ostatnim ustępie mego lisu, rano, raniutko, zanim wyszedłem na lekcye z domu, puka ktoś do drzwi i wchodzi żyd faktor, znana w naszem mieście figura, z którą jednak żadnych dotąd nie miałem stosunków,—A! pan Herszko! z czem pan do mnie przychodzi? A Herszko zaczyna, jak każdy

faktor, ni w pięć ni w dziewięć, od Adama i Ewy, że znał mego ojca, że mnie bardzo szanuje, że wie, jaki ja uczony człowiek, ts! ts! że drugiego takiego niema w całem mieście i w całej Galicyi, że jabym mógł zostać ministrem, że się dziwi, czemu ja się o poselstwo nie ubiegam...—Ale czegoż pan chcesz, panie Herszko? A on znowu pyta, czy mama zdrowa i czy jest na wsi, czy się mama bardzo ucieszyła, jak się dowiedziała, że ja się mam żenić z taką bogatą panną, bo on się tem bardzo ucieszył i bardzoby chciał, żebym ja się na prawdę ożenił.—Ale do krocset, panie Herszko, ja nie mam czasu: albo pan powiedz, co pana do mnie sprowadza, albo się wynoś!—Nu, ja zaraz powiem: ja chciał dobry interes proponować.—Aa, dziękuję; zapewne chcesz mi pan ułatwić pożyczkę? bardzo dziękuję i wielce mi żal, ale na teraz nie potrzebuję.—Nu, ja wiem, że pan nie potrzebuje, na coby potrzebował taki bogaty pan, co się ma z panną Sarską żenić; ja przyszedłem proponować panu inny interes: czysty zarobek *pięćdziesiąt tysięcy*.—Cóż to za interes? zapytałem śmiejąc się – ja się nie wdaję w spekulacye.—Nu, to nie żadna *spekulacya!* — A cóż takiego? To już chyba nie czysta jakaś sprawa, kiedy taki zysk ma przynieść. Strzeż się pan proponować mi jakąś brudną szacherkę; mógłbyś ze schodów zlecieć. — Na co ja mam zlecić? to czysta sprawa, tu nie ma nic brudnego! Podpisze pan rewers, że pan się zgadza, żeby wziąć pięćdziesiąt *tysięcy* za dwa lata i pojedzie pan i weźmie pan, a przez ten czas będzie pan brać po tysiąc guldenów na miesiąc, a resztę za dwa lata.—Nic nie rozumiem, panie Herszko!—Nu, naco pan ma rozumieć! Niech pan pójdzie do adwokata i niech pan podpisze... nu, a mnie faktornego ile pan da? choć z pięć tysięcy za taki *fajny* interes! —Ale dokądże ja mam pojechać po te pieniądze?— Do Chicago, do Ameryki! — Jakto, do Chicago? za dwa lata?—*Ni!* teraz zaraz! i tam pan *będzie zostać*. Tysiąc guldenów na miesiąc będzie pan brać pen-

syi... ale w Chicago!—Cóż to, nie wiesz, głupcze, że ja się mam żenić?—*Ny*, to się pan potem ożeni!—Chwyciłem Żyda za gardło: Gadaj łotrze, kto cię tu przysłał!—Ny, czego mnie pan dusi!... nu, jeden pan.—Co za pan?—*Aj waj!* czego się pan gniewa? czy to zły interes?—Kto cię przysłał, Żydzie? — Nu, *sześćdziesiąt* tysięcy!—Gadaj, zaraz!—*Gewałt*! niech mnie pan nie dusi! jeden pan, nu! pan Sarski!—Który Sarski?—Nu, co ja winien, że mnie pan tak trzęsie: pan Lucyan!... Otworzyłem drzwi, a pochwyciwszy Żyda za kołnierz, wyprosiłem go grzecznie z pokoju... Ale zaledwie drzwi zatrzasnąłem, głowa Herszka pokazała się w nich znowu: *Ośmdziesiąt* tysięcy!—Byłem wściekły: chwyciłem laskę do ręki i wybiegłem do sieni. Żyd zmykał szybko po schodach, ale w połowie piętra zatrzymał się jeszcze raz i zawołał rozpaczliwym głosem: *Sto* tysięcy! więcej nie mogę! *auf meine munes*! jak Boga kocham! niech pan bierze!... Tak się skończył, Mateczko, pierwszy akt komedyi.

„Postanowiłem nie wspominać nic moim paniom ani o tem zajściu, ani wogóle o tem, że mi wiadomą jest bytność Lucyana. Matka Hieruni z nową wystąpiła prośbą: Familia krzywi się na nas,—rzekła ona—że nikogo nie przyjmujemy teraz, oprócz pana, a osądź pan sam, czy to podobne; Hierunię takby te wizyty męczyły! Ale zrób mi pan tę łaskę i gdyby pana w tych dniach kto zapytał, czy byłeś u nas, powiedz, że nie. Łatwo mi było domyśleć się z tego żądania całej taktyki postępowania hrabiny wobec syna. To nie on zmyślił przed Eugeniuszem, że mi dom wymówiono, ale matka mu tak powiedziała, aby zapobiedz jakiejś awanturze z jego strony i uchronić siebie i Hierunię od jego wybuchów. Musiał się tem zaspokoić nieco, bo i one były spokojniejsze.

„W ciągu dnia w kilku miejscach zdarzyło mi się spotkać z ironicznemi uśmiechami i dwuznacznemi zapytaniami, których właściwe znaczenie dobrze

zrozumiałem: pogłoska o zerwaniu mego związku z Hierunią widocznie musiała się już rozejść po mieście. Felunio, obaczywszy mnie na ulicy, przybiegł do mnie z rozpromienioną twarzą i wprost mnie zapytał, czy to prawda, że wszystko zerwane. —Któż ci to mówił?—zapytałem.—Tak mówią w mieście, to *dyżurna nowela* [1]).—Aa, czy tak! powiedz-że im, że ani mi przez myśl nie przeszło zrywać.— Tak! ale hrabina? podobno dom ci wymówiono? opowiadają, że ci drzwi pokazała.—Kłamstwo!—Ach, to się bardzo cieszę. Winszuję ci!—rzekł, spuszczając nos na kwintę. I dodał: A o mnie to wszystko prawda, co opowiadają!—Nic nie słyszałem. Cóż takiego?—Dała mi kosza. Ale ja nie głupi, ja wiem dlaczego; ona się w kotlarczyku kocha. — Ha, może być. Bywaj zdrów. — Bądź zdrów. A wiesz, moja matka znowu bardzo chora; był u niej dzisiaj ksiądz z panem Bogiem.

„Po tej rozmowie z Feluniem, spotykając znajomych na ulicy i w miejscach publicznych śledziłem wyraz ich twarzy, sposób przywitania i zachowania się wobec mnie. Przyszedłem do wniosku, że wszyscy już muszą wiedzieć o rzekomem zerwaniu mojem z Hierunią, a raczej o podobnem obejściu się ze mną hrabiny, jak ja się z Herszkiem obszedłem. Irytowało mnie to w najwyższym stopniu i postanowiłem koniec temu położyć. Przywołałem dorożkę i przez kilka godzin jeździłem z wizytami. Byłem nawet w takich domach, gdzie nigdy przedtem mnie nie widziano. Wszędzie, gdzie mnie przyjęto, sam pierwszy zaczynałem dyskurs o mem zamierzonem małżeństwie i śmiejąc się, opowiadałem o krążącej po bruku miejskim pogłosce.

„Na tem upłynął mi dzień. Wieczorem wytłomaczyłem się przed memi paniami, że jestem

---

[1]) *Nouvelle de jour*.

cierpiący i muszę się położyć, i poszedłem na tak zwaną *męzką herbatę* do hr. Eugeniusza".

„Zastałem tam do dwudziestu mężczyzn, po większej części należących do rodziny Sarskich, lub z nią spokrewnionych. Rozparty w fotelu, w nawpół leżącej postawie, obrócony ku drzwiom siedział jedyny nieznany mi z całego grona młody mężczyzna z *gukerem* w oku. Dość mi było spojrzeć na niego, aby domyśleć się, że to Lucyan. Smagły brunet, małego wzrostu, wątłej budowy ciała, gładkiej twarzy, bez śladu męzkiego zarostu. Żywy portret siostry! ta sama cera, czoło, nos, usta. Taki sam nieledwie wyraz twarzy. W oczach tylko pewna właściwa mu arogancya, czy duma. Gospodarz przywitał mnie z przyjazną poufałością, uścisnąłem rękę kilku znajomych i zbliżyliśmy się ku kanapie. Wtedy p. Eugeniusz, rzuciwszy okiem na Lucyana, zawołał: A, prawda! nie znacie się jeszcze!—i wymienił nasze nazwiska".

„Wtedy Lucyan, nie ruszając się z miejsca i nie podając mi ręki, zmierzył mnie od stóp do głowy i zapytał z arystokratycznym spokojem: Czy to pan głosisz, jakobyś był narzeczonym mojej siostry?— Nie potrzebuję tego głosić, odrzekłem, bo o tem wszyscy wiedzą.—Ale to nie prawda: panu matka moja dom wymówiła. Roześmiałem się w głos. Wracam ztamtąd—i odwróciłem się w inną stronę, chcąc zakończyć tę szczególną rozmowę. Pan Lucyan stracił zimną krew, którą chciał mi imponować. Zerwał się z fotelu na równe nogi:—Kłamstwo, ja na ten związek nigdy nie zezwolę!—To mi zupełnie obojętne! odparłem z przyciskiem. Przyskoczył do mnie jak kot podrażniony: Czy i to panu obojętne? i podniósłszy rękę, chciał mnie w twarz uderzyć"...

„Pochwyciłem w powietrzu jego drobną piąstkę, drugą ręką ująłem drugą, przycisnąłem mu je obie silnie do piersi i posadziłem go w fotelu. Wszystko to się stało w jednem mgnieniu oka.—Młokosie! rzekłem, trzymając go w tej uwięzi.

„Czy Mama pamięta, jak ja włoskie orzechy rozgniatałem w pięści? jak one trzeszczały w mej dłoni i jak wyglądały, kiedym dłoń roztworzył? Coś podobnego dziać się musiało z rączkami pana Lucyana. Syknął przeraźliwie z bólu, twarz mu się skrzywiła, jakby na nim spróbowano średniowiecznej tortury, oczy mu na wierzch wylazły. Wybełkotał jakiś frazes niezrozumiały, z którego tylko dosłyszeć można było jeden głośniejszy wyraz: *satysfakcya*.

„Satysfakcyi?—rzekłem, a palce jego trzeszczały w mych dłoniach, ja już ją sobie wymierzyłem! A jeźli ci się pojedynku zachciewa, to mnie do niego nie zmusisz, nawet obelgą! Z bratem mojej przyszłej żony ja się strzelać nie będę, bo czybyś ty zginął, czy ja, to onaby umarła...“

„Zwolniłem nieco tortur, a on ostatnim wysiłkiem zachrypiał przez gardło: Wolę niech umrze!

„Ale ja nie! Rozumiesz pan! Dałem mu raz jeszcze uczuć całą moją siłę i wypuściłem z mych kleszczy. Oczy łzami mu zaszły z bólu, twarz skrzywiona okropnie, ręce obwisły bezwładne. Powstał, zrobił parę kroków: Słabo mi!—rzekł i omdlał. Pochwycono go w ramiona, wyniesiono do sypialni p. Eugeniusza i złożono na łóżku. A ja obróciłem się do obecnych, którzy jako niemi świadkowie przypatrywali się tej scenie i nie widząc zapasów między nami, nie czuli potrzeby rozdzielenia zapaśników:—Jeśliby kto z panów mniemał, że nie postąpiłem w sposób honorowy, to mu służę!—i spojrzałem po wszystkich twarzach. Nikt się nie odezwał, wszyscy zdawali się pochwalać moje postępowanie. Na jednej tylko twarzy p. Wiktora błąkał się ironiczny uśmiech.—Czy pan może innego jesteś zdania?—zapytałem. Zczerwienił się młodzieniec i rzekł: Bynajmniej! postąpiłeś pan, jak honor i uczucie pańskie nakazywało, ale po tem, co zaszło, wymaga honor, jak sądzę, abyś się pan teraz sam zrzekł małżeństwa z moją kuzynką!

„Mój honor wymaga—odrzekłem szorstko, abym nie łamał słowa, danego pannie Hieronimie, dlatego młodzieńczego wybryku, którego jej brat się dopuścił. Zdaje mi się, że mogę panów wszystkich uważać za członków rodziny; proszę was zatem i spodziewam się, że zechcecie zatrzymać w tajemnicy to przykre zajście, któreby mogło ubliżać honorowi pana Lucyana. Dbam o jego honor, bo to mój przyszły szwagier!

„P. Eugeniusz objął mnie w ramiona i ucałował: Zacny, kochany! szlachetnie sobie postąpiłeś, a za to, coś teraz powiedział, serdeńko, to i wróg twój uszanowaćby cię musiał! Przepraszam cię za tę przykrość, która cię spotkała w moim domu!

„Kilku jeszcze obecnych wyciągnęło ku mnie ręce i jedni serdecznie, drudzy etykietalnie dłoń moją uścisnęli.

„Wystąpił znowu p. Wiktor, prowadząc tym razem pod ramię p. Cypryana, swego ojca, siemdziesięcioletniego, zniedołężniałego starca, który się ledwie na nogach trzyma.—Zdaniem mego ojca, rzekł on, nie idzie tu o to, jakie ma być postępowanie p. Władysława. Nikt z nas nie powątpiewa, że potrafi on bronić swego honoru, ale dopóki nie jest członkiem naszej rodziny, a nie jest nim jeszcze, dopóty nie mamy prawa przepisywać mu jego postępowania. Co innego Lucyan. On nosi nasze nazwisko i obowiązkiem jest naszym czuwać, aby na honorze nie poniósł szwanku. Lucyan jest najmłodszy z rodziny i niedoświadczony w tego rodzaju sprawach. Mój ojciec sądzi, że winniśmy się zebrać na radę familijną i wskazać mu, co mu teraz czynić wypada...

„Tak! ja tak sądzę. To jest moje zdanie!—zawtórował synowi p. Cypryan. A p. Wiktor dodał: Mój ojciec, jako najstarszy z rodziny, prosi na jutro wszystkich obecnych tu, szanownych kuzynów, do siebie, na godzinę pierwszą!—Tak! proszę na godzinę pierwszą!—potwierdził p. Cypryan.

„Nie widzę powodu tego zgromadzenia—rzekł p. Eugeniusz—Lucyan serdeńko jest dzieciak i powinien przeprosić Władysława, mnie i nas wszystkich i poprowadzić swą siostrę do ślubu. Nic mu innego uczynić nie pozostaje, jeśli ma uczucie honoru i serca kawałeczek.

„Prosimy do siebie jutro o pierwszej! — rzekł pan Wiktor i wyprowadził swego ojca pod ramię!

„Na tem skończyło się to całe zajście. Wróciwszy do domu, byłem jeszcze zanadto wzburzony, abym mógł był pisać do Ciebie, Mateczko moja droga, i zdać Ci sprawę z takim spokojem, jak to obecnie uczyniłem. Chciałem zresztą doczekać się wprzódy rezultatu owej narady familijnej.—Ja tam pójdę (rzekł mi p. Eugeniusz), ale obaczysz, że się tam prawie nikt nie zejdzie; ludzie nie lubią parzyć sobie rąk, serdeńko! Wiktor, ba! Wiktor miał projekciki na Hierunię i to go korci, żeś mu ją zabrał z przed nosa. A Lucyanek! ho, ho, serdeńko, jemu się zdaje, że jego siostra ma suchoty i o majątek mu idzie, bo swoją schedę już dobrze nadszarpał. Serdeńko, ja znam świat i ludzi! zjadłem zęby serdeńko!

„Omylił się jednak pan Eugeniusz. Zgromadzenie wczorajsze było dość liczne. Okazało się, że w tym świecie dużo więcej ukrytej było przeciw mnie zawiści, niżeśmy obaj sądzili. Wiktor, powołując się ciągle na swego ojca, był tego zdania, iż obowiązkiem jest wszystkich Sarskich, stanąć w obronie honoru Lucyana i solidarnie zażądać odemnie, abym mu dał satysfakcyę z bronią w ręku. Poczciwy p. Eugeniusz oponował, i po zażartej dyskusyi, wśród której stronnicy Wiktora zaczęli się jeden za drugim wymykać za drzwi, nakoniec przeprowadził swoje zdanie, aby, jeśli się to uda, sprowadzić nas obu razem i zniewolić do podania sobie ręki. Oprócz p. Wiktora i Cypryana, ostatecznie wszyscy się na to zgodzili.

„Tak tedy skończyła się burza, która zawisła była nad moją głową. Z wielkiej chmury mały deszcz. Wszyscy prawie członkowie rodziny Sarskich okazują mi jak największą uprzejmość. Wiktor mnie unika, a ci, którzy z nim trzymają, są wprawdzie ze mną oziębli jak lód i sztywni, jakby każdy z nich drut połknął, ale ugrzecznieni nieledwie do przesady. Opowiadał mi Eugeniusz *Serdeńko*, nie mogąc się uspokoić ze śmiechu, jaką minę ma teraz Lucyan, *zdekontenansowaną*, jak się wyraził. Ręce mu opuchły i nie może jeszcze niemi władać, w jednym palcu lewej ręki podobno kostka przepękła na podłuż. Nie ochłonął on jednak i dotąd jeszcze ze swojej wściekłości i zaklina się na swego prapradziada kasztelana, że mnie zmusi do pojedynku.— Ciekawym, serdeńko, jakim sposobem?—pyta p Eugeniusz; użył już środka najcięższego kalibru, bo publicznej obelgi, i odszedł ze wstydem. Już mu nic nie pozostaje, jak chyba zaprzyjaźnić się teraz z tobą albo wynosić się zagranicę.

„Kończę już, Mateczko droga, ten mój list, a raczej pamiętnik z dwóch tygodni życia. Jutro rano list oddam na pocztę, a przed świętami znowu pisać będę. Nie niepokój się, Mateczko, o mnie i nie martw się moim losem. Ja się już z nim pogodziłem. Przyszłość moja nie całkiem może różowo wygląda, ale życie nawet najszczęśliwszych ludzi nie jest jednokolorowe, lecz z różnych łat złożone, jak szata arlekińska. Zdrów jestem, silny, pogodnego umysłu i odważnie w przyszłość spoglądam. Z temi środkami i na tem stanowisku, które osiągnę, zaślubiwszy Hierunię, będzie można coś zrobić na świecie i być szczęśliwym, czując, że się jest pożytecznym. Byle mi Hierunia zdrową była! Prawdziwie, ja się coraz bardziej zaczynam przywiązywać do niej! Stan obecny jej niezdrowia bardzo mnie niepokoi: kaszel, gorączka, ciągłe omdlenia. Lekarz jednak zaręcza, że to minie".

„*12-go grudnia*. Idę na pocztę oddać list. Ręce

Twoje całuję i nóżki Twoje, moja Ty najdroższa, najukochańsza Mateńko. Składam głowę na Twoich kolanach, a ty mi czoło ucałuj. Kochanemu doktorowi dziękuję z całego serca za odczytanie Ci tej długiej epistoły. A toż to musiał narzekać! Przywiozę mu za to ostatnie dzieło Darwina. — Bądź zdrowa, Mateńko moja, a kochaj Twego syna...

Władysław".

„Przypisek. Ciotka była umierająca. Od wczoraj ma się lepiej, ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.—Przed świętami list wyprawię, niechże Mateczka pośle Michała na pocztę..."

. . . . . .

— Jakiej daty jest ustęp ostatni? — zapytała matka po dłuższem milczeniu.

— Dwunastego grudnia.

— A dziś dwudziesty ósmy. To dwa tygodnie!... Nie napisał przed świętami... Zawsze przed świętami pisze. Czy się tam co złego nie stało?

— Cóżby się stać mogło?—zapytała Zosia i myśl jakaś nagle błysła jej w głowie. Zapromieniało w oczach dziwne światełko—niby radość. Ale spuściła wnet ku ziemi powieki, jakby się własnej zawstydziła myśli. Zarumieniła się sama przed sobą.

— Może Hieronima ma się gorzej...—wtrąciła staruszka.

— Jejmość! jejmość! ja już kolacyę przyniosę, już przecie czas!—zawołała Kachna, otwierając drzwi. —A nakryć przy okrągłym stole, czy tam jejmości dać? Panienka jest, to lepiej niech jejmość z panienką siada... A panicz, co też tam pisze jejmości? czy tam także taki mróz?... A uciszyło się przecie na polu; wichru już niema, jakby się gdzie podział. Musieli ludzie wisielca odciąć. Oho, już mu to nie pomoże, już mu duszę... odpuść panie Boże... No, przynieść kolacyę? są pierogi z serem — takie

jak panicz lubi... Ej, ej, mocny Boże, czemu to się panicz z panienką nie ożenił, tylko gdzieś żony szukał za światem, kiedy tu miał pod bokiem. Z miasta żonę brać, to nic warto!... Czy to nie lepiej żonę...

— Przynieśże, Kachno, pierogi! — przerwała jej staruszka.

X.

Bielutkie usłała Zosi Kachna łóżeczko w małym pokoiku gościnnym, zwanym „pokojem panicza“. On tam zawsze nocował, ile razy przyjechał do Paprotki.

Zimno tam było w tym pokoiku, bo nie był opalany codziennie, piec dymił, ale dla Zosi nocleg ten w pokoju ukochanego, utraconego na zawsze, wydał się prawie szczęściem.

Obejrzała tę ubogą izdebkę z największą dokładnością, jakby jakie arcydzieło sztuki budowniczej; jakby w muzeum jakiem, zajrzała do każdego kącika, przypatrywała się tym ubogim meblom z plecionej słomy, temu stolikowi z czarnemi plamami rozlanego niegdyś na nim atramentu. Tu przy tym stoliku on może nieraz pisywał, może dumał o niej... może układał plany szczęśliwej przyszłości!... Przed oczyma duszy widziała go wszędzie, jakby tam był z nią razem w tej chwili i zwracał za nią jasne swe oczy, tak wymownie wyrażające spojrzeniem to wszystko... co się mieściło w świeżo przeczytanym liście...

Ach, jak jej smutno!...

Stanęła we framudze okna i długo marzyła, patrząc na te szyby mrozem skrysztalone, w których łamały się tak dziwacznie promienie księżyca: niby kwiaty, niby mchy, paprocie, a wszystko białe, zimne, brylantowe...

Nagle ujrzała na szybie wyrytą literę *Z!*... Łzy jej się z oczu puściły. Patrzała na nią, wodziła po

każdej kresce oczyma i zdawało jej się, że z tej jednej litery odczytuje całe dzieje swej nieszczęśliwej miłości i całe dzieje swego życia... Bo już to chyba skończyło się jej życie! Cóż to za życie bez nadziei, bez przyszłości, bez niego!... On pisał, że mu się śniła leżąca na katafalku. To sen prawdziwy: ona istotnie umarła!...

Ułożyła się wreszcie w łóżeczku, główka jej w puchowej utonęła poduszce. — Ach, jak jej strasznie smutno!... Na tej poduszce pod jej głową jego może nieraz spoczywała głowa... Zwilżyła ją łzami dziewczyna i tak, marząc i płacząc, usnęła.

Sen — sen jej?...

O powieściopisarze, którzy pisząc o zakochanych, nigdy opisu ich snów czarownych lub złowróżbnych pominąć nie możecie!... zapominacie o tem, że młodzi i zdrowi nie śnią wcale. Otacza ich we śnie ta boska *Nirwana*, która wedle wiary Buddystów, najwyższą ma być mądrości i cnoty nagrodą, najszczytniejszym ducha ludzkiego celem, który nam tysiącami żywotów i odrodzeń i tysiącami śmierci okupić trzeba.

Młodzi co nocy umierają: usypiają snem bez marzeń.

Takim snem usnęła Zosia.

Pani Anastazya długo usnąć nie mogła. Kazała Kachnie wygasić ogień w kominku i zdmuchnąc świecę, a sama dla uspokojenia zbyt rozbudzonych myśli, przechadzała się wzdłuż i wszerz pokoju. Przechadzała się z tą dziwną pewnością ślepców, którym w znanem im mieszkaniu nie zagraża nigdy niebezpieczeństwo upadku lub potrącenia się o jaki przedmiot.

Niekiedy tylko, przesuwając się cichemi kroki koło starożytnych, opylonych mebli, lekkiem ich dotknięciem prostowała swoją drogę: to stołu dotknęła okrągłego, to sekretarzyka, to etażerki o szklanych taflach, napełnionej pamiątkami, to szafki z zegarem.

...Przy tym stole *on* z nią niegdyś zasiadał do wieczerzy po pracy całodziennej—a na kolanach jego siedział mały Władzio i szczebiotał wesoło... I widziała oczyma pamięci ich dwóch, najdroższych jej sercu, patrzących na siebie, uśmiechniętych do siebie. Ale jak fale jeziora poruszone od wiatru, *jemu* troska po trosce przesuwa się po czole... Głębokiem tem swojem, marzącem spojrzeniem na nią patrzy jej ukochany, zdaje się czytać w jej duszy i mówić: Nie smuć się, nie smuć, bo jeszczem ja za tobą. Cóż będzie, jak sama zostaniesz, sama... sama... A mały Władzio zsuwa mu się z kolan i obejmuje rączką tę harpię o wyzłacanych pazurach, podpierającą rzeźbioną podstawę stołu—i pyta, czy ona temi pazurami kaleczy... Och, kaleczy, kaleczy!

...I znowu biega rozswywolony chłopak po pokoju i co chwila pociąga figlarnie za sznurek zegara a zegar tę samą ciągle bije godzinę... Spóźnia się zegar—rzekł ojciec i przesunął wskazówki. Ojcze, pyta mały, przypatrując się temu—ojcze, człowiek może mieć zawsze tę godzinę, którą zechce?... Nie, dziecko, jak godzina przeminie, to już nigdy nie wraca.—A ten orzeł na zegarze, co trzyma węża w szponach? wąż mu się koło szyi owinął i chce go udusić: czy orzeł węża zdławi, czy go wąż udusi?... —O, mój synu, gdybym ja to mógł wiedzieć!... A mały Władzio zadumał się i ciągle już tego dnia wracał do pytania; czy orzeł węża zdławi, czy go wąż udusi? I pytał matki i pytał wszystkich w domu przez dni kilka: czy orzeł zwycięży, czy wąż?... I gdy mu nikt nie dał pożądanej odpowiedzi, on drobną rączką próbował sam rozpętać pierścienie śpiżowe, okręcone w koło orłowej szyi...

I na rzeźbie tej trzymała teraz czas jakiś staruszka ślepa swą rękę i słuchała jednostajnego ruchu wahadła, zadumana, jakby dziś sama siliła się rozwiązać dziecinne chłopczyka pytanie...

I znowu szła dalej. Jak duch się snuła od kąta do kąta. Słychać nie było jej kroków, a przez zamarzłe szyby blade promienie księżyca padały na twarz jej smętną, przeglądały się w martwych źrenicach.

O sekretarzyk się oparła.

Tu przy nim *on* zawsze pisywał. Tu przy nim nieraz noc przy pracy przepędził... A później syn... Tak samo oparty o poręcz krzesła z pochylonem wpół czołem, na które bujne spadały mu włosy... Czoło to samo, te same rysy, ta sama postać—ach, jacyż oni podobni! Dźwięk głosu ten sam i nastrój uczuć i myśli kierunek...

Nigdy go tak nie kochała jeszcze, jak po tym liście ostatnim! Nigdy jeszcze tak jej serca nie otworzył swego, nigdy nie spojrzała tak w głąb jego duszy, nie rozumiała go tak i nie odczuła tak żywo jego wszystkich uczuć. Tyle lat go kochała jak syna, ale nie przeszło jej przez myśl, że to ojciec w nim żyje.

I w wyobraźni ślepej staruszki spłynęli oni w jedność postaci i jednem dla niej stała się tchnieniem i jednem uczuciem miłość ku obydwom.

Upływała godzina za godziną, a staruszka nie spała.

O czem tak myślała?... Może sama nie umiałaby zdać sprawy z tych myśli. Rozkołysały się uczucia od czytanego listu syna i od łez i uścisków i pieszczot czytelniczki. Tłoczyły się myśli jedna za drugą; jedna drugą popychała. Te wszystkie wrażenia, te wszystkie chwile kilku tygodni życia, które po kolei w synowskim odzwierciedliły się liście, odczuwała matka teraz tak żywo, tak jasno, ale bez ładu, bez porządku, równocześnie prawie. Jakby ponocny kondukt pogrzebu, koło balowej przeciągając sali, zmieszał się z wesołym masek pochodem, tłocząc się i cisnąc i wypychając się nawzajem. Ci w tę stronę dążą, tamci w ową, ci w koło się kręcą, nie wiedząc, dokąd im się udać. I płacz i śmiech

i ponura żałoba, nieubłagana jak fatum i beznadziejna miłość, i melancholijny uśmiech rezygnacyi, i namiętny żal za rajem straconym, i szalona ironia i pełne otuchy męzkie postanowienie—wszystko razem... Niedość tych myśli! Wciąż nowe w tym tłumie jawią się postacie. I Zosia szlocha, składając na jej piersi swą główkę. I patrzy na nią złowrogo czarnemi oczyma Hieronima, jak harpia pijąca krew. I zmarła wieśniaczka z przeraźliwym krzykiem wyciąga ramiona za trupkiem niemowlęcia. I siostra na łożu śmiertelnem cierpkiemi miota na nią wyrazami, dobierając co najdotkliwiej zaboleć ją może. Rzuca się na jej syna Lucyan z wściekłością... w twarz go uderza... pojedynek!... i zamiast syna, widzi męża padającego gdzieś w starym lesie wśród białych buków z skrwawioną piersią na murawę. Ach, jacy oni podobni do siebie, ojciec i syn!...

Czy ona myśli? czy marzy? czy śni?... Czem w niej jawa, czem sen?

Rozebrała się staruszka i złożywszy na poduszce głowę, przymknęła powieki. I tym samym prądem snuły się dalej w duszy obrazy. Czy sen to był, czy marzenie?

Noc dla niej nocą i dzień dla niej nocą; cóż za różnica między dniem a ciemnością dla ślepej? Jasnym dla niej—chyba tylko dźwięk, co w ucho wpada. W głosie ludzkim dla niej kolory i światła. W głosie blask słoneczny i gwiazd migotanie i łuna pożaru i fantastyczny promień księżyca. I wszelkie ona w nim odróżnia odcienie i niepochwytne dla nas modulacye. Jej świat—świat głosu. Zna go ona stokroć od nas lepiej. On dla niej dniem, on dla niej jawą, rzeczywistością. Wtedy w nim przebywa, gdy głos ludzki słyszy. Obudzoną jest wtedy i trzeźwego ducha—myśli, rozumuje, sądzi.

Ale gdy ją cisza otoczy nocna, znika wtedy rzeczywistość dla ślepej samotnicy—a świat wyobraźni, świat marzeń i snów, świat wspomnień za-

mierzchłych z całą zwartwychwstaje w jej duszy potęgą. On ją owionie innem życiem... inną dla niej jawą...

Czy ona marzy, czy śni: któż powie?

XI.

Prześliczny dzień zimowy...

Wiatr ucichł, mróz zwolniał, słońce wesoło świeci.

Zajechały sanki przed ganek. Niecierpliwie grzebią nóżką w śniegu bułanki, parskają ochoczo, dzwonią dzwoneczkami.

— Zosiu, trzeba jechać. Mamaby się gniewała. Miło mi tu z tobą: córki rodzonej nie kochałabym bardziej od ciebie — ale jedź, jedź do swej ciotki. A jak wrócisz do domu, proś mamy, może ci pozwoli czasem przyjechać do starej, ślepej samotnicy... Popsułaś mnie, dziecko moje; tęsknić za tobą będę, jakby za córką.

I łzą rozrzewnienia spojrzały na dziewczynę oślepłe źrenice.

— O pani droga! kochaj mnie pani... bo wiesz, żem bardzo biedna! Pozwól mi myśleć, żem ja twoja córka!

I uściskały się obie serdecznem uściśnieniem. Ucałowała Zosia jej ręce, ubrała się w futerko i owinęła szalem, wsiadła do sanek, raźniej zadzwoniły dzwonki—pojechała.

Westchnieniem pożegnała ją ślepa i usiadła w swoim fotelu przed kominkiem, gdzie już żywym ogniem płonęła świerczyna.—Wesoło bujały w górę płomyki; promieniejące ich ciepło czuła na swej twarzy staruszka. Zasyczało czasem wilgotne drzewo, a co chwila odzywał się wystrzał pękających polan; iskry wzlatywały w górę, jak świetny fajerwerk poetyckiej fantazyi, który zawsze syk boleści poprzedza, jak ogniotrysk ludzkiego uczucia, którego

przeznaczeniem, aby w górę się wzbił i zabłysnął chwilkę i zagasł na wieki. Miłe spektatorom widowisko, rozkoszna słuchaczom rozrywka! ale te płomienie buchające w górę, ten żar, co grzeje, te iskry, krąg światła rzucające w koło—one zawsze świadczą, że wewnętrznym ogniem trawi się palny materyał—świerczyna, czy serce.

Tak, ale płonąć—to rozkosz. Płonąć—to tyle co żyć. Co życie podsyca, to podsyca płomień, który nas pali, pożera i w popiół zmienia i w proch. Podsyca życie to, co śmiercią jest naszą.

Zatruty to nektar—lecz upojenie rozkoszne...

— Upiłem się wczoraj, proszę jejmości, i przyszedłem przeprosić!

I uścisnął Michał kolana swej pani.

— A to ty, Michale. Wstydź się, mogłeś w polu zamarznąć!

— Ja zamarznął, proszę jejmości. Żeby nie wódka, proszę jejmości, co mi grzała jeszcze duszę we środku, tobym był zamarzł na śmierć, przysięgam Bogu! i powieźliby mnie razem z Maryną na cmentarz. Jejmość wie, że Maryna umarła?

Staruszka kiwnęła głową.

— Ale ja nic nie zgubił, proszę jejmości,—nie. Wczoraj Kachna... a to prawdziwa jędza, proszę jejmości, przysięgam Bogu! nie wiedzieć, po co jejmość ją trzyma!... wczoraj Kachna wyjęła mi z torby dwa listy i oddała jejmości. Przecie oddała?

— Oddała.

— Ale ja nie głupi, proszę jejmości: na list ze zwyczajnem pisaniem to się tam nikt nie złakomi, tom je w torbie trzymał, ale jakem wstąpił do Jolka w Podsośniu, bo mnie się z mrozu strasznie głowa kręciła... to strach, proszę jejmości, co to był za mróz, przysięgam Bogu! to nawet stary Mośko takiego nie pamięta... to proszę jejmości, tak sobie myślę: kręci mi się głowa z mrozu, to się wódki napiję? no, a jak mi się więcej zakręci? ehe, ja nie głupi, żeby mi kto potem z torby wszystko wycią-

gnął. A był tam jeden list taki, co w nim pewnie papierowe pieniądze... to ja go wyjął z torby i włożył w baranią czapkę, co ją mam od jejmości, pod podszewkę. Tam go ci nikt nie znajdzie, pomyślałem—i oto jest proszę jejmości!

— Z pieniędzmi mówisz? Dlaczegoż ci się zdaje, że z pieniędzmi? któżby mi pieniądze posyłał!

— O, juźci z pieniędzmi musi być, proszę jejmości, kiedy w ramkach, jak obrazek.

— W ramkach? cóż znowu mówisz! jakże list może być w ramkach!

A juźci, proszę jejmości: w ramkach! Niechże jejmość... ach prawda, że jejmość i tego nie obaczy. W ramkach, proszę jejmości! przysięgam Bogu! w czarnych ramkach.

Wzdrygnęła się staruszka.

— W czarnych ramkach?... A... to kartka pogrzebowa...

I pomyślała: Siostra mi pewnie umarła...

Zasępiły się jej łagodne rysy. Nie łączyły ją wprawdzie z tą siostrą serdeczne stosunki; tak niewiele miały z sobą wspólnego, tak niepokrewne były ich dusze... ale to zawsze siostra! A lata dziecięce na łonie matki z nią razem spędzone!...

— A może to nie siostra?...

I stanęła jej w myśli Hieronima. Nie widziała jej nigdy, a zdało jej się, że ona teraz na nią patrzy nieruchomo magnetycznem spojrzeniem tych czarnych oczu, o którem pisał syn, że mu duszę wypija... Krew na ustach chorego dziewczęcia, blask oczu przygasa... to jej śmierć... to ona umarła...

Władysław nie rozpacza: widzi go matka przeczuciem serca. Z założonemi na krzyż rękoma stoi przy jej łożu, ponury, chmurny; szlachetnem współczuciem i litością tylko wzbiera mu serce: niema tam miłości... Łza zakręciła mu się w oku—pochylił się nad umarłą i pocałował ją w czoło...

— Będziesz ty jeszcze szczęśliwym — chciała

powiedzieć mu matka, ale w tej chwili zjawił się w obrazie jej duszy obok syna Lucyan...

— Ach, może pojedynek?... może to on? on? on? Tak długo nie pisał. Może to on nie żyje?

— Kto nie żyje, proszę jejmości?

— On!... ojciec i syn! tacy podobni... Czy i śmierć ta sama? Daj tu list! daj tu ten list w ramkach! gdzie on?... gdzie on?

— Jejmość go przecie w rękach trzyma!

— Przycisnęła go do oczu, przycisnęła go do czoła z rozpaczą, przycisnęła do serca i do czoła znowu.

Straszne to, gdy starzec zakwili płaczem dziecięcia.

Aż Michał się wzdrygnął na ten widok i litość go zdjęła.

— Jejmość! przecie jejmość nic nie widzi!... kto tam wie, kto umarł... różni ludzie umierają...

Ale ona zaniosła się od płaczu... i tchu jej zabrakło, czy łez zabrakło i tylko jęk przeciągły dobywał się z piersi. Pięściami cisnęła oczy, palcami je darła, jakby zedrzeć chciała zasłonę, co jej straszną kryje tajemnicę.

— Jejmość! Boże święty! co jejmość robi?

A ona od oczu, od czoła, wyciągała naprzemian ręce w powietrze, to lewą, to prawą, naprzód, przed siebie, jakby chwytać chciała czy światło dzienne, czy ulatujące od niej widzenie, czy w otchłań nicości zapadające szczęście. Tak matka nad brzegiem przepaści wyciąga ramiona za dzieckiem, co się w nią stoczyło i stacza się, stacza coraz głębiej i znika jej z oczu.

— Aaaah!

— Matko Częstochowska! żeby ja umiał czytać!

Czy ona się broni od jakiegoś okropnego widziadła? Ramiona, jak tonący, wyciąga przed siebie i szarpie niemi powietrze. Och, nie siebie ona broni, ona broni dziecka... dziecka...

— Dziecko! — woła przeraźliwym głosem — dziecko moje!...

Wstrząsnął się Michał zimnym dreszczem, jakby się wódki napił.

I szczęśliwa myśl przyszła mu do głowy.

— Panienka dopiero pojechała... musi daleko objeżdżać koło lasu, bo most zepsuty... jabym ją może jeszcze dopędził przez ławę... Jejmość! jejmość! panienka jejmości przeczyta list!

Ocknęła się na ten krzyk jego i na to słowo.

— List! list!... panienka... przeczyta.. Michale goń za nią... goń... prędzej... prędzej...

I wybiegł Michał z pokoju i popędził, co sił mu stało.

Na podwórzu tylko, spostrzegłszy Kachnę wychodzącą z krowiej stajni, krzyknął za nią:

— Idź do jejmości, a żywo!

Zastała ją Kachna w fotelu, z głową u wezgłowie opartą, obiema dłońmi serce cisnęła, ciężkim oddechem chwytając powietrze. Po twarzy zwolna ściekały łzy.

Rozpacz—ta najstraszniejsza z Eumenid, ale od razów jej bicza, boleśniejsza jej groźba, niepewność rozpaczy.

Nie widziała Kachna nigdy pani swej w takim stanie. Przywiązaną sługę przeraziło to bardzo i odbiegł ją nawet niepowściągniony zwykle pociąg do gadulstwa.

— Jezus Marya! rany boskie! co jejmości takiego? co się stało? czy jejmość chora? gadajże jejmość! co? serce boli?... rany boskie!

Żadnej nie otrzymawszy odpowiedzi, pokręciła głową, poszła do kuchni, przyniosła szklankę wody, bryznęła kilka razy wodą na twarz staruszki, a potem przybliżyła szklankę do jej ust.

— No, napijże się jejmość trochę!

Z bezmyślnem posłuszeństwem spełniła ślepa jej żądanie.

Kachna otworzyła flakonik stojący na małym przed nią stoliczku i dała jej powąchać.

Orzeźwiło to nieco staruszkę, oddech stał się wolniejszy, łzy płynęły obficie.

Nagle spostrzegła Kachna list ów leżący na jej kolanach. Pokazywał jej go rano Michał z tryumfem, że go nie zgubił i że tak go schował, że nawet ona nie znalazła.

— Aha! a to pewno ten list w ramkach tak jejmość zafrasował ciężko! Musiał się ten pijaczysko przed jejmością zaraz pochwalić, że to z pieniędzmi, bo w ramkach... a ja mu zaraz mówiła, że to nie pieniądze, ale żałobę znaczy... To jużci chyba musiała umrzeć ta chora panna, co się z nią panicz miał żenić...

Dziwny był skutek tych słów i tego przypuszczenia Kachny i zupełnie dla niej niespodziewany. Zwykłą reakcyą serdecznego płaczu zmienił się on nagle w śmiech spazmatyczny.

— Matko Boska! rany Boskie! a to co? Niechże się jejmość tak nie śmieje strasznie! bo aż mrowie człeka przechodzi! W imię Ojca i Syna... dajże już jejmość pokój, bo to grzech wielki tak się śmiać!... i Ducha Świętego Amen.

I po śmiechu znowu chwila osłabienia i bezwładności, wyczerpanie sił, niby obojętność i apatya.

I cisza. Pryska żar na kominie, syczy drewno, zegar wybił godzinę i idzie dalej miarowym ruchem...

Wzdrygnęła się nagle, dreszcz jakiś ją przebiegł, myśl jakaś nowa zabłysła.

— List! list! gdzie list?

Podała go jej Kachna do ręki.

Pochwyciła go niecierpliwie, aby rozerwać kopertę. Palce jej mimowoli przesunęły się po adresie, uczuła ślepa chropowatość pisma posypanego piaskiem.

Piaskiem posypane... jak listy mej siostry? Więc to byłby od niej list?... a więc nie ona umarła...

ale kto? kto?... Hieronima?... Hieronima... czy... czy?... ach!

Rozerwała kopertę i rozłożyła zawarty w niej papier, ćwiartka tęższego od zwykłych listowych ćwiartek papieru, czworograniasta prawie... I przesuwać palce zaczęła po nim.

— Nie, nic nie czuję pod ich dotknięciem—nic. Palce jej drżą od wzruszenia... Spokojniej, spokojniej trzeba przesuwać palcami... Wszak ślepi od urodzenia uczą się dotknięciem palców poznawać duże litery... czemuż-by ona poznać nie miała?... Spokoju, spokoju tylko...

Tu, tu coś jak druk... lepną jej palce jakby do szeregu dużych jakich, tłustych liter... to tłuszcz drukarski.. ach, gdyby ich kształty można namacać, rozróżnić, rozpoznać!... Naprożno!...

— Kachna! Kachna! przecież tyle poznasz! Przypatrz się, powiedz: jest tu na tym papierze krzyż?

— A jużci jest — ot tu!

— Jest krzyż!... ah! tom się nie omyliła... jest krzyż! to czyjaś śmierć, to czyjś grób!... Ale czyj? czyj?

Spazmowym kurezem ścisnęło się znowu serce... Ciężkim oddechem podnosiła się i opadała piersiowa klatka.

A Kachna założyła ręce i patrzy na nią i wzrusza ramionami i dziwi się, ale nic nie mówi. Odbiegła ją chętka gadania. Pojmuje już ona, co znaczy ten papier w ręku pani i ten jej niepokój i ta męka... Ktoś umarł—a pani nie wie, kto... Westchnęła ciężko poczciwa Kachna...

— Kachna!... to ty?...

— Ja jejmość.

— Nie słychać dzwonków?

— Nie słychać.

I znowu długie, długie milczenie. Ach, jakże długą każda wydaje się chwila!... A z każdą chwilą niepokój wzrasta. Jak przypływ morza zalewa on

serce i płuca i mózg i znowu zwolna opada, aby znów wezbrać za chwilę. Cicho, cicho. Może przeczuciem matki, może jasnowidzeniem boleści odgadnie ona tajemnicę życia i śmierci?... Cicho, cicho!

— Nie — nic nie mówi przeczucie — nic!...

O i owszem! mówi — ale jak szatan szydzi tylko, nęka i dręczy — i mówi co chwila inaczej: i *tak!* i *nie!* i *śmierć!* i *życie!* i z każdem wahnięciem zegara i z każdem serca uderzeniem kłam sobie zadaje.

To serce matki zbyt niespokojne, aby mogło przeczuwać, myśli się mącą, wirują w głowie... Choćby przeczucie przemówiło, ona nie zdoła odróżnić jego głosu wśród tego natłoku myśli, w tej uczuć zawierusze...

— Ty, Kachna, nic nie przeczuwasz? czy ci tam w sercu głos jaki nie szepce, kto umarł?

— — A któżby miał umrzeć? jużci chyba ta panna, co się z nią panicz miał żenić, kiedy jejmość powiada, że zawsze choruje!

— A syn... syn mój żyje?

— Panicz?... ou wa! gdzieby też znów panicz miał umrzeć! taki zdrów, taki mocny, jak — bez obrazy jejmości — jaki chłop, a nie pan,

Ach, ta dziewczyna szczęśliwa nie wie o tem, jaką to u panów śmiercią tacy zdrowi, tacy silni umierają czasem...

Zamilkła nieszczęśliwa matka i słucha... Dech przytłumiła w sobie i słucha, czy dzwonków nie usłyszy.

— Cicho Kachno, cicho!...

I cisza... Nic, nic nie słychać. Tylko w kominie lekkie fruwanie płomyków poruszanych przeciągiem. I mokre drzewo przeraźliwie skwirczy i piszczy od żaru, jak mucha dręczona w sieci pajęczej. I paczy się i pęka wilgotne drzewo z odgłosem trumny świeżo wyciosanej przez cieślę. I znów cisza. — Cisza... cisza...

I słychać tylko miarowy chód starego zegara i syk złowieszczy w kominie... I znowu strzał po strzale sypie w górę snopem iskier. Strzał po strzale — jak sygnały wiwatowe w dzień ślubu i wesela, w dzień przyjazdu młodej pani do domu panicza,

— Kachno! Kachno! słychać dzwonki!

Zerwała się staruszka z siedzenia... wierzy słuchowi swemu i nie wierzy... Nie — nie.

— Ja wybiegnę przed stajnię i spojrzę na drogę pod lasem. Ale jejmość niech siada tymczasem na swojem krześle i niech jejmość nie wstaje, bo mi strach odejść, jejmość ledwie się trzyma na nogach...

. . . . . .

— Widać, widać, a jużci widać! niebieski szal panienki, czerwona kraciasta chustka Jagny Ceglarzanki i Michał z furmanem z Suchorębu na przodzie. Żwawo pędzą bułanki, już koło figury skręcają, już koło młyna, już koło Józkowej chałupy... tam Maryna w chacie leży umarła i dziecko przy niej na ławie, hej może Józek teraz ze mną się ożeni, przecie ja nie brzydsza od Maryny i gospodarska córka?... Aj, toż pędzą bułanki! aż im z pysków się kurzy, a śnieg leci z pod kopyt, jak woda z pod koła młyńskiego... hej! jeżeli to ta panienka umarła, co się z nią panicz zaręczył, to jużci pewno teraz się ożeni z panienką z Suchorębu!...

...Musiał Michał jej powiedzieć o tym liście w czarnych ramkach. Ona pewnie teraz myśli o tem, czy to nie tamtę Pan Bóg już zabrał do siebie... I może bije jej serce prędko, prędko, prędziutko... i tak jej chodzi w piersi jak zegar, i tu— i tam, i tu — i tam... Ona, nie ona — ona, nie ona... i cieszyć-by się rada i wstyd jej się cieszyć cudzą śmiercią.. Hej, hej, takie to już to serce ludzkie!

Już bułanki przed dworkiem. Wyskoczyła Zosia, nie widać przerażenia na jej hożej twarzyczce, rozpaczy ani śladu. Serce jej mówi: On teraz twój! twój! Przebiegła przez sień, przez kuchnię — już w pokoju.

A staruszka, chwiejąca się na nogach, już stała u drzwi z nieszczęsnym w ręku papierem, czekająca wyroku.

Porwała jej Zosia tę ćwiartkę z ręki — spojrzała — chciała krzyknąć...

I cisza — straszna chwila ciszy.

Głos jej zamarł w piersiach.

A matka pyta: co tam?.. co tam?... co tam?... jak przez sen, jak w noc przedśmiertną pyta, budząc się ze snu skazany.

— Co tam?... co tam?... co tam?...

O nieszczęsna! na co ci słów, ta cisza mówi do ciebie najstraszniejszem słowem!

— Co tam?... co tam?... mów!... mów!...

I z głośnym płaczem rzuciła jej się Zosia w ramiona.

Czubaty

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

SPIS RZECZY.

Str.

Przedmowa. 5

Testament Napoleona. Z teki starego szlachcica . 9

W grudniowe dni 73

WYCIĄG Z KATALOGU

BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracyi **„BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“** (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru **„GAZETY POLSKIEJ“** (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1903.

Tom	CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
261, 262. PAMIĘTNIKI PREZYDENTA KRÜGERA. Przekład J. Paszkiewiczówny i A. Morzkowskiej.	80	50
263, 268, 273. **Mikołaj Rey** ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO. *„Biblioteka pisarzy polskich“* tom I, II i III.	120	75
264, 265, 266. **Paweł Bourget**. PO SZCZEBLACH. Powieść.	120	75
267. **Artur Oppman (Or-Ot)**. POEZYE.	40	25
269, 270. **Jenerał de Wet**. TRZY LATA WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ. Przekład M. G.	80	50
271, 272. **Bret Harte**. OSTATNIE NOWELLE. Przekład W. Zyndram Kościałkowskiej.	80	50
274, 275. **Bogdan Jaxa Ronikier**. PROMIENNA TOŃ. Powieść.	80	50
276, 277. **André-Bellessort**. PODRÓŻ DO JAPONII, SPOŁECZEŃSTWO JAPOŃSKIE. Przekład J. P.	80	50
278. **Bolesław Biernacki**. BIURALIŚCI. Powieść	40	25
279. **Włodzimierz Trąmpczyński**. ALBANIA I MACEDONIA, KRAJ I LUDZIE.	40	25
280. **M. Domańska**. CICHA MOC. Powieść.	40	25
281. **Jan Kochanowski**. DZIEŁA. *„Biblioteka pisarzy polskich“* tom I.	40	25
282, 283. **Maurycy Jókai**. CZARNA KREW. Powieść, przełożyła B. Jaroszewska.	80	50
284. NOWELE AMERYKAŃSKIE. Nagrodzone na konkursach, przekład Emilii Węsławskiej.	25	40

Tom		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
285, 286.	**George Sand**. OSTATNIA Z ALDINICH. W przekładzie i z przedmową Kazimierza Kaszewskiego.	80	50
287.	**Cecylia Walewska**. HISTORYA DZIECI. Powieść.	40	25
288.	**Aleksander Kielland**. KAPITAN WORSE. Powieść, przełożyła Józefa Klemensiewiczowa.	40	25
289.	**Ostoja**. NAD MORZEM. Nowelle.	40	25
290.	**Edmund Bogdanowicz** (Nix). PAN ZAGŁOBA i DYOGENES.	40	25
291, 292.	**Th. Roosewelt**, prezydent Stanów Zjednoczonych. ŻYCIE HODOWCOW AMERYKAŃSKICH.	80	50
293.	MILIONY. Nowelle żydowskie. Przełożył Jerzy Ohr.	40	25
294, 295.	**Edward Rod**. DAREMNE WYSIŁKI. Powieść. Tłómaczyła J. P.	80	50
296.	**Jan Kochanowski**. DZIEŁA. *„Biblioteka pisarzy polskich“*. Tom II.	40	25
297, 298.	**Multatuli**. MAKS HAVELAAR. Tłómaczyła Br. Neufeldówna.	80	50
299.	**Juliusz Piasecki**. WALKA. Powieść.	40	25
300, 301.	**Andrzej Bonnefons**. SPRZYMIERZENIEC NAPOLEONA, FRYDERYK AUGUST. Przekład Zofii Przyborowskiej.	80	50
302, 303.	**Conan Doyle**. PIES BASKERVILLE'ÓW. Powieść. Przełozyła Br. Neufeldówna.	80	50
304.	**E Gebhart**. PRZY DŹWIĘKU DZWONOW. Legendy. Przekład z francuskiego M. R.	40	25
305, 306.	**Antoni Miecznik**. CZTERY DNI. Powieść.	80	50
307.	**Jerome K. Jerome.** DZIENNIK WYCIECZKI DO OBERAMMERGAU. Przekład z angielskiego Emilii Węsławskiej.	40	25
308.	**Mikołaj Rej.** SPÓLNE NARZEKANIE NA NIEDBAŁOSC NASZĘ. *„Biblioteka pisarzy polskich“*. Tom IV.	40	25
309.	**Karolina Swietla.** OSTATNIA PANI GŁOGOWSKA. Powieść. Przekład M. Cz. Przewóskiej.	40	25

Rok 1904.

310, 311, 312, 314, 315, 316.	**Z. Kaczkowski**. OLBRACHTOWI RYCERZE. Powieść historyczna z przedmową Władysł. Jabłonowskiego.	240	150

Tom		CENA w oprawie kop.	CENA brosz. kop.
313.	**Hans Leuss.** Z WIĘZIENIA PRUSKIEGO. Z przedmową Włodzimierza Trąmpczyńskiego.	40	25
317.	**T. Roosevelt,** prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. ŻYCIE WYTĘŻONE. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka.	40	25
318.	**Anatol France.** HISTORYA KOMICZNA. Powieść. Przekł. Emilii Węsławskiej. z przedmową Wł. Jabłonowskiego.	40	25
319.	**Kazimierz Gliński.** OBRAZKI Z PRZESZŁOŚCI. z przedmową Henryka Gallego.	40	25
320, 321, 322.	**Henryk Brandt.** PAMIĘTNIKI OFICERA POLSKIEGO. Przekład M. G., z przedmową prof. Szymona Askenazego.	120	75
323.	**Iwan Wazow.** WYBÓR NOWEL. Przekład Józefy Anc.	40	25
324, 325.	**Deotyma.** SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50
326, 327.	**Wilhelm Depping.** JAPONIA.	80	50
328, 329.	**Grazia Deleda.** PO ROZWODZIE. Przekład Wili Zyndram-Kościołkowskiej. Powieść.	80	50
330.	**Wiktor Doleżan.** MANDŻURYA.	40	25
331.	**Jerzy Leueven.** H. IBSEN. W tłómaczeniu A. Kordzikowskiej z przedmową Władysława Jabłonowskiego.	40	25
332, 333.	PAMIĘTNIK EX DZIEDZICA z dopiskami ex pachciarza, zebrali X. Y. i Y. Z. Powieść.	80	50
334.	**Werner Siemens.** WSPOMNIENIA Z MEGO ŻYCIA. Spolszczone przez M. S., z przedmową G. Tołwińskiego.	40	25
335.	**Fr. von Eeden.** MAŁY JANEK. Z przedm. i tłom. F. L. Lubodziecka. Powieść.	40	25
336.	**Eliasz Metschnikoff.** STUDYA NAD NATURĄ LUDZKĄ. Streścił D-r E. B.	40	25
337.	**Stanisław Pilecki.** HISTORYA UBOGIEJ PANNY. Powieść.	40	25
338, 339.	**Maurycy Barrés.** WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO. Przekład I. P. z przedmową Wł. Jabłonowskiego. Opowieść.	80	50
340, 341	**Marya Ratuld-Rakowska.** PODRÓŻ POLKI PO PERSYI. Z przedmową T. Jaroszyńskiego.	80	50
342, 343.	**Maurycy Jókaj.** BIAŁA DAMA Z LIWOCZY. Przekład B. Jaroszyńskiej. Powieść.	80	50
344.	NOWELLE FRANCUZKIE. Przełożyła M. Rakowska.	40	25
345. 346.	**M. Czerny.** DNO LETY. Powieść.	80	50
347, 348.	**Edmund Demolins.** POTĘGA WYCHOWANIA. Przekład z francuzkiego.	80	50

WYZSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA w KIELCACH
BIBLIOTEKA
257344

Biblioteka WSP Kielce
0046275